

III. Publicystyka kulturalna

1. Nie ma kultury bez koniunktury., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 27
2. Krach kulturalnych urzędów., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 34
3. Czego się nie robi., „Warszawa” 1990 nr 3
4. Rząd dusz - tanio sprzedam., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 50
5. A jeśli papier nie plami?, „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 8
6. Przeciw rządzeniu kulturą., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 12
7. Sejmik kultury czy "błąd projekcji"?, „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 13
8. Inteligency opozycjoniści., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 14
9. Z potrzeby reguł., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 17
10. Cena swobody., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 22
11. Wątpienie i wiara., „Warszawa” 1991 nr 4
12. Cenzura nie zginęła!, „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 30
13. Pielgrzymka wyjścia., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 34
14. Wolność dawania., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 35
15. Co lubią Francuzi?, „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 36
16. Pieśni mi brak., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 39
17. Niewolnik - mój pan., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 40
18. Kim jestem?, “Spotkania” 1991 nr 39
19. Kto się ZOMO nie kłaniał... „Nowy Świat” 1991 nr 12
20. Prognozy Andrzeja Sicińskiego „Nowy Świat” 1991 nr 24
22. Zabójcze uniki „Nowy Świat” 1992 nr 42
23. Czyż nie dobija się ...targów ? „Rzeczpospolita” 7.V.2011

Tygodnik Solidarność 27 (94) 6 lipca 1990

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Nie ma kultury bez koniunktury

Zawijaże się ważna dyskusja, mająca dać odpowiedź na to, jaki wpływ może wyrzucić kryzys ekonomiczny i zmiana ustroju politycznego na sytuację tzw. sfery kultury. Jak słusznie zauważył Tadeusz Nyczek: *Komunizm w całym swoim szaleństwie uczynił z kultury Zawodowe Posłannictwo wypaczając stare tęsknoty idealistów kultury proweniencji zarówno romantycznej, jak i pozytywistycznej* ("GW" z 31 V.)

Powstała więc owa instytucja kultury ze swoją bardzo rozrośniętą bazą materialną, ludzką, organizacyjną. I odziedziczyliśmy ją w spadku; te teatry wymagające remontów; tych ludzi, którym (jeszcze raz Nyczek): *ktos kiedyś nadał do życia w kulturze prawo; i związki, co sprawiły, że kiedyś, jak powiedział Jacek Bierezin: legitymacją pisarza były jego dzieła. Dziś wielkim dziełem pisarza jest legitymacja.*

Czy mamy prawo to zniszczyć? Czy wolno nam zwrócić się przeciw kulturze? Czy rozsądnie byłoby pozwolić rozpaść się tej arce, w której co uczciwsi, może mniej odporni, niekoniecznie artyści, lecz po prostu wrażliwsi ludzie przepłynęli czas narodowych waśni i totalitaryzmów w Europie, a państwowego zniewolenia w Polsce? Czy też osobna instytucja kultury jest nadal potrzebna? Trzeba tylko zmienić na nią pomysł, zgłaszając się z konkursu, spoza artystyczno-urzędniczo-salonnej "nomenklatury". Komuś wreszcie może uda się wyprowadzić teatr, muzeum, bibliotekę na czyste wody.

Otóż twierdę, że tego zrobić się nie da. Nie można mieć pomysłu na teatr, gdy już nie jest potrzebna instytucja taka, jaka ukształtowała się w dziewiętnastym wieku. I nie chodzi o dwa, trzy zabytkowe gmachy Teatru Słowackiego czy Polskiego, których żadna rozsądna władza nie wyda - mam nadzieję - na zmarnowanie. Chodzi o to, że powstające dziś teatry funk-

jonują nie jako zespoły tworzone dla ludzi, lecz jako grupy wspólnotowe rodzące się na uniwersytetach czy kampusach. Więc też jeśli miałbym zastanawiać się, jak ocalić martwy gmach któregoś z zabytkowych teatrów, myślałbym nie tyle o dyrektorze, co o zespole, który już się sprawdził i któremu można by, ministerialnym gestem, powierzyć na jakiś czas siedzibę. Podobne problemy, zmiany perspektywy dotyczą nie tylko teatru.

Oczywiście, kultura, sztuka artystyczna nie może ani nie musi obniżyć lotów po to, by na siebie zarobić. Lecz z drugiej strony nie musi uciekać do schronu. Na całym świecie powstają dziś wielkie centra komercyjne; handlowo-kulturalne, gdzie Balzaka kupuje się koło sera, Foucault konkuruje z zegarkiem seiko, spektakl gra się pod restauracją, a salki filmowe sąsiadują z salonami gry. Chodzi przecież tylko o to, by tak skonstruować system administracyjno-prawny, tak zabezpieczyć układ fundacji z jednej, a pewnych ograniczeń z drugiej strony, by do wotybulu Teatru Dramatycznego nie mógł się wprowadzić właściciel *sex shopu*, a odpis podatkowy z handlu i przemysłu zarobił na wyrafinowany kurs swahili czy występ teatru. Słowem: nie chodzi o to, by kultura zarobiła na siebie, lecz by można było na nią zarobić.

Kultura ginie wtedy, gdy oddziela się od życia, gdy zamyka się w getcie. Wraca do arki, w której my, nie chcąc brać udziału w życiu społeczeństwa zniewolonego, wymyślaliśmy sobie życie na niby - niby spory i niby politykę.

Jeśli to prawda, że ocaliliśmy i dopłynęliśmy do brzegu normalności, pora wysiadać z arki. Sztuka (ta wielka, co urzeka) narodzi się sama. Bez zamówienia. Bez organizacji i legitymacji. Do tego nie trzeba osobnej instytucji kultury. Trzeba jedynie rozsądnej polityki fiskalnej (podatkowo-fundacyjnej) no i - nauki.

Nauki nie dzielącej wiedzę na potrzebną i zbędną; życiową i artystyczną. Twierdę, że takie rozróżnienie nie ma już dziś sensu. I co

Dwugłos o teatrze

więcej, działa przeciw sferze kulturalno-artystycznej. My: pisarze, aktorzy, reżyserzy, muzycy i malarze musimy sobie zdać sprawę, że nie tylko talent, ale także nasze umiejętności, nasza wiedza mają określoną wartość. Wartość społeczną, a więc i ekonomiczną. Szczególnie teraz, gdy udział w życiu publicznym w Polsce nie wydaje się już czymś nagannym. Możemy się przydać, gdyż wszystkie umiejętności, które przekazuje się dziś studentom szkoły teatralnej, są potrzebne wykształconym ludziom; niezależnie od tego, co w końcu, po studiach zrobią.

Nie jestem przekonany, czy państwo ma prawo planować jakąś strategię kultury, choć oczywiście zgadzam się, iż zjawiska kultury, a także jej zabytki, muszą być z państwowej kiesy dotowane. Rozsądna polityka podatkowo-fundacyjna jest także pewną formą - może mniej widocznej - choć bardzo skutecznej polityki. I z niej także nie można całkiem zrezygnować, zachowując prawo zastosowania ulgi dla przedsięwzięć, chociażby z zakresu ochrony zabytków kultury oraz jej upowszechniania.

Jednak najważniejszym po finansach kierowanych wprost na kulturę, a poważniejszym, bo brzemieniem w skutki społeczne zagadnieniem, jest model kształcenia. Czy też zgoda na pewien jego rodzaj. Nie można bowiem zaprzeczyć, że utwierdzony autorytetem ministerialnym limit miejsc w artystycznej uczelni pozwala domniemywać osiemnastoletniemu kandydatowi, iż jeśli uda mu się ją skończyć z dobrą oceną w dyplomie - będzie miał prawo liczyć na pracę w swoim zawodzie. Wręczenie dyplomu uprawniającego do wykonywania zawodu z komentarzem, że teraz jego wartość weryfikować będzie "rynek i Balcerowicz", każe postawić pytanie, czy można jeszcze limitować wstęp do teatru dyplomem. Właśnie to założenie bowiem, że spektakl ma prawo reżyserować (w teatrze występować, urzędem kierować) jedynie adept "błagonadiożnej" uczelni, to faktyczny spadek po systemie totalnym, selekcyjnym do wykonywania zawodów publicznych ludzi nie tylko przygotowanych fachowo, lecz także sprawdzonych politycznie.

Albo więc rozstrzygają wysokie komisje albo "rynek i Balcerowicz". Albo utrzymuje się ręczne, ministerialne sterowanie i szkolnictwa artystycznego, i teatrów, albo też przestaje się firmować jedno i drugie.

Mówiąc w największym skrócie (a gdy kto ciekaw rozwinę na żądanie) sądzę, iż państwo, czyli ministerstwo powinno zachować kontrolę nad wierzchołkiem tej góry lodowej, jaką jest dziś kształcenie artystów. Jednocześnie zaś pozwolić na swobodny rozwój różnorodnych, zawodowych scenicznych kursów, organizowanych w teatrach, a rekrutujących adeptów, absolwentów, a nawet uczniów, (być może sprzężonych z nimi programowo) szkół średnich. (Nie należy przy tym zapominać jak ważną rolę spełniały nieliczne tego typu miejsca w rodzaju warszawskiego Teatru Ochoty, w kształceniu wielu studentów szkoły teatralnej). Otóż po takich kursach wstęp do teatru byłby już wolny. A o tym, kogo przyjąć i z jakim papierem, decydowałby jedynie dyrektor. Myślę, że w rezultacie obniżyłaby się o jakieś dwa lata wiekowa bariera debiutu aktorskiego, a także można by zwiększyć wartość dyplomu uzyskiwanego w uczelniach, nazywanych dziś szkołami teatralnymi.

W artystycznej uczelni bowiem, której ukończenie nie byłoby jedyną furtką wiodącą do teatru, spotykaliby się różni ludzie. Byliby tu aktorzy, którzy pokonczyli już lub przynajmniej pozaczynali, jakieś prywatne kursy i chcą zdobyć dyplom wyższej uczelni, a także (już nie jedynie na prawach wolnych słuchaczy) zainteresowani teatrem przyszli humaniści z innych uniwersyteckich wydziałów.

Nie chodzi bowiem o to, by gwałtownie reformować czy burzyć program uczelni wypracowany przez lata. Tego nigdy robić nie wolno. Zmienić należy nie program, lecz ideę nauczania. Dotychczas kształciliśmy wyłącznie artystów. Ludzi spoza dobra i zła. Dziś trzeba powiedzieć otwarcie, że w szkole czy może nawet akademii teatralnej nie kształcą się już ludzie dla podziemia kulturalnego w ubezwłasnowolnionym narodzie lecz do życia obywatelskiego w kulturalnym kraju. ■



Krach kulturalnych urzędów

(zamiast podsumowania)

Nie trzeba być Europejczykiem, by wiedzieć, że kultura jest wartością samoistną, której ceny nie wymierzy się ekonomicznie, a rozwój przynosi niepomierne zyski. Więc rozważania o źródłach finansowania kultury, które pojawiły się we wszystkich właściwie wypowiedziach uczestników naszej dyskusji o teatrze, odnoszą się do możliwości dotowania sztuki scenicznej, nie kwestionując jego prawomocności. Chodzi po prostu o to kto, ile i od kogo dostanie.

Dyskutanci skupili się na pytaniach: **kto i ile**. Pominęto zaś dawcę. A przecież cały nasz problem stąd się właśnie narodził, że państwowy mecenas zbankrutował. Że abstrakcyjnie wielki (i jak wiadomo zadłużony) budżet państwa został rozbity na około 2500 rachunków gminnych, a także spółdzielczych i instytucjonalnych. Tak że każdy zobaczył manko w swojej własnej kasie. I wszyscy podnieśli krzyk: lekarze i nauczyciele, aktorzy i kolejarze.

Nie o to więc chodzi, że trzeba kulturze dodać, ale o pytanie, **kto to robi**. Czy Kościół, nie upominając się o odebrane mu budynki i należne czynsze? Czy partie jakieś, firmy albo fundacje i stowarzyszenia? Do niedawna, w artystycznych sferach, wymieniano w tym kontekście z nadzieją nazwisko Lecha Grobelnego. Ostatnio on też się rozplynął...

Ci, którzy rozpaczają, powinni jednak dostrzec, że uderzenie systemowej reformy

skierowane jest nie tyle w esencję, ile w instytucję kultury. To nie pisarstwo, nie malarstwo, nie aktorstwo zbankrutowały. Część państwowego długu przerzucono na działające urzędy kulturalne powodując krach wydawnictw, muzeów i teatrów. I to nie tych, co wyszły z podziemia, lecz tych, które funkcjonowały w układzie zastanym. Zaatakowano słowem nie twórców, nie prawo ich do swobodnej pracy i godziwej płacy, lecz uderzono w funkcjonariuszy instytucji kultury. Odmówiono trzynastych pensji redaktorom, emerytur kustoszom i premii docentom, którzy na działalności kulturalnej się znają, ale jej nie uprawiają. Za to dziś, jako najbardziej zagrożeni, największy podnoszą krzyk i najskuteczniejsze zawiązują spiski w imieniu prześladowanej kultury. Kultury, która rzecz jasna nie zginie. Bo przecież nikt nikomu nie zabronił radzić sobie jak umie: odnosić międzynarodowych sukcesów, korzystać z istniejących w świecie dotacji i fundacji albo komercjalizować swych prac. Lecz w tym celu właśnie trzeba poszukać pieniędzy, sponsorów i mecenasów w sposób nowy, skuteczny, nieetatowy i wylamujący się z urzędowego schematu. Na terenie, gdzie znakomitym przewodnikiem może być teatr.

Teatr, którego zbiurokratyzowana struktura najbardziej cierpi wskutek krachu dotychczasowego systemu dotacji. Lecz który zarazem ma szansę wypracowania modelu tworzenia i sponsorowania wartości artystycznych. Europejskie podboje Grotowskiego i Kantora, Raczaka czy Wiśniewskiego dowiodły bowiem tego, że właśnie tutaj, w zespole teatralnym sukces artystyczny nie jest możliwy bez finansowego. Więc teatr związany ze swoją publicznością, organicznie uzależniony od nastrojów i zasobów widza, ma dziś największą szansę wypracować nowe, modelowe rozwiązania ochronne umożliwiające sztuce istnienie. W jej sytuacji nowej — to znaczy normalnej.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

CZEGO SIĘ NIE ROBI?

Czyżby więc każda cnota miała swoją cenę? – A.T. Kijowski o sex-shopach

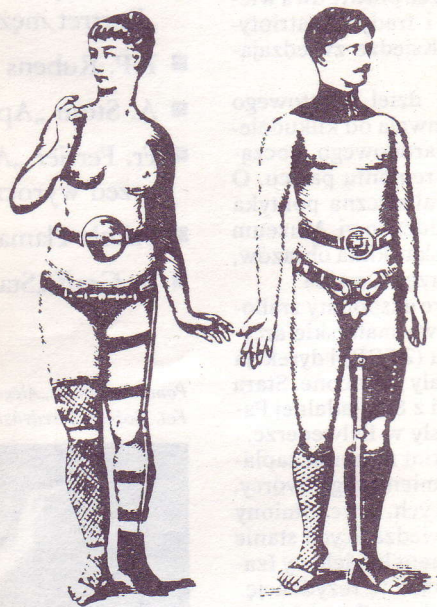
Cz ego się nienie robi

Na parterze mego domu jest do wynajęcia lokal. Daliśmy ogłoszenie do prasy i wśród kontrahentów znalazł się jeden, co długo nie chciał wyznać, jaki rodzaj usług miałby zamiar prowadzić. Zarząd Spółdzielni zmuszony dbać o interesy mieszkańców musiał to jednak wiedzieć i wreszcie padło wyznaczenie: kandydat chciałby u nas sex-shop sobie otworzyć. No cóż – element trzeźwy, cichy, wystawa też niezbyt rażąca. Na zdrowy rozum...

Trudno jednak nie spytać czy nam to przystoi. A z drugiej strony co mogliśmy z tego mieć. Wszak lokal na biuro wynajęliśmy za trzydzieści tysięcy złotych od metra. Inne pomieszczenie za sto tysięcy. A gdyby ten kandydat dwieście, może trzysta tysięcy nam zapłacił? A gdyby za pieniądze odeń uzyskane można wymienić całą instalację ciepłą, urządzić stróżówkę, zabezpieczyć się przed narkomanami, którzy na naszym podwórku „kompoty” sobie w żyły wbijają...

Czyżby więc każda cnota miała swoją cenę? A ten, kto jej nie chce zapłacić przez naiwność przybliżał się do świętości? Świętość i podłość ujawniają się w życiu społecznym wtedy, gdy brak mechanizmów zabezpieczających, wzorów zachowań, reguł życia zbiorowego. Słowem wtedy, gdy brak nam kultury. Kultury, w której wyraża się świadomość przemijalności cywilizacji. I która znajduje sposoby obrony przed cywilizacyjnymi chorobami. Przed panoszącym się seksem, transwestytami, narkomanią, pijaństwem i czym jeszcze chcecie.

Jesteśmy świadkami cywilizacyjnego przełomu. Społeczeństwo polskie przed laty zepchnięte na Wschód wyrwa się teraz na Zachód. W stronę demokratycznej Eu-



ropy, której pierwsze jaskółki od razu podają swe kosztą. Ceną pierwszą jest zgoda na wolność. Na wolność handlowania, chorowania i wypowiedzania się. Na prawo wyboru i na wolność cen. Jednak czy ta cywilizacyjna wolność nie ma żadnych kulturowych hamulców, żadnych ograniczeń?

Stary Engels, w tej cywilizacji Zachodu wychowany, powiedział wszak, że wolność to uświadomiona konieczność. Lecz my nie wiemy, co jest konieczne. Albowiem nie znamy granic. Uciekając za Buga musieliśmy unieważnić wszystkie dotychczasowe zakazy. Źle nam kojarzy się przymus, więc nie wiemy jakimi środkami trzeba się posłużyć, żeby chorzy na AIDS, niczym średniowieczni trędowaci, nie odslaniali swych ran na Starówce. By narkomani nie spotykali się na moim podwórku. By nie trzeba było ratować instalacji w moim domu przez założenie sex-shopu.

Kiedy brak nakazu, a wiadomo, że nie można posłużyć się prawem rynkowym, wtedy właśnie wkracza kultura. Ta kultura, którą Freud słusznie źródłem cierpień nazywał, a która właśnie składa się z zakazów. Kultura, która uczy CZEGO SIĘ NIE ROBI, a co jest haniebne. Mianowicie: nie chodzi się po trawnikach, nie wprowadza się samochodów na trotuary, nie omija się biedaka leżącego na ulicy, nie używa się cudzych naczyń, nie przerywa się rozmówcy, nie nadużywa się władzy. I tak dalej, i jeszcze.

Ale my tego wszystkiego nie wiemy. Nie umiemy prowadzić zebrań. Nie potrafimy wybierać kontrahentów. Nie ufamy sobie i wzajemnie utrudniamy nasze działania. A tymczasem pod staromiejskimi latarenkami coraz częściej spotykam panienki rodem z Pigalle, zapach pizzy miesza się z fetorem moczu i spalin, a my, mieszkańcy Warszawy, których reguły życia zmieniły się z dnia na dzień, nie umiemy sobie z tym wszystkim poradzić. A nie umiemy nie dlatego, że to trudne czy pracochłonne, lecz dlatego, że nie mamy zasad. Nie wytworzyliśmy reguł społecznego współżycia, a te których przestrzegamy są często anachroniczne, gdyż wyrastały w innej, odrzuconej dziś cywilizacji.

Zatem dziś, może dla nikogo nie ulega wątpliwości, że kobiety nie powinny zarabiać na ulicy. Pewnie mieszkańcy konkretnego domu (nie) zawahają się przed wpuszczeniem sex-shopu do swej kamienicy. Obawiam się jednak, że my po prostu nie wiemy, jakim miejscem Warszawy przystoi, a gdzie nie powinno się zarabiać na porno-towarze.

ANDRZEJ TADEUSZ
KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 50 (117) 14 grudnia 1990

17

Zawsąd słysząc o zagrożeniu kultury. Coraz głośniejszymi są głosy o potrzebie jej obrony: przed rządową niewolą, przed rynkiem, przed samorządową samowolą i partykularnymi interesami autorytetów środowiskowych.

Odczuwamy więc potrzebę jednoczenia wysiłków i wyłonienia reprezentacji zdolnej stworzyć lobby kulturalne, jednocześnie zaś obawiamy się tych, co przyjdą dzielić możliwe do wywalczenia środki. Czy miałyby to być rząd, czy środowiskowe organizacje, czy też jakieś nowe: związkowe, samorządowe, demokratycznie powołane ciała?

Rząd dusz — tanio sprzedam

Ścierają się zatem trzy opcje: **elitarna, demokratyczna i rynkowa.**

Orientacja elitarna opiera się na zasługach całej sfery kultury, której roli w wytworzeniu drugiego obiegu i pobudzeniu ruchu społecznego nikt przytomny kwestionować nie zdoła. **Tendencja demokratyczna** premiować będzie średniość. Tę kulturalną przyzwoitość, której w pełni świadomie wytoczyła półtora roku temu wojnę minister Cywińska głosząc, że wspierać będzie to, co amatorskie i to, co najwybitniejsze, a przeciwność ma sobie radzić sama. Wreszcie **optyka rynkowa** musiałaby reprezentować interesy Janusza Rolickiego oraz Jerzego Urbana, autorów tekstów z politycznej alkowy cieszących się dziś u krajowych wydawców i czytelników bez porównania większym wzięciem od najnowszego tomu poetyckiego Herberta czy dziennika Miłosa.

Takie są fakty. I faktem jest także, że na terytorium

kultury trzeba dziś wybrać między ustrojami: **arystokratycznym** (czytaj: **stowarzyszeniowo-elitarnym**), **demokratycznym** (czytaj: **związkowo-równościowym**) i **kapitalistycznym** (czytaj: **handlowo-masowym**). Każdy z ustrojów ma znane wady — stworzyć musimy jeden.

Kiedy więc dziś mówimy o powstaniu kulturalnego lobby, to trzeba wiedzieć, że tu **nie chodzi o przetasowania lub wymianę elit**. Gdyż terytorium kultury nie jest już, jak przez minione wieście lat zaborów i niewoli, krytonimem walki politycznej i ekonomicznej. Intelktualista musi dziś zsiąść z białego konia niewątpliwie, niepodległościowej racji, którą głosił. Gdyż wyzwolony naród nie chce dać się dłużej powodować, nawet wybacwcom swoim. I odrağowuje dotychczasową dyscyplinę zdobywając się na gesty przekory. Zwracając się ku temu, co nie jest słuszne ani wychowawcze. Zaglądając do polity-

cznej alkowy, głosząc zgodnie ze swym widzimisię.

Uzyskanie niepodległości państwowej zatem dla wielu oznacza wyzwolenie od kulturalnych przymusów. Dla ludzi kultury zaś konieczność podjęcia nierównej walki kilkuset faktycznych czytelników „Elegii na odejście” czy „Roku myśliwego” z milio-

nem nabywców „Alfabetu Urbana” i „Przerwanej dekadą”.

To tędy przebiega podział. Aby go zasypać, trzeba zdobyć środki, zarejestrować spółki i fundacje. Niczego nie robiąc próśniej, to znaczy centralnie. Gdyż to, co centralne, budzi wspomnienie totalnej władzy i nie mniej autorytarnej opozycji, którym czytelnicy Rolickiego dzisiaj pokazują język. Z tej też racji, choć wierzę w dobre intencje Rządu, muszę przyznać, iż podatkowe uprzywilejowanie jednej ministerialnej fundacji jest błędem politycznym. Podobnie nietrafne byłoby dziś tworzenie ciał zmierzających do odtworzenia w jakiejś formie skompromitowanej Narodowej Rady Kultury. Gdyż w wolnym świecie kultura nie może już być władzą.

Potrzeba nam za to Rady Starszych. Jakiejś Akademii Sztuki przypominającej może przedwojenną Akademię Literatury. **Areopagu niezależnych, powoływanych dożywotnio, „nieśmiertelnych”**

autorytetów. Być może uformować by go trzeba opierając się na jakimś plebiscycie albo na dwustopniowych wyborach. Nie wiem. Wiem za to, że przynależność do tego grona winna mieć arystokratyczny, sprzyjający niekoniumkturalności charakter. I tylko tyle na szczeblu centralnym. Określającym obowiązki państwa i mogącym promować debiuty.

Na poziomie lokalnym natomiast trzeba skończyć z rozdzielnictwem przywilejów wręczanych artystom przez urzędy i stowarzyszenia. **W to miejsce należy powołać porozumienie mogące przekształcać się w rady nadzorcze fundacji czy spółek kulturalnych.** Naturalnym miejscem ich zawiązywania winno być forum samorządowe. Dzięki czemu decyzje w sprawach kultury nie będą podejmowane ani przez środowiskową koterie, ani przez dalekie tym sprawom gremia radnych, lecz w wyniku zetknięcia przedstawicieli arystokracji i kapitału w przytomności gminu.

Po to, by wartości kultury mogły zyskać obrońców, trzeba zatem uwzględnić wymagania salonu i reguły giełdy. Umożliwiając spotkanie wartości reprezentowanych przez autorytety i możliwości oferowanych przez inwestorów. Zadaniem zaś demokratycznych rad nie jest ani rządzenie sztuką, ani jej dotowanie, lecz jedynie troska o to, by odebrałszy jej rząd dusz nie sprzedano kultury zbyt tanio.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Czy każdy ma prawo pisać? Ścisłej — upowszechnić swe poglądy za pomocą druku. Czy prawo to nie jest związane z pozycją społeczną, polityczną, majątkiem, wykształceniem bądź talentem? Czy pisać wolno tym, którzy mają coś nowego do powiedzenia, czy winni to robić tylko ci, co potrafią ukuwać zdania?

Jeszcze niedawno prawo publikowania zdawało się przywilejem. Liczba pism była ograniczona, nakłady publikacji limitowane. Cenzura nakładała zapisy rzeczowe i personalne. Człowiek, który pragnął zmierzyć się z barierą druku, musiał przejść wszystkie kręgi wtajemniczeń: opanować gramatykę, jakąś wiedzę, wreszcie przyswoić sobie właściwe poglądy. Odpowiadało się za wydrukowane słowa. Często była to odpowiedzialność zbiorowa. We wszystkich bowiem, nawet najczerniejszych organach zasiadał sztab redaktorów, stylistów, korektorów i cenzorów czuwających nad tym, by wrażenie nieomyślności druku nie było podkopywane przez oczywiste błędy gramatyczne czy rzeczowe. Słowo drukowane zdawało się świętym i poniekąd nieomyślnym, a każdy błąd wymagał publicznych sprostowań. Jakżebowiem inaczej można sprawdzić pewność jakiejś rzeczy albo prawdziwość faktu jeśli nie poprzez odniesienie się do jakiegoś drukowanego tekstu: podręcznika, encyklopedii czy opracowań utrwalających prawdę.

Powie ktoś, że nie ma prawdy jedynej, że każdy ma swoją prawdę, a w demokracji każdemu wolno ją głosić. Będzie to jednak inne, podczas psychologicznie użycie słowa prawda, podczas gdy mówiąc o prawdziwości faktów używam go w sensie społecznym. Dla społeczności prawdą jest to, co godzi się ona upowszechniać za pośrednictwem społecznych środków przekazu, a utrwalac w druku.

Możemy naturalnie dalece zrelatywizować nasz stosunek do prawdy. Uznać, że nie ma prawdziwych poglądów i nie cenzurować myśli. Z odkrycia, że to, co się drukuje, niekoniecznie jest słuszne, łatwo wyprowadzić wniosek, że znaczna część tego, co wydrukowane, może być niesłuszna albo nieprawdziwa. A stąd już krok tylko do zgody na błąd. Błąd ideowy rzecz prosta, lecz skoro się nań zgodzić, to błąd rzeczowy albo gramatyczny mogą się przy nim zdawać drobiazgami.

Z wiary w wartość słowa drukowanego, w którym błąd zdarza się rzadko i koniecznie wymaga sprostowania wynika przeświadczenie, że wszelkie formy druku winny być zapamiętywane. Gdyż druk jest formą nieśmiertelniania myśli. A bibliografia jest pamięcią druku, gwarantem jego dostępności, arką ocalającą liczące się słowa. Jakże niewiele z nich zostaje: nazwisko, litera imienia, kropka, przecinek, nazwa, numer, rocznik wydawnictwa. Tytuły tekstów sprawdzać już trzeba w annałach. A jednak istnienie bibliografii ogólnych, takich jak epokowe dzieło Estreichera, przedwojenny Urzędowy Wykaz Druków czy wydawana od 1947 roku Bibliografia Zawartości Czasopism (BeZetCze) sprawia, że słowa zapisane i opublikowane nie ulatują, lecz zapadają w pokłady kultury.

Czy można się na to zamierzyć? Myślę, że nawet w najczarniejszych latach totalizmu ten, kto uderzyłby w bibliografię — czy to ołówkiem

A jeśli papier nie płami?

cenzora czy odmową pieniędzy bądź likwidatorską decyzją — nie ustrzegłby się oskarżeń o inkwizycyjną i antykulturalną działalność. A jednak można! Pragnąc ustalić, co pewien przeferbowujący się gwałtownie publicystyczny zwierzczek wypisywał przed rokiem na łamach cudzego organu zajrzałem, jak mnie na studiach uczono do owego BeZetCze i — ze zdumieniem odkryłem brak inkryminowanego nazwiska. Dopiero wczytawszy się dokładniej we wstęp do tego wydawnictwa odkryłem, że moje całe wykształcenie mogę rozbić o kant regału, z którego następnie wiele godzin ściągałem opasłe zszywkę. Bowiem począwszy od 1990 roku redakcja BeZetCze zrezygnowała sobie z publikacji zawartości dzienników. Jeszcze ludziłem się, że to tylko kwestia kosztów papieru czy druku, wbrew którym odpowiedzialni pracownicy prace archiwalne prowadzą nadal. W Zakładzie BeZetCze Biblioteki Narodowej rozwiano jednak moje nadzieje. I proszę nie szukać usprawiedliwień! Nie tłumaczyć, iż nigdy zawartości dzienników nie ogarniano w pełni, że zalew publikacji, że brak środków. Faktów to nie zmienia, a skandal pozostanie skandalem. Te same komputery i drukarki, które liczbę tekstów mnożą muszą zostać użyte do ich porządkowania. Kto tego nie czyni, kto grzeszy brakiem inicjatywy albo zaniechaniem tego wzywam przed Trybunał Kultury!

Biada zatem publicystom „Trybuny Ludu” i „Życia Warszawy” z okresu stanu wojennego, piewcom Gierka i adoratorom Stalina. Utrzymujący niezmienny zakres działania bibliografii komuniści sami sobie zgotowali ten los: nic im nie będzie zapomniane. Za to przyjaciele z „Gazety Wyborczej”, znajomi z „Życia Warszawy” i koledzy z „Expresu Wieczornego” mogą dziś pisać, co im się żywnie podoba. Nic im nie będzie zapamiętane! Ani o tym wiedząc, od roku biegamy bowiem po publicystycznej dżungli, w której nawet jeśli się ktoś intelektualnie obnaży, zrobi prasowe świnstwo lub napisze zwyczajne głupstwo, wnet utonie to w natłoku drukowanych wydawnictw, a z upływem czasu nikt już tego na światło wyciągnąć nie zdoła.

Nasze słowa stają się więc bezkarne, ulotne, a zatem pozbawione znaczenia. Dżunglę coraz gęstszych komputerowych wydruków otacza bibliograficzny ścieg. Stwierdzamy z przerażeniem, że gdy już nikt nie może panować nad upublicznianiem słowa, braknie zarazem kogokolwiek, kto strzegłby poziomu i zapamiętywał to wszystko, co zostało powiedziane. Wolno dziś pisać każdemu, lecz niczyje słowa nie dają rękoma prawdy. Skoro więc wszystko pokryje niepamięć, to czy ma sens jeszcze płamić papier?

Tygodnik Solidarność 12 (131) 22 marca 1991

17

Przeciw rządzeniu kulturą

Wbrew pozorom kultura trzyma się mocno. Nie zlikwidowano Ministerstwa Kultury i Sztuki. Związki zawodowe mają swoje sekcje i kulturalne porozumienia. W każdej gminnej radzie, w każdym wojewódzkim urzędzie istnieją wydziały i komisje kultury. W większości pism także funkcjonują działy kultury, a ich kierownicy otrzymują z kraju wg rozdzielnika sążniste epistoły tytułowane np. Naczelnik Wydziału Kultury i Sztuki w piśmie... „Pszczółka Maja”.

Jeśli jednak godzimy się coś za kulturę uznać trzeba zadać pytanie, co już kulturą nie jest. Czy ten, kto coś pisze albo tylko mówi na temat polityki, naszych gospodarczych alternatyw, na temat naszego stosunku do prawa, zagadnienia aborcji, kwestii nauczania religii itd., nie porusza się w sferze kultury? A ten, kto stanowi

się godzić to, co pozaziemskie z doczesnym wymiarem był Kościół. W swych pracach edukacyjnych i artystycznych Kościół pierwszy instytucjonalizował wartości węższej pojmowanej kultury, co zesztą niekoniecznie pozyskiwało mu zwolenników. Walka z Kościołem bardzo często do tego się właśnie sprowadzała, by odebrać mu wpływ na sferę kultury. W krajach programowo laicyzowanych dążono wręcz do tego, by związani z Kościołem ojcowie duchowni zostali zastąpieni przez kapłanów ducha: artystów i intelektualistów, tak czy inaczej utrzymywanych przez władze państwowe.

Tak więc, gdy Kościół był hegemonem, różnorodne formy upaństwowienia czy socjalizowania zdawały się dobrym lekarstwem dla kultury. Kiedy jednak wpływ państwa, jego cenzorska i finansowa władza okazała się zbyt

które państwo pragnące zachować nad nią kontrolę dystrybuowało w postaci różnorodnych celowych funduszy kultury.

Nasze państwo aspiracji takich w zasadzie się wyrzekło. Nie pragnąc kontroli, nie narzuca się ze swymi środkami. Postępowanie takie nie jest niewątpliwie zwrócone przeciw sztuce najwybitniejszej, która w systemach instytucjonalnej ochrony niekoniecznie była dostrzegana, a i dziś, gdy już się pojawi ma szansę zdobyć uznanie i wsparcie jakiegoś prywatnego, a choćby i zagranicznego sponsora. Ale **rezygnacja z ochrony kultury jest niewątpliwie zwrócona przeciwko całej rzeszy średnich, być może nawet potrzebnych twórców i przeciwko legionom ludzi kształconych i wdrażanych do tego, by kulturą zawiadywać i przy niej się przyżywać.** Nie było to naturalnie zbyt



fol. JACEK MARCZEWSKI

dostatnie życie. Ale miało swoje zalety, swój urok, swoją poezję. Więc ta właśnie armia popularnych „kaowców” oblegających urzędy i kluby stanowi właściwe źródło i nieunikniony alians dla wszystkich, którzy głoszą dziś konieczność stworzenia „silnego lobby wspierającego kulturę”.

Czy chcemy się z nimi stowarzyszyć!? Czy też uznamy, że trzeba wygnać ich lub zmienić? Choć sam posiadam kulturalno-oświatową specjalizację i jestem współwinny wystawieniu pewnej liczby tego typu dyplomów uważam jednak, że dziś określenie „kaowiec” należałoby wypalić jak morową zarazę. Trzeba

o ruchu drogowym, o zagospodarowaniu przestrzennym, o czystości wreszcie — czy nie realizuje jakichś nakazów kultury? Jakże trudno wyznaczyć tu granice. Jak trudno określić, gdzie kończy się kultura elitarna praktycznie utożsamiana ze sztuką, odkąd zaczyna się kultura masowa, a wreszcie, w jakim punkcie zachodzą na siebie pojęcia kultury i cywilizacji.

Nie wybrniemy z takich paradoksów. Nie o to chodzi. Gdyż jeśli nie można wskazać takiej sfery godnego życia ludzkiego, które byłoby całkowicie pozbawione elementu kultury znaczy to, że z drugiej strony nie istnieje coś takiego jak kultura czysta. Ścisłej, nie istnieje tu na ziemi: nie można tego zważyć, zmierzyć, policzyć, opłacić. Sfera kultury nie jest z tego świata.

Czy można zarządzać tym, co nie jest z tego świata? Czy wartości muszą i czy zdolają uzyskać swój instytucjonalny wyraz? Przez setki lat jedyną instytucją, która lepiej czy gorzej starała

dokuczliwa, oparcie znaleźliśmy korzystając z kościelnych form wspierania twórczości. A gdy teraz z trwogą zaczynamy uciekać z kruchty, w której przez minione kilka lat odbywały się chociażby tak cenione Tygodnie Kultury Chrześcijańskiej — wybawcze ramiona wyciągać chcą ku nam: zatrudnieni w dotychczasowych wydziałach kultury rad narodowych absolwenci kierunków kulturalno-oświatowych różnych pedagogicznych i filologicznych wydziałów skłonni organizować nam kulturę na terenie samorządnej gminy, doświadczeni urzędnicy wydziałów kultury różnych partyjnych komitetów pragnący służyć swą wiedzą i doświadczeniem najdemokratyczniej wybranym przedstawicielom ludu skupionym w łonie solidarnościowych porozumień różnych szczebli, wreszcie funkcjonariusze wydziałów kultury urzędów wojewódzkich i ministerialnych departamentów przez lata szkoleni w administrowaniu kulturą. W asygnowaniu na nią kwot,

bowiem skończyć z wszelkimi formami administrowania kulturą. A specjalistom z wydziałów kultury z całą mocą powiedzieć, że ani oni, ani nikt inny nie jest kompetentny do organizowania imprez kulturalnych. Że my, mieszkańcy, radni, uczestnicy kultury nie potrzebujemy urzędników, którzy będą nam organizować koncerty w muszlach parkowych, parady wojskowe czy biegi po zdrowie. Nie dlatego, by były one zbędne, lecz dlatego, że jeśli tylko nikt takiej działalności nie zabroni, z pewnością powstanie ona samorzutnie. Nie narodzi się zaś tylko tam, gdzie nikomu nie jest potrzebna. Nikomu poza urzędem, który będzie eliminując jednych, przyznawać środki drugim, których to „drugich” działalność posłuży jedynie uzasadnieniu jego własnej urzędniczej przydatności.

Można oczywiście uznać, że kwota rzędu 480 mln złotych, stanowiąca jedną dziesiątą budżetu przeciętnego teatru, jaką chce wyasygnować na ten cel Rada Dzielnicy Warszawa-Śródmieście nie jest wcale znaczna. Można odwoływać się do nawyków marginalnych grup społecznych, ludzi uboższych, a także emerytów czy rencistów, którzy z tego rodzaju rozrywek przywykli korzystać. Można wreszcie argumentować względami społecznymi twierdząc, że ci oddani kulturze, zawsze źle opłacani działacze i urzędnicy poświęcali się dla idei latami i dziś nie wolno trzebić ich ani karać bezrobociem.

Uważam jednak inaczej. Uważam, że zagrożenie bezrobociem wyzwoliłoby w części aktywnych urzędników wolę walki i sprawiło, że z administratorów stając się antreprenurami wykorzystaliby swe talenty nie na to, by rozbudowywać aspirujące do władania kulturą urzędy, lecz — znalazłszy się po przeciwnej stronie — pomogliby rozwijać się tworzonym przez siebie konkretnym orkiestrom, muzeom, teatrom. Uważam dalej, że jedynym zadaniem władzy czy to lokalnej, czy państwowej jest — w ramach posiadanych kompetencji — stworzenie mechanizmów umożliwiających najem czy też kupno, a także budowanie lokali przystosowanych do wypełniania funkcji kulturalnych przy zachowaniu ogólnie obowiązujących reguł gry rynkowej. Sądzę, że gmina ani państwo nie powinny prowadzić działalności kulturalnej przez wydziały swych urzędów. Podmiotami najmu, kupującymi czy też budującymi obiekty kultury powinny zaś jedynie być osoby fizyczne lub zespoły, organizacje ewentualnie stowarzyszenia artystyczne. Ze strony władzy **inicjatywy takie nie powinny też oczekiwać żadnych związanych z funkcją kulturalną ulg finansowych.** Nie znaczy to jednak, że władza — dysponująca pieniędzmi danej społeczności — nie może oddziaływać na politykę kulturalną poprzez dotacje. **Dotacje winny być celowe i skierowane bezpośrednio do osoby czy instytucji, której istnienie na danym terenie pragnie się ułatwić** nie dlatego, że prowadzi ogólnie rzecz biorąc kulturalną działalność, lecz dlatego, że to, co robi, uważane jest za szczególnie potrzebne i wartościowe. Jedyna funkcja, do jakiej mogą być więc potrzebni urzędnicy w ośrodkach władzy, to wskazywanie kompetentnym gremiom pod rozwagę możliwości dotowania określonych inicjatyw i realizowanie podjętych decyzji.

Istotą mecenatu jest dodawanie środków. Dodawanie, co jednak nie znaczy ani ujmowania jednym, by dać drugim, ani dystrybuowania ulg, ani jakiegokolwiek dzielenia. Kto dzieli bowiem — ten rządzi, a kulturą władać się nie da.

Tygodnik Solidarność 13 (132) 29 marca 1991

17

Sejmik kultury czy „błąd projekcji”?

Zapytany o sprawę ministerialnej fundacji kultury (jak wiadomo uprzywilejowanej w stosunku do innych) wiceminister finansów Wojciech Misiąg powiedział mi: *Gdyby w zeszłym roku wszystkie przedsiębiorstwa wykorzystwały możliwość przekazania w całości tych 10% zwolnionej z opodatkowania sumy na rzecz kultury, zasiliłoby to wszelkiego rodzaju fundacje kwotą 20 bilionów złotych.* Zapytany zaś o zastrzeżenia związane z nadmiernym scentralizowaniem rozdziału środków na kulturę, powiedział wprost: *Chciano Fundusz Rozwoju Kultury zastąpić formułą dotacji, będącej instrumentem resortu kultury.*

Minister Misiąg ma rację. Idea zniesienia Funduszu Rozwoju Kultury istotnie spotyka się z oporami. Na Sejmiku Kultury, na którym 10 marca spotkali się w Warszawie przedstawiciele sekcji kultury NSZZ „S” z całego kraju z premierem Bieleckim i ministrem Rostworowskim, wielokrotnie do tego powracano. Pani Teresa Świerczewska przedstawiwszy katastrofalną sytuację bibliotekarstwa, które w ciągu minionego roku i półtora miesiąca roku bieżącego straciło w 10 województwach wskutek zamknięcia: 63, zawieszenia: 17 oraz połączenia z ośrodkami kultury i szkołami: 40 filii, a nadto około 1000 społecznych punktów bibliotecznych — **zażądała wprost celowych subwencji dla bibliotek samorządowych.**

Trudno odmówić jej racji, ale czy taką samą słuszność mają domagający się ukierunkowanego wsparcia reprezentanci sekcji:

domów kultury, upowszechniania kultury, muzealnictwa i filmu? W każdym razie 10 marca „kulturalni” związkowcy z NSZZ „S” połączyli się tworząc Krajowy Sekretariat Kultury, tymczasowo z Krzysztofem Tchórzewskim na czele oraz powołując Komisję Inicjatywną Ogólnopolskiego Porozumienia Kultury, która ma zostać zorganizowana przez działaczy regionu Mazowsze.

Słuchając listy niepokojów zestawionej przez organizującego spotkanie profesora Jacka Weissa z Warszawskiej Akademii Muzycznej trudno było nie przyklasnąć, gdy mówił o niepewnym losie zwłaszcza prowincjonalnych kin, bibliotek, teatrów, muzeów, domów kultury. Gdy pytał o rolę ministerstwa, zauważał brak widocznych zmian w jego strukturze i kadrach oraz żądał rozliczenia działań resortowego Instytutu Kultury. Gdy niepokoił się o los kupowanego z Funduszu Rozwoju Kultury wyposażenia lokali kulturalnych stojącego się dziś z mocy ustawy własnością spółdzielni lub samorządów. Domagając się inicjatywy ustawodawczej w tej sprawie mówca nie określił jednak, jaka osoba prawna winna zdaniem związkowców dysponować majątkiem kultury.

Sprawa pieniędzy i sposobu dysponowania nimi wracała rykoszetem. Profesor Weiss wyraził dezaprobatę dla utworzenia jednej centralnej uprzywilejowanej fundacji przy ministerstwie oraz obawę o los środków nie wykorzystanych przez zeszłoroczny a zlikwidowany dziś fundusz rozwoju kultury po

to, by po chwili od ministra Rostworowskiego usłyszeć, że środki te w wysokości 1,5 biliona złotych zostały wprawdzie ocalone i przekazane ministerstwu, ale — na ową skrytowaną właśnie fundację kultury!

Tak, ten sam człowiek, który zagadnięty przeze mnie na dzień przed objęciem urzędu ministerialnego powiedział o Fundacji Kultury, że *fundacje muszą być bezpośrednie, a nie powinny działać poprzez ministerstwa* oraz potwierdził wolę zrewidowania zasad tworzenia fundacji kultury (TS 3/91), dzisiaj z nowego „punktu siedzenia” stwierdza: *Oprostowywałem tę fundację zanim poznałem, na czym rzecz polega. Otóż wbrew temu, co niektórzy sądzą, Fundacja Kultury nie jest jednym workiem, do którego wrzuca się pieniądze, i którym potem jako dodatkiem do budżetu dysponuje ministerstwo. Ktoś, kto daje pieniądze do Funduszu Kultury, może i powinien wskazać cel i ten cel zostanie z tych pieniędzy dotowany a fundator będzie uhonorowany.*

Ministra Rostworowskiego przekonał więc fakt, iż dysponując środkami gromadzonymi przez Fundację Kultury, ministerstwo teoretycznie nie prowadzi w tym zakresie polityki. Zapomniał jednak o tym, że w ten sposób nie unika się rozbudowy aparatu urzędniczego, choćby kontrolnego i że przeprowadzanie pieniędzy z rąk dawcy (A) do odbiorcy (B) przez mających teoretycznie oczyścić je z 90% podatku pośredników centralnych (C, D, E, F) może podnieść faktyczne i moralne koszty całej operacji o kilkadziesiąt procent.

Zarówno strona rządowa, jak i związkowa nie chcą bowiem pamiętać, a być może tylko przyznać się do tego, co potwierdził minister Misiąg, że kto przekazuje pieniądze, ten zawsze w jakimś stopniu jest ośrodkiem władzy. Może więc nie tyle chodzi o to, czy centralizować czy nie, lecz by samemu być dysponentem środków, które chcemy wydać na to, co nam wydaje się najważniejsze. Idzie więc zacięty bój o te półtora biliona złotych, które można skupić w jednych rękach. Zapomina się zaś, że rezygnując z rządowych udogodnień, można by zapewne sprowoko-

wać autentycznych antreprenierów, by miast wysiadywać w ministerstwach czy organizować związki twórcze i zawodowe spróbowali wydobyc od poszczególnych potencjalnych sponsorów coś z tych 20 bilionów, które od zaraz są do wzięcia, byle tylko ktoś człowieka z pieniędzmi do siebie przekonał.

Coś podobnego miał chyba na myśli poseł Małachowski, który w charakterystycznym dlań pełnym dramatycznej emocji tonie wskazał siebie jako bezpośredniego winowajcę wszelkiego zła i błędów. Poseł jest bowiem przedstawicielem sejmowej Komisji Kultury w Komisji Polityki Gospodarczej, Budżetu i Finansów. Przez jego ręce przeszły wszystkie inkryminowane ustawy. Wskazując na hasło sejmiku: wypisany na szpitalnym parawanie zwrot: *Kultura wymaga leczenia*, Małachowski stwierdził, że to nie kultura, lecz Solidarność, jej idea wymaga leczenia. Następnie zaś starał się uświadomić zebrany trudne wybory, przed którymi staje na wielu polach zagrożone i zbankrutowane państwo: niedożywionych dzieci, upadających szpitali, niebezpiecznych kopalń, a także zagrożonej kultury.

Było to już po wyjściu Jana Krzysztofa Bieleckiego, który przyjęty został przez zebranych lepiej od Aleksandra Małachowskiego, choć i premier powiedział wyraźnie, że rozumiejąc ton niezadowolonia i poczucie własnej niezbędności obecne w postulatach wszystkich swych rozmówców od rolników poprzez pracowników przemysłowych aż po twórców kultury, od tych ostatnich jako od wrażliwszych po prostu, trudno mu nie oczekiwać nieco szerszego ogarniania. Mówiąc o koniecznej selekcji, o zasadach rywalizacji, o mistrowskiej konkurencji, o których wspominał wprawdzie na wstępie mądrze profesor Weiss (co nie zostało jednak podjęte przez związkowców ani wypunktowane w dyskusji), premier J.K. Bielecki zapytał, czy zestawione niepokoję nie wynikają z „błędu projekcji” — jak rozumiem: uznania za obiektywną, roli, jaką każdy człowiek i każda grupa zawodowa pragnęłaby odgrywać subiektywnie.

Tygodnik Solidarność 14 (133) 5 kwietnia 1991

15

Inteligency opozycjoniści

Inteligent — to w obcych językach człowiek rozumny, myślący, pojętny. Czasem — sprytny. Takí, który umie posługiwać się rozumem. Inteligent po polsku oznacza reprezentanta całej warstwy ludzi dysponujących taką umysłową zdolnością, która różni ją od reszty. Od nieokrzeseanej, niewykształconej, leniwej — średniej społecznej. I od nierozumnej, bezmyślnej, niepojętnej — władzy.

Inteligencja polska stanowi bowiem organiczne przeciwieństwo władzy; władzy od dawna, od bardzo dawna uważanej za obcą. Reprezentującą cudze interesy, dopuszczaną w wyniku kontraktu, nie rozumiejącą ani nie znającą narodu — czyli: głupią.

Właściwie od zawsze, władza polityczna i moralna uległa w naszym kraju rozdzieleniu. Władzę faktyczną sprawowali jacyś nie znający często naszego języka, nie rozumiejący nas: Litwini, Francuzi, Siedmiogrodzianie, Szwedzi, Sasi. No, a potem: Austriacy, Prusacy, Rosjanie.

Poza nimi zaś, w opozycji do nich, byli ci, którzy

rozumieli: język i naród. Autorzy oskarżycielskich mów. Twórcy przywilejów, statutów, porozumień mających skutecznie władzę ograniczyć. Ludzie wykształceni: arystokraci, artyści, księża, emigranci. Ci, którzy nie działają, lecz myślą. Słowem: inteligenci. Powiedzmy dosadniej: inteligency opozycjoniści.

Dziś głosi się kręś tej formacji. Uznawszy, że to prawda, iż Polacy jako naród zaczęli się rządzić sami, trzeba by odrzucić dwa, leżące u źródeł wykształcenia się inteligenckiej warstwy *a priori*. *Primo*: że władza nie rozumie tych, którymi rządzi. I *secundo*: że opozycja rozumie interes narodu. Jeśli to odrzucimy, jeśli przyznamy, że władza może być inteligentna, a opozycja nierozumna, znikną wszelkie logiczne podstawy społecznego wyróżniania inteligenckiej warstwy. Ale czy na to przystaniemy? Czy ciąg, choćby najcudowniejszych politycznych zdarzeń lat nawet dziesięciu może stawić czoło faktom kulturalnym mającym za sobą 600-letnią tradycję?

Warstwę inteligentką miał różnić od arystokratycznej i mieszczańskiej rodzaj cenzusu. Jeśli tym dwóm ostatnim przysługiwać miał cenzus zupełnie niezależnego od jednostki urodzenia bądź niekoniecznie będącego jej zasługą majątku — to inteligencję konstituować miał cenzus zależnego wyłącznie od osobistej pracy — wykształcenia. Inaczej mówiąc, cenzus inteligenta utożsamia się z przyznaniem mu racji. Z wysokim ocenianiem każdej przynależącej do tej warstwy jednostki, która z faktu potwierdzenia swego inteligenckiego statusu czerpie prawo do przedstawiania się jako

posiadaczka prawdy — depozytariuszka złotego rogu.

Teoria jest spójna. Kłopoty zaczynają się dopiero wtedy, gdy okazuje się, że głupiec pochodzący z dobrego, inteligenckiego domu może dzięki pieniądзом i koneksjom rodziców uzyskać lepsze świadectwa i wstęp do hermetycznych instytucji gwarantujących potwierdzenie inteligenckiego statusu. Praktyka obala więc mit głoszący, że inteligencja jest warstwą odtworzoną się każdorazowo o własnych siłach pretendujących do niej osób.

A jeśli tak, jeśli inteligencja jest nie tylko wartością, lecz także wytworem społecznym, to możemy być pewni, że nawet wbrew rozsądkowi, nawet gdy zanegowane zostaną leżące u jej podłoża racje, zjawisko to nie skończy się z dnia na dzień. Podlega bowiem prawu dziedziczenia.

I niesie w sobie wartość tradycyjnej roli. Roli, której budującą cechą nie jest ani mądrość, ani spryt, ani słuszność, lecz sprzeciw. Niezgoda!

Gdyż inteligent polski był i pewnie pozostanie w swej przytłaczającej masie przewrotnym dialektykiem, nieprzekupnym logikiem, słowem: wędrującym przez pokolenia, zgubnym i zbawczym zarazem — duchem: „który ciągle przeczy”.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tekst publikujemy w porozumieniu z redakcją europejskiego magazynu kulturalnego sekcji polskiej BBC, gdzie był wygłoszony.

Tygodnik Solidarność 17 (136) 26 kwietnia 1991

16



KONKURS NA RECENZJĘ PRASOWĄ

Kiedys petentem był autor, a dostąpienie możliwości oglądania swego nazwiska w druku było przywilejem nielicznych. Dziś pism wychodzi zalew (czy „Potop”, jak nazwali swój organ koledzy secesjoniści z „Tygodnika Literackiego”), więc redaktorzy pism zdolnych ludzi sobie wyrwywają. A nie widać ich wielu. Co nie musi znaczyć, że ich nie ma.

Nie widać — bo zasady selekcji ludzi do pracy i do współpracy z pismami kulturalnymi nie są w żaden sposób utarte. Bo zespoły redakcyjne formują się w dużej mierze na zasadzie klucza towarzyskiego, miejsca zamieszkania, wspólnego studiowania czy knucia. Ci zaś, którym los pozwolił mieszkać w centrum, mają w naszym kraju większe możliwości od mieszkańców Malborka czy Będzina.

Nie zmieniajmy tego z dnia na dzień. Sądzę nawet, że długo to się w pełni nie uda i Polska, podobnie jak Francja i cała Zachodnia Europa pozostanie zwrócona kulturalnie ku wysysającej prowincję stolicy. Być może w Nowym Świecie, gdzieś w Stanach Zjednoczonych nie ma jednego centrum, a rozwój wszelkiej komunikacji sprawia, że równie dobrze jest żyć w środku kraju,

Z potrzeby reguł

jak na wschodnim czy zachodnim wybrzeżu. Jednak u nas stołeczne tytuły mają dużo większe szanse na ogólnokrajowe oddziaływanie. Co nie znaczy, że został zachowany monopol, i że szans takich nie można zmarnować. A zmarnuje je ten, kto zamyka się w ciasnym gronie, nie szuka najlepszych autorów, nie pyta swych czytelników, kim są i czego od swego pisma oczekują.

Czytelnikom kolumn kulturalnych „Tygodnika Solidarność” postawiliśmy to pytanie. I dowiedzieliśmy się, że naszym najwierniejszym odbiorcą jest wymagający, światły, przeważnie zamieszkały na prowincji inteligent z pokolenia urodzonych między 1945 a 1960 rokiem ludzi Solidarności. Ten posiadający wyższe, a co najmniej średnie wykształcenie człowiek wymaga od nas głównie dobrej informacji. Chce wiedzieć, co się dzieje poza granicami kraju. Brak mu tekstów o telewizji i o muzyce. Słowem: chce, byśmy byli dobrym pismem.

My tego też chcemy. Więc ogłosiliśmy konkurs na recenzję prasową. Połączone z losowaniem ufundowanych przez SW „Czytelnik” nagród, (komunikat s. 21) uroczyste wręczenie dyplomów laureatom konkursu odbyło się w lokalu redakcji 12 kwietnia. Poniżej prezentujemy jego pokłosie. Jest rzeczą bardzo miłą, że wśród nagrodzonych nie wszyscy są mieszkańcami Warszawy. Nagrodę otrzymał też student z Krakowa zamieszkały w Żarkach, ktoś z Katowic, pani z Będzina. Dla redakcji kulturalnej „TS” szkoda jest niewątpliwie, że tak mało otrzymaliśmy korespondencji z zagranicy, za którą, jak wiemy, jesteśmy czytani. A przecież chętnie zamieszczałibyśmy krótkie informacje napisane po polsku o tym, co może nie tyle w polonijnych światkach, ile w ogóle w kulturalnym świecie słychać. Mało też było udanych prób potraktowania materii audiowizualnej czy choćby plastyki i muzyki. Większość napisanych tekstów

dotyczyła pisma lub tego, cosie tradycyjnie opisuje: filmu i teatru. Wygląda więc na to, że ci, co widzą i słyszą, niekoniecznie piszą. Obawiam się, czy nie jest to relacja zwrotna...

Jeden konkurs wiosny nie czyni. By kultura rozkwitła, trzeba będzie takie próby powtarzać. Bo w kulturze, tak jak w innych sferach życia muszą istnieć czytelne reguły debiutowania i oceniania.

Dziś w dobie rozpowszechniania się komputerów osobistych i programowanych składów czasopism, nikt już dośępu do druku nie broni. Autorzy nie muszą więc zabiegać o łaskę druku. Jednak wszyscy walczyć musimy jeśli nie o środki na publikację, to o czytelnika. Tworzenie pisma nie jest już dziś unieśmiertelnianiem się w wiecznotrwałym druku. Jest to raczej zbijanie silnych tratw z morza artykułowanych słów. Trzeba, by dokonywało się to według jasnych reguł.

ANDRZEJ TADEUSZ KJOWSKI

Ankieta

Dnia 12 kwietnia przy okazji wręczenia nagród w konkursie na recenzję prasową rozlosowane zostały ufundowane przez SW „Czytelnik” nagrody dla uczestników ankiety: *Kto czyta kolumny kultury „TS”*.

Dwutomowe wydawnictwo: „Rozkwitały pęki białych róż” Andrzeja Romanowskiego otrzymuje pani **Katarzyna Szalańska z Warszawy**, czterotomowe dzieło Ryszarda Kapuścińskiego „Wrzenie świata” wysyłamy panu **Pawłowi Fersnerowi z Gdańska-Wrzeszcza**, zaś Andrzeja Garlickiego monografię Józefa Piłsudskiego wylosował pan **Grzegorz Błasiak z Gdyni**.

Tygodnik Solidarność 14 (133) 5 kwietnia 1991

Komunikat

2

Jury konkursu na recenzję prasową podczas posiedzenia w dniu 29 III pod przewodnictwem **TOMASZA BURKA** (Ernest Bryll, Andrzej Tadeusz Kijowski, Tomasz Łubieński, Piotr Matywiecki, Tadeusz Sobolewski i Piotr Wierzbicki) postanowiło przyznać nagrodę I — **JAROSŁAWOWI KLEJNOCKIEMU** (godło „Bim”), nagrodę II — **JACKOWI CIEŚLAKOWI** (godło „Niedźwiedź”) oraz nagrodę III — **ROBERTOWI BUBELOWI** (godło „bo”). Ponadto przyznano dwa wyróżnienia: **Annie Radłowskiej** (godło „Trzy Radła”) oraz **Maciejowi Muzyczukowi** (godło „Rajmund”).

Ankieta

Kto czyta kolumny kultury Tygodnika Solidarność?

● Czy czyta Pan/Pani kolumny kultury „TS” co tydzień, czy rzadziej (jak często?)

.....

● Czy jest to jedyne źródło Pana/Pani informacji kulturalnej?

.....

● Czy budzą one Pana/Pani zaufanie?

.....

● Których autorów czyta się chętnie, a których źle?

.....

.....

.....

.....



Ankieta **A** cd.

● Jakiego rodzaju tekstów Pani/Panu brakuje?

.....
.....
.....
.....

● Jaki jest Pani/Pana

a) wiek:

b) wykształcenie:

c) miejsce zamieszkania:

.....
.....

Termin nadsyłania odpowiedzi upływa 31.03.1991.

Wśród uczestników ankiety zostaną rozlosowane cenne nagrody książkowe ufundowane przez SW Czytelnik.

Tygodnik Solidarność 6 (125) 8 lutego 1991

17

KONKURS

Dział Kultury „Tygodnika Solidarność” ogłasza konkurs na recenzję prasową w dziedzinach: beletrystyki, dramatu, poezji, eseistyki, teatru, filmu, muzyki, plastyki, oraz form audiowizualnych. Do konkursu nie mogą przystąpić jedynie członkowie i kandydaci na członków związków i stowarzyszeń twórczych oraz osoby, które przekroczyły trzydziesty rok życia.

Jury w składzie: Ernest Bryll, Tomasz Burek, Andrzej Tadeusz Kijowski, Tomasz Łubieński, Piotr Matywiecki, Tadeusz Sobolewski i Piotr Wierzbicki przyzna nagrody: I — 2 000 000 zł, II — 1 000 000 zł, III — 500 000 zł. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace nagrodzone oraz te, które jury uzna za stosowne wyróżnić będą ponadto honorowane jak publikacje na łamach „TS”.

Na konkurs prosimy nadesłać dwie recenzje związane ze zdarzeniami, które zdaniem uczestnika konkursu należy pozytywnie lub negatywnie ocenić. Zdarzenie ważniejsze zrecenzować należy w tekście nie przekraczającym trzech stron, a mniej istotne półtorej strony znormalizowanego maszynopisu. Prosimy je wysyłać pod adresem: Dział Kultury „TS” ul. Czackiego 15/17, 00-950 W-wa, w zapieczętowanej kopercie opatrzonej godłem wraz z dodatkową zaklejoną kopertą (z tym samym godłem) zawierającą dane personalne uczestnika.

**Termin nadsyłania prac upływa 28 lutego 1991 r.
Decyduje data stempla pocztowego.**

przeгляд kulturalny

12 IV w redakcji „Tygodnika Solidarność” odbyło się wręczenie nagród przyznanych w konkursie na recenzję prasową a obecni byli (oprócz laureatów) niektórzy jurorzy: Tomasz Burek, Andrzej Tadeusz Kijowski i Piotr Wierzbicki. Po części tzw. oficjalnej (dyplomy itd.) wszyscy przeszli do nieformalnych rozmów przy kawie i ciastkach. ■ Do informacji o „Tygodniku Solidarność”

otrzymali je Jarosław Klejnocki, Jacek Cieślak, Robert Bubeł, Anna Radłowska i Maciej Muzyczuk. MM

**2 TYGODNIK
LITERACKI**

Nr 16 (31) □ 21 KWIETNIA 1991

KONKURS
Działu Kultury
„Tygodnika Solidarność”
na recenzję prasową, s. 16

Tygodnik Solidarność 5 (124) 1 lutego 1991

KONKURS

Dział Kultury „Tygodnika Solidarność” ogłasza konkurs na recenzję prasową w dziedzinach: beletrystyki, dramatu, poezji, eseistyki, teatru, filmu, muzyki, plastyki, oraz form audiowizualnych. Do konkursu nie mogą przystąpić jedynie członkowie i kandydaci na członków związków i stowarzyszeń twórczych oraz osoby, które przekroczyły trzydziesty rok życia.

Jury w składzie: Tomasz Burek, Ernest Bryll, Andrzej Tadeusz Kijowski, Tomasz Łubieński, Piotr Matywiecki, Tadeusz Sobolewski i Piotr Wierzbicki przyzna nagrody: I — 2 000 000 zł, II — 1 000 000 zł, III — 500 000 zł. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród. Prace nagrodzone oraz te, które jury uzna za stosowne wyróżnić będą ponadto honorowane jak publikacje na łamach „TS”.

Na konkurs należy nadesłać dwie recenzje związane ze zdarzeniami, które zdaniem uczestnika konkursu należy pozytywnie lub negatywnie ocenić. Zdarzenie ważniejsze zrecenzować należy w tekście nie przekraczającym trzech stron, a mniej istotne półtorej strony znormalizowanego maszynopisu. Prosimy je wysyłać pod adresem: Dział Kultury „TS” ul. Czackiego 15/17, 00-950 W-wa, w zapieczętowanej kopercie i opatrzone godłem wraz z dodatkową kopertą także podpisaną godłem i zaklejoną, a zawierającą dane personalne uczestnika.

Termin nadsyłania prac upływa 28 lutego 1991 r.
Decyduje data stempla pocztowego.

17

Tygodnik Solidarność 22 (141) 31 maja 1991

Mijają dwa lata od czerwcowych wyborów. Dobiega też końca pierwszy rok kadencji nowych samorządów. Zapytają nas za chwilę, czy coś się zmieniło. Gołym okiem widać, że jest gorzej.

Wielomiliardowy dług zaciągnięty przez nasze państwo w dolarach został w ramach oswożenia budżetów gmin, związków, a także instytucji artystycznych, z których wszystkie czują niedobory we własnej kasie. Nikt nie wie, z czego będzie żyć jutro. Coraz mniej ludzi wierzy w trwałość swojej firmy, wszystko jedno, czy to fabryka, urząd, redakcja, czy teatr. Widmo bankructwa wszystkim zagląda w oczy. Tra-

Samorząd, czyli w dokładnym tego słowa rozumieniu **my sami, mielibyśmy wpływ na kształt naszych teatrów.** W coraz częście jednak popularyzowanym znaczeniu, samorząd — to jacyś oszołomieni, niekompetentni, sfrustrowani faceci, w których ręce cytowana decyzja oddaje kulturowe dziedzictwo Warszawy, Krakowa i Łodzi, co w praktyce oznacza istotną część kulturalnej spuścizny narodu.

Znam wielu, którzy w tej chwili włosy wyrwą sobie z głowy. I nie powiem, bym sam pełen był optymizmu, choć leży przede mną podpisany przez wiceprezydenta Warszawy Leokadię Agatę Rymkiewicz dość światły projekt postępowania.

Cena swobody

westując Gombrowicza: panuje niepokój, szerokie kręgi społeczeństwa są podenerwowane. Czujemy się może wolni, lecz co i raz pytamy, czy ta swoboda nie za drogo nas kosztuje.

Szczególnie dojmujące jest to pytanie „na orenie” kultury. W Warszawie działa jeszcze 17 teatrów, a nadto opera, operetka i opera kameralna oraz 4 teatry lalek. Nie liczę tu spalonego Teatru Narodowego wraz z remontowaną salą Teatru Małego. Większość tych scen utrzymywana była dotychczas z budżetu wojewódzkiego. W tym roku rozgorzał jednak spór kompetencyjny. Ponieważ dawne władze Warszawy, a także Łodzi i Krakowa spełniały łącznie funkcje prezydencko-wojewódzkie, nie było jasne, kto w nowej sytuacji prawnej dziedziczy uprawnienia organu założycielskiego: czynnik rządowy, czyli wojewoda, czy też samorząd — a zatem prezydent.

Najsilniejszy spór dotyczy Warszawy, której zarząd domaga się oddania samorządowi władzy nad większością teatrów i tzw. jednostek upowszechniania kultury. Otóż, wbrew mylnym informacjom, 28 marca tego roku Krajowa Komisja Uwłaszczeniowa rozstrzygnęła: *nie budzi wątpliwości fakt, że (...) Miasto Stołeczne Warszawa nabyło z mocy prawa (...) sporne instytucje artystyczne.* Znaczy to dokładnie tyle, że obecnie o tworzeniu, prywatyzowaniu, zasadach finansowania kultury w Warszawie, a w konsekwencji zapewne także w Łodzi i w Krakowie nie będzie decydował urzędnik wojewódzkiego wydziału kultury (który może warto byłoby zlikwidować), lecz samorząd.

Wynika zeń, że **samorząd nie ma zamiaru powoływać i odwoływać dyrektorów teatru ani decydować z urzędu o merytorycznej działalności placówek kultury; że prezydent miasta pragnie zamiast wojewody podpisać z ministrem kultury porozumienie co do ochrony wybranych placówek. Powołane ma być także ciało doradcze przy prezydencie miasta, składające się z ekspertów i przedstawicieli środowiska kultury.**

I może właśnie od tego ciała, od jego umocowania i składu najwięcej zależy. Łatwo może się ono stać kolejną fasadą. Jeśli jednak czołowi twórcy i znawcy, przedstawiciele środowisk twórczych i naukowych zechcą zstąpić z piedestału i miast — jak za socjalizmu — załatwiać swoje sprawy w kolumnowych salach komisji sejmowych, to kto wie, czy wybitnemu artyście nie będzie łatwiej upomnieć się stanowczo o swoje w gronie miejskich rajców. Nie wiem też, czy prezydent lub burmistrz nie znajdą dlań więcej czasu i konkretniejszych pieniędzy niż na przykład prezydent kraju.

O radnych można powiedzieć, że bywają niekompetentni. Rzecz w tym, że **demokratyczne ciała nie muszą składać się ze specjalistów lecz tylko z ludzi godnych zaufania.** Tym zaś, co większą atencją darzą reprezentację państwową niż gminy, przypomnę tylko, że równo rok temu, przy milczącej zgodzie ministerstwa, nasz kontraktowy sejm odebrał wielu plastikom pracownie.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

NR 1(4) 1991

11

WĄTPIENIE I WIARA

A.T. Kijowski o religii w szkołach

„WARSZAWA”

OBVIOUSLY

Wątpienie i wiara

Instrukcja wprowadziła religię w progi szkół państwowych. Jednych to cieszy, a innych smuci. Martwi tych, naturalnie, co przejęci ideą tolerancji, obawiają się religijnego stylu myślenia, bycia, odczuwania. Stylu nauczania opartego w tak znacznej mierze na doznaniu. Krytycy uprawiania praktyk religijnych w szkole wypowiadają się w gruncie rzeczy przeciw posługiwaniu się emocjami w procesie dydaktycznym. Obawiają się pewnie, że światopogląd religijny i naukowy są sobie obce, a emocje, doznania, ekstazy popularyzowane wśród młodzieży mogą stanowić zarzewie fanatyzmu.

Nie ulega wątpliwości, że zagrożenie fanatyzmem zawsze istnieje. Może trafić się nawiedzony ksiądz, tak samo jak bywali oszaleli nauczyciele gimnastyki, polskiego, historii, przyrody i wielu innych przedmiotów. Fanatyzm religijny dotyczyć zaś może dwóch sfer: nietolerancji wobec tych, co wykładanej w szkole religii nie uznają, lub wymogu zgodności tez naukowych z dogmatami religijnymi.

Fanatyzm i tolerancja są to dwie skrajności nadbudowane na różnych postawach psychicznych. Fanatyzm jest abstrakcją wiary, podobnie jak tolerancja wynika z postawy wątpiącej. Między wątpieniem a wiarą rozgrywa się całe nasze funkcjonowanie publiczne, niedomagające wówczas, gdy sfery uczuć i przestrzeń działań rozumowych przestają być rozdzielane. Gdy zaciera się granica między *sacrum* a *profanum*.

Otóż pytanie o słuszność nauczania religii w szkole nie polega na kwestionowaniu obowiązku udziału państwa w edukacji kościelnej, lecz ma wątpliwości, jakie miejsca są do wyznawania wiary stosowne. Polega na lęku przed zlaniami się ze sobą sfery religijnej

i państwowej i pozostawieniem dziecka bez miejsca azylu, przybytku schronienia.

Spod moich okien na Długiej wyruszała warszawska pielgrzymka do Częstochowy. Młodzież



gromadziła się tu nocami. Organizowano tabory jak przed wyjazdem na obóz albo na wojnę. Wreszcie ruszyli o świcie „Z dzwonekami, z zelami, z bębenki”. Wychwalając Maryję i tych różnych księży, co w stanie wojennym głosili w swych małych parafiach zmartwychwstanie „Solidarności”. A teraz mają mir i posłuch proroków. I możliwość przejścia władzy, kroczenie na czele pochodów do szkół i internatów.

Instrukcja im na to pozwala. I wielu pewnie to zrobi. Zapominając o tym, że siła tych mszy, tych procesji i pielgrzymek brała się stąd, że ze szkoły wychodziły. Że były wakacyjne. Przeciw-państwowe. Że dla wielu okazywały się jedyną formą spędzania urlopu. Siła religii polegała więc na tym, że kojarzyła się z innymi miejscami, niż pracownie historii albo biologii. Że nie dotyczyły jej

ministerialne instrukcje i że sakramentów nie można było repetować. Słodka niewola Chrystusa dawała nam wolność od szkoły.

Wstępując w rzekę religii, w nieformalny pochód emocji, rozbiliśmy właśnie autokratyczną władzę. I teraz obawiamy się, by zbawca nie stał się tyranem. Uzasadnione to lęki! Skoro już można obserwować, jak burmistrz musi wymykać się z rady gminy na obowiązkową mszę za zaproszeniem. A my jeszcze się śmiejąc czujemy zarazem, że teraz zagrożenie może się okazać poważniejsze niż ze strony dawnych partyjnych akademii. Gdyż ten rodzaj ceremonii i nakazów odwołuje się do pamiętających jeszcze jezuickie czasy i głębiej osadzonych kulturowo pokładów zbiorowej wrażliwości.

Jednak zachowania takie mogą okazać się groźne tylko w takim systemie, w którym dominuje państwo. Łączący się zaś z nim kościół mógłby wzmocnić jego represyjne funkcje. Warto więc zdać sobie sprawę, że idea reformy samorządowej na tym właśnie polega, by dokuczliwość państwa zmniejszać. Gdyż wszystkie: i średnie, i podstawowe szkoły państwowe, których dotyczy wprowadzająca religię instrukcja ministerialna, już od września tego roku mogą, a szkoły podstawowe do końca 1993 roku muszą, przekształcić się w samorządowe.

Wówczas cała dzisiejsza dyskusja okaże się bezprzedmiotowa. Dotyczy ona bowiem zasad i jakichś idealnych, państwowych, platońskich rozstrzygnięć. Podczas gdy o tym, gdzie uczyć religii, jak wykorzystać subwencje i posiadane środki oraz czy poszerzać szkołę, czy zbudować przy kościele parafialną salę, już dziś możemy decydować sami, nie bacząc na odgórne instrukcje.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 30 (149) 26 lipca 1991

15

W Polsce przeszło półtora miliona magnetowidów znalazło się w rękach prywatnych. Powiększa się liczba anten satelitarnych. O magnetofonach nie wspomnę. Niby to nic, a przecież właśnie takie wynalazki, wyzwalając ludzi z uzależnienia od dystrybutorów filmowych, książkowych i dźwiękowych — wyznaczają wolność człowieka. Przynajmniej wolność polityczną, skoro znaczna część różnicy między systemami demokratycznym i komunistycznym polegała na dostępie do informacji. Można powiedzieć bez znacznej przesady, iż istota imperium kłamstwa oparta była na dezinformacji.

Polityka dezinformacji objawiała się w wywoływaniu dyskusji zastępczych: ciągów wypowiedzi spójnych, rozsądnych i moralnie głębokich, których

uczestnikom i słuchaczom brakowało tylko jednego — znajomości faktu będącego punktem wyjścia wywodu. Rozmawiano bowiem o filmach, których nikt nie widział, potępiano wynalazki, których licencji nie zakupiono, krytykowano systemy znane tylko nielicznym. Pamiętacie państwo namiętą dyskusję o filmie „Shoah”? Szczyt perwersji osiągnęli komuniści wtedy, gdy starali się dyskutować z nami o tym, czy godzi się, czy też nie godzi upowszechnić dzieła znane nam tylko w ich streszczeniu.

Komunizm padł o tyle, o ile skończył się monopol informacji. Tam, gdzie pozostał, gdzie ktokolwiek może zdecydować o tym, czy udostępnić jakiś przekaz drugim, tam gdzie cenzura nie zginęła, komunizm w swej istocie trwa. Trwa więc w zmonopolizowanej, pozbawionej konkurencji, zależnej od politycznych dyrektyw telewizji. Trwa, skoro dziś znowu proponuje mi się dyskusję na temat filmu, którego nie pokazano!

Mówię o zrealizowanym na zamówienie BBC przez Bolesława Sulika czteroodcinkowym serialu „In Solidarity”. Pokazano go w Polsce na festiwalu filmów krótkometrażowych, gdzie otrzymał prestiżową nagrodę FIPRESCI.

Posypały się protesty i słowa zachwytu. Ktoś złożył oficjalny protest, ktoś do takiego protestu namawiał. Jedni piszą, że to skandal i obraza majestatu, drudzy, że to wolność sztuki i interpretacji.

A ja? Ja czuję się obrażony i upokorzony. Bo nie mam swojego zdania. Co więcej, nie mogę go mieć. Muszę być więc głupszy od polemizujących na łamach tygodnika „Film” redaktora Pawlickiego i Janickiej, nie dodam od siebie ani jednego pytania do licznych wywiadów z Sulikiem, które pokazały się w prasie. Cała ta pozorna dyskusja rozgrywa się poza moimi plecami. Ignorując podstawowy

fakt, że zanim się zacznie o czymś mówić, trzeba najpierw udostępnić dane.

Nie, proszę państwa! To nie jest tak, jak się niektórym przeciwnikom demonopolizacji in-

formacji zdaje, że gdy wielu mówi, powstaje szum i nikt już nie jest słyszany. Nawet na wiecu, gdy ktoś potężnie zagrzmi i do sensu powie, gdy skupi się wokół niego gromada, umilkną pokątne pogawarki. Rzecz wartościowa domaga się emisji, choćby po to, by mogła być krytykowana. Rzecz wartościowa zwróci swoje koszty, przywoła publiczność, wykreuje potężnego dystrybutora. Kto tego nie rozumie, kto pozwolił, by film o Polsce, z lutego, znany Anglikom, był jeszcze w lipcu w Polsce nie znany — to, albo po komunistycznemu wierzy w możliwość limitowania dostępu do informacji, albo w kapitalistycznym stylu prowadzi swą firmę do bankructwa.

Do upadku! Bo ja już zdecydowałem. W najbliższych dniach kupię wideo, od znajomego redaktora, pożyczę kasety z tym serialem i będę go oglądał, nie bacząc na prawa autorskie BBC, pana Sulika, polskich kooperatorów i kogo tam chcecie. Może mnie wreszcie zamkną za łamanie prawa. Ale myśmy to brali. I wiemy, że ciekwości uwięzić się nie da.

Cenzura nie zginęła!

Tygodnik Solidarność 34 (153) 23 sierpnia 1991



fol. WOJCIECH BOGUSZEWSKI

Pielgrzymka wyjścia

Radością można się też zmęczyć — powiedział papież do młodzieży świata zgromadzonej w Częstochowie. Radość jest bowiem nastrojem, którym Ojciec Święty zawsze sam się cieszy i dla którego wywołania skłonny jest nawet przerwać liturgię. Jednak radość by trwać potrzebuje tematu.

Mamy podświadomą ochotę pomniejszania zdarzeń, których znaczenia nie ogarniamy. „Ten, który wszystko zepsuł” podpowie niejednemu, że obecna pielgrzymka Jana Pawła II, to już nie to, co przed dwunastu laty, gdy przybywszy tu po raz pierwszy jako papież sprawił, że Duch Święty *zstał i odmienił oblicze ziemi — tej ziemi.*

Pierwszą część obecnej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski nazwał sobie: pielgrzymką przestrogi. Skupiona wokół Dekalogu przypomniła ona człowiekowi współczesnemu, często kształtującemu swe życie tak *jakby Bóg nie istniał,*

jakie prawa wypisano na tablicach po to, by się ich nikt kwestionować nie ważył.

Potwierdziwszy te słowa, te niewzruszone zasady, zwołał dziś papież do stóp Jasnej Góry młodzież, by jej zadać budowanie nowej, wspólnej Europy, nowego chrześcijaństwa trzeciego tysiąclecia. *Waszym posłannictwem jest zabezpieczyć w jutrzejszym świecie obecność takich wartości, jak pełna wolność religijna, poszanowanie osobowego wymiaru rozwoju, ochrona prawa człowieka do życia począwszy od momentu poczęcia aż do naturalnej śmierci, troska o umocnienie rodziny, o jej rozwój, dowartościowanie kulturowych odrębności dla wzajemnego ubogacenia się wszystkich ludzi, ochrona równowagi środowiska naturalnego.*

Mówił papież do nawiedzających dziś Polskę młodych Włochów, Francuzów i Hiszpanów, Litwinów i Rosjan, Skandynawów, Czechów, Chorwatów, Słowenicyków,

dla których stała się ta ziemia na moment dzięki papieżowi — centrum, przybytkiem Ducha. Jeszcze nie widzimy, co się wydarzyło. Jeszcze może tego nie ogarniamy. Sądzę jednak, że uruchomiony został w poszerzonej, europejskiej skali podobny, celowy ruch pielgrzymi, którego wywołanie przed dwunastu laty w Polsce zaowocowało zupełnie nową samoorganizacją ludzi. Nową wspólnotą, która z czasem zbudowałaś ethos solidarności dziś wnika w instytucjonalne ramy.

Urządzenie świata będzie się zmieniać. Będzie pewnie coraz mniej instytucjonalne, a coraz bardziej personalne. Na pielgrzymich — szlakach młodzi, odważni ludzie mają szansę porozumieć się, co do wartości i w niemal naturalnych warunkach szukać form ich realizacji. Czy nie byliśmy właśnie świadkami, jak poruszył świat w zupełnie nową stronę ten, który słusznie mógłby do nas powiedzieć: *Jam jest, którym was wywiódł z domu niewoli?*

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 35 (154) 30 sierpnia 1991

15

Wolność dawania

— *Wolę być tutaj pracownikiem fizycznym niż wracać tam na dobrą posadę w instytucie naukowym* — powiedział młody Rosjanin na wieść o wprowadzeniu w Związku Radzieckim stanu wyjątkowego. Powiedział to, co przed kilku laty wielu z nas mówiło w różnych punktach Europy i świata; powiedział, że nie może żyć w niewoli. To, co stało się w Rosji było zatrważające, choć konieczne. Choćby po to, by ostatni niewierni się przekonali, że naga siła musi przegrać z moralnym oporem.

Musiało do tego dojść, skoro Rosjanie mówią dziś to, co myśmy powtarzali przez lata: *iz nie da się żyć bez wolności*. A ja mam ochotę powtarzać dziś nie używany przez nas amerykański slogan mówiący, że *żyjemy w kraju wielkich możliwości*. Od dawna nie mogę się bowiem oprzeć wrażeniu, że przyszło mi żyć w miejscu i czasie cudownych przekształceń, że Dawca istnień w przyływie szczodrobliwości pozwolił mi urodzić się w najciekawszym z ciekawych, a zarazem najbezpieczniejszym z bezpiecznych okresów historii świata, w których duch się nie nudzi, a ciało też zbyt nie cierpi.

Przywykliśmy narzekać na swój los. Na niesprawiedliwość historii, obojętność świata. Do głowy nam nie przychodziło, że nasz kraj, nasz los może być dla kogokolwiek miejscem azylu, przybytkiem schronienia.

Ten, kto ma coś do dania, czuje się lepiej od ubogiego — czuje się godnie. A my „przyjaciołom Moskałom” mamy do przekazania wiele: swoje doświadczenie, swój optymizm, nadzieję, no i elementarne rzeczy: worki kaszy, tabliczki czekolady, miejsca noclegowe. Dary, które w stanie wojennym podtrzymywały naszą nadzieję.

Wieść o pożarze na wschodniej granicy przejęła nas większą trwogą niż wiadomości, które nadchodziły z Zatoki Perskiej. Pytaliśmy siebie, ile na tym możemy stracić. Rozległy się mądre głosy mówiące o skupieniu, koncentracji, uporczywym przekształcaniu instytucji życia publicznego. Mimo cudownej odmiany nic z tego, co powiedziano nie straciło na aktualności.

Gdyż warunkiem wejścia do wolnego świata będzie wyzbycie się nędzarskiego skupienia na sobie. Musimy otworzyć się na innych. Nie okazywać powierzchownej litości naszym sąsiadom, lecz wykrzesać z siebie autentyczne współczucie, które sprawia, że ofiarowana praca czy nocleg-przestają być jałmużną, stając się znakiem solidarności.

Mamy ludziom, sobie, światu do ofiarowania to jedno: **SOLIDARNOŚĆ**. W tym wspaniałym miejscu, w którym przyszło nam żyć, rozumiemy gorycz Rosjanina i mamy podstawy współodczuwać amerykański optymizm.

Czy jesteśmy godni utrzymać bogactwo wolności okaże się w tych dniach i najbliższych miesiącach, gdy przyjdzie zdawać egzamin z dawania spokoju, budzenia solidarności, budowania poczucia własnej godności i udzielania siły. Dojrzawszy jako pokolenie, dojrzawszy jako naród, dysponując zupełnie dojrzałym (choć dalekim od doskonałości, rzecz prosta) państwem, pierwszy raz w dziejach nie musimy brać, lecz możemy dawać.

Młody Rosjanin, którego wypowiedź usłyszałem w Wiadomościach TV uświadomił mi, że żyjemy w prawdziwie wolnym kraju. Czy wolnym on pozostanie, zależy od tego, czy zgodzimy się dostrzegać, jak bliscy, jak podobni do nas są nasi sąsiedzi. Czy będziemy dość wolni, by dawać?

Tygodnik Solidarność 36 (155) 6 września 1991

15

Co lubią Francuzi?

Bardzo trudno porównywać różne kraje, różne regiony, różne rozwiązania ustrojowe. Jeśli jednak pragniemy nawiązywać do europejskiej tradycji, trudno nie odwołać się do cudzych doświadczeń.

Francuski departament Isère, którego budżet oglądam, nie należy ani do największych, ani najbogatszych, ani nawet najstarszych w tym kraju. Rozciągnięty między północnymi Alpami ze stolicą sportów zimowych Grenoble a równiną Dauphine, razem turystyczny i bliski przemysłowi niedalekiego robotniczego Lyonu, ma blisko milion mieszkańców. Z zachowaniem wszelkich proporcji warto poznać sumy francuskich samorządowych wydatków na kulturę.

Izerski Conseil Général (coś na kształt naszego Wojewódzkiego Sejmiku Samorządowego, tyle że z kompetencjami) z łącznego budżetu rządu blisko 3,5 miliarda franków — czyli ponad 5,5 miliona dolarów (albo jak kto woli z górą sześć i pół biliona złotych) — na kulturę przeznaczają około 3 procent swojego dochodu. To ponad 105 milionów franków,

czyli przeszło 17 milionów dolarów, równoważne prawie 200 miliardom złotych. Samorząd warszawski wydaje na kulturę niespełna 1,5 procenta około dwubilionowego budżetu miasta (dokładnie 26 mld złotych). Oczywiście Francja jest krajem wielokroć bogatszym od Polski, ale przyznają państwo, że zestawienie tych wszystkich cyfr robi jednak duże wrażenie.

Na terenie departamentu Isère znajduje się wiele bogactw kulturalnych: 45 muzeów, w tym 5 departamentalnych, 7 punktów archeologicznych, 16 zamków udostępnianych publiczności. Niemało to, ale sumarycznie licząc, chyba nie mniej pamiątek kultury można znaleźć na terenie województwa warszawskiego: z jego dziedzictwem narodowym oraz dziesiątkiem bibliotek, muzeów, teatrów, archiwów, o które — poprzez swych samorządowych przedstawicieli — dbać muszą sami mieszkańcy.

Tak to więc wygląda we Francji. Na funkcjonowanie muzeów departamentalnych Conseil Général przeznaczają prawie 35 milionów franków (5,5 miliona dolarów). Z tej kwoty 9 mln franków stanowi wydatki na obiekty kultury, ponad 8 milionów kosztuje dziedzictwo etnologiczne, historyczne i architektoniczne, z górą 6 milionów przeznaczają się na prace w muzeach, niespełna 3 miliony franków na ich funkcjonowanie, po 2 z kawałkiem na pomniki historyczne i archeologię. Na czytelnictwo władze samorządowe Isère przeznaczają ponad 5,5 miliona franków, z czego centralna biblioteka wypożyczeń pochłania mniej niż połowę, reszta zaś stanowi subwencję dla bibliotek komunalnych i związkowych.

Dotowane są też oczywiście teatr, kino, balet, fotografia. Na upowszechnianie kultury idą dwa miliony franków. Osobną pozycją jest 16 milionów franków przeznaczonych na wypełnienie czasu wolnego, 39 milionów franków ofiarowanych na sport, a to nie licząc dwakroć wyższej od sum przeznaczonych na kulturę dotacji do oświaty.

Można nie drażnić się dalej tymi cyframi. W końcu — powtórzmy to — wiadomo, jak różny jest dochód narodowy Francji od polskiego. Nie o same liczby tu jednak chodzi, ale o zasadę, która głosi, że **ten, kto czuje się właścicielem swoich pieniędzy, zawsze podzieli je rozsądnie**. Jeśli jednak będzie się kompetencje odbierać, jeśli będzie się trzymać środki „na górze” obawiając się, że „niziny” źle je spożytkują, wytworzy się odruchy rabunkowe. **Centrum będzie wydzielać środki po to, by wzmocnić swą władzę; na dole zaś będzie się pieniądze na kulturę marnotrawić, nigdy nie wiedząc, jakie ich użycie uznane będzie przez dysponenta za właściwe**. Rzecz bowiem w tym, że **gdy o konieczności mowa, można stosować kryteria, jednak kiedy w grę wchodzi kultura — każdy kraj, region, człowiek, co innego lubi**. Lubią kulturę Francuzi.

Тыgodnik Solidarnosc 39 (1981) 27 Wrzesnia 1991

Pieśni mi brak

Nie śpiewamy. A jeśli robimy to w kościele, nuciemy na bardzo archaiczną nutę. Czyżby nie było pośród nas ludzi z muzycznym słuchem? Czyżby moje pokolenie, które wydało tylu wspaniałych bohaterów, nie umiało zdobyć się na swojego Moniuszkę, Komorowskiego czy choćby Władysława Szpilmana?

Kiedy mi wesoło, gdy serce rośnie, pieśń ciśnię się na usta. Mam wtedy ochotę zaśpiewać:

*Naprzeciw blaskom jutrzni,
w bitewny gwar i huk,
Idziemy silni butni,
przed nami pierzcha wróg.*

Mam ochotę zawołać: *Znamy warkot granatów, w ogniu walki byliśmy nie raz. Kto to jeszcze pamięta! Kto z państwa zanuci Kanon majowy, tak jak go śpiewały koleżanki z siódmej klasy podstawowej: Pieśń majowa, wiatru wiew. A Oka, a Marsz Pierwszego Korpusu czy ze śpiewniczków wyginęły? Zainteresowany tą myślą, zafrapowany, co nuci dziś dzieci na lekcjach śpiewu, pobiegłem na plac Dąbrowskiego, gdzie mieści się w Warszawie księgarnia szkolna. Chciałem zajrzeć do współczesnego śpiewniczka. Zobaczyłem przed księgarnią zbity uczniowski tłum, a na chodnikach kram i podręczników brak. Co ci przypomina, co ci*

przypomina widok znajomy ten?

W podręczniku do klasy czwartej czy piątej obok hymnu narodowego (słowa Józef Wybicki, autor muzyki nieznanego) zaraz na wstępie spotkałem jednak onże *Marsz Pierwszego Korpusu* (słowa: Adam Ważyk). I wzruszyłem się nie na żarty, tym bardziej że przejrzawszy podręczniczek, do końca zdałem sobie sprawę, że tylko te dwa utwory byłbym w stanie mojej córki zanucić. Poza tym pieśni ludowe, jakieś bułgarskie trele, które wyparły *Ojczyzno ma, o Moskwę ma, niezwykła siła twa*. Którą to piosenkę pod batutą uczącej mnie śpiewu i rosyjskiego pani Morawskiej wyśpiewywałem dziarsko jeszcze w latach 60.

Rzecz w tym, że nie mamy muzycznego kanonu. Zestawu pieśni obowiązkowych, pod względem melodycznym i tekstowym kształtujących ucho i poetycką wrażliwość. Próbował taki kanon zbudować Moniuszko zestawiając *Śpiewnik domowy*, ale tam tyle o ojczyźnie, o poświęceniu, że już doprawdy nie wiadomo, czy to się do współczesnej młodzieży stosuje.

Pieśni Moniuszki i Komorowskiego pisane były dla szlacheńskich córek grających na fortepianie. Znika powoli ten sprzęt z naszych do-

mów. Gdy kiedyś po niedzielnym obiedzie skupiano się wokół instrumentu, dziś puszcza się muzykę z taśmy, a grać każde dziecko wnet będzie umiało na klawiszach swojego komputera. Co śpiewać? Do jakich tradycji nawiązywać? Nic tak nie łączy przecież jak wspólne muzykowanie. Kultura niemiecka, szwajcarska, włoska zawdzięczają wiele umiejętności wspólnego śpiewania przy winie lub piwie. Wychowano mnie przy surmach kotłów i wtórze gitary. Na strunach grano pieśni Wysockiego i Okudźawy, na trąbach wygrywano przebrzmiewające pieśni masowe. Ani jedna, ani druga z tych muzycznych kultur nie zdają mi się rodzime i może dlatego żadna z nich nie zdołała wcielić się w ruch Solidarności.

Pieśni nie zaśpiewano! Nie znaleźliśmy wspólnego tonu. Można powiedzieć więcej, że wyjątkowo byliśmy muzyce przeciwni. Pytaliśmy, jakby cytując Herberta:

*Któż to dał jej prawo
tak szarpać za włosy
wyciskać żył z oczu
podrywać do ataku.*

Brzmia mi w uszach pieśni masowe i obce dźwięki. Słyszę smętnie zawadzające tłumy zbierające się na błoniach, gdzie przybywają spotykać papieża. Te tłumy, które póty nie staną się społeczeństwem, póki nie zaśpiewają, a nie zaśpiewają póty, póki nie nauczą się zestrzącać w jedno brzmienie setek różnych głosów.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

16

Tygodnik Solidarność 40 (159) 4 października 1991

Niewolnik — mój pan

Jeszcze video jeszcze komputer... — wyczytałem w wierszu Krystyny Roszak „Wypredaź”. Wiersz jest o rzeczach, które się psują drą gubią pruja, z których żadna nie była nigdy przedmiotem moich marzeń, jak pisze świetna, moim zdaniem, poetka.

Rzeczy nie są mi obce. Chorobę na nie przechodziłem w późnym stanie wojennym. Kiedy nie można było skupić się na życiu publicznym, praca naukowa odsłaniała swój bezsens, a intensywne życie osobiste nie było mi dane — wtedy ogromną część moich uczuć oddałem pewnemu stuletniemu małuchowi, montując w nim bajery, uruchamiając go „z psychu” jak hulajnogę, ruszając bez sprzęgła, wlewając weń hektolitry zdobytej „na czarno” benzyny. Wtedy wchłonęły mnie kasety, tunery, equalizery i jakie tam jeszcze muzyczne cuda istnieją.

Choroba na rzeczy jest jak dziecięce zakażenie. Kiedyś przejść ją trzeba. Uodparnia ona na rzeczywistość i aklimatyzuje. Wydawało mi się, że już wyzbyłem się pożałdliwości, że rzeczy nie zagrażają mi, a może nawet służą. Gdyby nie te dwie: właśnie video, właśnie komputer, te dwie, które zaczynają mi się zdawać niezbędne, a które uogólniła w swoim wierszu Krystyna Roszak.

Komputer, jak większość wynalazków współczesności, zastępuje służącego: sekretarza, kopistę, słowem wykształconego greckiego niewolnika, którym zwykł posługiwać się do pracy i do rozmowy Petroniusz. IBM, którym ja się posługuję, ze swoimi *dialog box*, jest od uczonego sługi niewątpliwie mniej doskonały, przewagę ma nad nim moralną jedynie, że nikogo nie każe niewolić.

Poza samym sobą rzecz jasna. Samym sobą, który posługując się w Polsce tą amerykańską maszyną schodzę do poziomu najpodrzedniejszego brytyjskiego niewolnika. Kunta Kinte, którego nauczone po angielsku stu zdań oznajmujących i kilkudziesięciu poleceń. Mój sługa dręczy mnie i męczy, zmienna jest relacja między niewolnikiem a panem. Mam go czasem ochotę wychłostać, wyrzucić przez okno, choć naturalnie nie zrobię mu żadnej krzywdy, skoro podziwiam go na tyle, że byłem zań skłonny bardzo słono zapłacić. Postąpiłem więc podobnie jak grecki skryba, który też przecież, choćby nawet teoretycznie

przysługiwało mu to prawo, nie chłostałby ani mordował bardzo cennego niewolnika, z którym jednakowoż kontakt — bez wątplenia nie wolny od przemiennej gry ról sługi i pana — oparty byłby na znacznie bardziej ludzkich, personalnych podstawach.

Nie znaczy to, że bez reszty podzielał poglądy Arystotelesa, który nie wyobrażał sobie doskonalszego systemu od opartego na niewolniczych zasadach. Nie ulega jednak wątpliwości, że pierwiastek niewolnictwa bynajmniej nie zniknął wraz z zdekretowaniem innych systemów, próby zaś jego usunięcia prowadzą do odpersonalizowania stosunków międzyludzkich, sprawiając, że ludzie pragnący usług nie reifikują może drugich, za to silnie personalizują rzeczy.

Czy to dobrze? Czy lepiej rozmawiać z żywym czy z mechanicznym sługą, trudno rozstrzygnąć w pół zdania. Nie ulega jednak wątpliwości, że współczesny Polak posługujący się komputerem niewiele się różni od barbarzyńcy, który zdobywszy narzędzie nie przez siebie wynalezione, staje się niewolnikiem cudzej cywilizacji. Nigdzie chyba z równą mocą jak w naszym komputerowym świecie nie ujawnia się bezbrzeże naszej niekompetencji, bezczelności, cynizmu większości, na pół otrząskanych w świecie, informatyków potrafiących jedynie kraść programy, a nie umiejących rozwiązywać kwestii tak elementarnych, jak znormalizowane posługiwanie się tzw. polskimi znakami, czyli literkami **ą**, **ś**, **ć** czy **ż**.

Jeżeli kwestia uporządkowania polskich literek, czyli sprawienia, by **ą** łądowało po **a** w alfabecie, przerasta, jak stwierdziłem, kompetencje firmy *Computerland*, przedstawiającej się jako oficjalny partner IBM, to jak możemy liczyć, by po zainstalowaniu komputerów sprawnie funkcjonował nasz system bankowy, rodzima informacja przemysłowa, walka z własnymi przestępstwami!? Przecież żadnej z tych dziedzin nie sposób urządzić zapoznając wielowiekowe tradycje cywilizacyjne narodu, nie można na sposób mechaniczny przenosić tutaj cudzych, obcych naszemu społeczeństwu wzorów!

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że komputer wraz z video, xerokopiarką i magnetycznymi kasetami znajduje się w gronie najlepszych elektronicznych wybaczców. Zrozumiałem to, gdy dożyła kontrewolucja w Sowietach. Gdy instynktownie pobiegłszy

do sklepu i zakupiwszy na zapas kilka taśm do mojej drukarki wiedziałem, że odtąd żadna rewolucja, żaden przewrót nie będą już w stanie założyć bariery informacyjnej, nawet podobnej do tej, z jaką mieliśmy do czynienia w miesiącach stanu wojennego.

Tak, proszę państwa: obawiam się, że to nie my zwalczyliśmy komunę, lecz tylko zachodnia cywilizacja elektroniczna. Rozwój sił wytwórczych, jak mawiał pewen niegłupi filozof, wymusił zmianę stosunków produkcji. Teraz jednak ta cudza, postępowoformacja gotowa jest zwalczyć nas. Odczytać własnego języka, uniemożliwić nawiązanie do własnych wzorów organizacyjnych czy handlowych.

Nigdzie na świecie tak nie ma. Fracuzi mają swoje, a Niemcy swoje wersje międzynarodowych programów informatycznych. Ale my ciągle nie szanujemy cudzej własności intelektualnej, święcie przekonani, że potrafimy wszystko, zachowujemy się jak barbarzyńcy, co widelca używają w charakterze grzebienia.



Jeszcze video, jeszcze komputer. Ma rację poeta twierdząc, że puste są rzeczy. Nie widzę jednak przed nami innej drogi: jeśli nie chcemy jak pierwotnie jakieś społeczeństwo zamknąć się w osobnym — ludziom może przyjaznym — ale zacofanym i wyizolowanym świecie, musimy walczyć o własną kulturę w ramach europejskiej cywilizacji. Dbając tylko, by dziecięca choroba rzeczy nie rozwinęła się w epidemii.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

S P O T K A N I A - 9 P A Ź D Z I E R N I K A 1 9 9 1

THE UNIVERSITY OF CHICAGO



KIM JESTEM?

Nie jadam obiadów. Od czasu gdy zacząłem na serio pracować, gdy wyrząłem z tej „niszy ekologicznej”, jaką były dla mnie instytuty naukowe i wyższe uczelnie, permanentnie mnie mdli. Jedni umawiają się ze mną o dwunastą, inni o czwartą, jeszcze inni między drugą a trzecią. Odkąd zacząłem bywać na zebraniach niedobrze mi na widok ludzkich twarzy.

Znać w tym upadek kultury pracy, lecz także zatrąę poczucia identyczności. Nie rozpoznajemy się bowiem po sposobie wykonywania pracy, ani nie znamy miejsc gwarantujących odpowiadający nam tryb i sposób pracy. Nie wiemy kim jesteśmy.

(Kim jestem dowiem się wtedy, gdy spytam do kogo jestem podobny, czyj wzór życia mi odpowiada, o której zwykłem wstawać, kłaść się, o której jadam posiłki. Zarobki tego nie rozstrzygają: za te same pieniądze można kupować baleron albo książki, nowoczesne sprzęty bądź jeździć za granicę). A więc kim jestem?

Myślę, że należę do bardzo dziś licznej warstwy ludzi, których całe życie zawodowe jest sztuką spotykania się z innymi: nie na fizycznej pracy, ani rządzeniu nimi, lecz na spotykaniu osób, naradzaniu się, umawianiu ich w celach handlowych lub informacyjnych. Są to inni ludzie niż osoby poddane ścisłym rygorom pracy najemnej, wyrzucone poza nawias społeczeństwa, a także inne od tych co się ponad społeczeństwo wzbili rządząc nim z poziomu elit władzy. Przedstawiciele klasy średniej wyróżnia jak sądzę stosunek do czasu.

Kto więc wie czy nie pierwszym, a egzystencjonalnie wcale niebagatelnym znakiem, że wytworzyliśmy wreszcie w Polsce stan średni, będzie ustalenie pory jadaania obiadów. Andrzej Tadeusz Kijowski

5.8

13 XII 1991 r.

NOWY ŚWIAT

Kto się ZOMO nie kłaniał...

Dzisiaj o godzinie 18.00 w dziesiątą rocznicę ogłoszenia stanu wojennego w dawnym muzeum Lenina nazywanym dziś na powrót pałacem Radziwiłłów, w odebranej generałowi Walterowi alei Solidarności 62 spotkają się poeci podziemia. Tomasz Jastrun, Krzysztof Karasek, Jarosław Markiewicz, Piotr Lachmann w wieczorku zatytułowanym „Mniejsze zło albo poezja stanu wojennego” wspominać będą: ów czas okrutny kiedy na ojczyzny grobie...

Godzinę wcześniej w tym samym wnętrzu obecnego Muzeum Niepodległości otwarta zostanie wystawa fotograficzna poświęcona stanowi wojennemu.

(tak)

W

Z

Y

Nie będzie likwidacji Ministerstwa Kultury

Prognozy Andrzeja Sicińskiego

Mówiło się o likwidacji, ograniczeniu zadań, o redukcji Ministerstwa Kultury i Sztuki do roli departamentu w jakimś wspólnym ministerstwie oświecenia publicznego. Tymczasem nowym ministrem kultury i sztuki mianowano profesora Andrzeja Sicińskiego z Polskiej Akademii Nauk.

Andrzej Siciński, urodzony w roku 1924 pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Kieruje Zakładem Badań nad Stylami Życia, tworzonym niegdyś pod inną nazwą przez profesora Stefana Żółkiewskiego. Nowy minister ma żonę i syna. W latach siedemdziesiątych był ekspertem Ministerstwa Kultury i Sztuki specjalizującym się w problematyce prognostycznej. Jest autorem książek: „Literaci polscy”, „Dziś i jutro kultury polskiej”, analizy: „Młodzi o roku 2000” redaktorem trzymowej serii „Styl życia”.

Podczas przesłuchań przez sejmową Komisję Kultury prof. Siciński zaznaczył, że byłby przeciwny całkowitej eliminacji opiekuńczych funkcji państwa wobec kultury. Przedstawił się jako zwolennik przejmowania opieki nad kulturą przez samo-

rzędy. Jego zdaniem ustawa o dochodach winna umożliwić policzenie zadań kulturowych gminy i sprawić by samorządy, które się z nich wywiązują, mniejszy procent swego dochodu odprowadzały do budżetu centralnego. Andrzej Siciński twierdzi, że refundowanie tych kosztów gminie nie powinno dokonywać się w formie dotacji celowej. Samorządy muszą same decydować o tym, jakiego rodzaju działalność kulturalną promują.

Pytany o stosunek do problemu szerzącej się pornografii profesor Siciński odparł posłom że Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, że na ten rodzaj podnień wrażliwe są osoby o niskiej kulturze. Należy więc podnosić kulturę jednostek, miast wprowadzać ostre bariery cenzuralne.

Sejmową Komisja Kultury negatywnie (stosunkiem głosów 12 do 8) opiniowała kandydaturę Andrzeja Sicińskiego na stanowisko ministra kultury i sztuki.

Poproszony przez mnie o skomentowanie tego faktu Andrzej Siciński powiedział „Nowemu Światu”, że koncentrował się w

swoich odpowiedzialnościach nad problematyką systemową, akcentując zagadnienia funkcjonowania władzy lokalnej. Nie zdecydował się zaś na określenie przed posłami wyraźnej opcji ideowej. Nie zadowolili przez to ani tych, którzy pragnęliby usłyszeć zapewnienie o zachowaniu wszechogarniającego mecenatu państwa, ani tych, którzy chcieliby dowiedzieć się na czym będzie polegał „przełom” nowego rządu. Profesor Siciński powiedział nam, że nie wkroczy do ministerstwa ze swoją ekipą ludzi, ma zamiar oprzeć się na dotychczasowych urzędnikach, znacznie jednak zredukując ich liczbę. Ewentualny „przełom” będzie zaś polegał na tym, że odtąd projekty będą realizowane, ministerstwo zaś nie będzie urzędem lecz sztabem.

Zapytany przez nas o potrzebe istnienia, a także zakres zadań Ministerstwa Kultury i Sztuki prof. Siciński stwierdził, że obecnie nie może być mowy o likwidacji tego resortu. Tak też należy odczytywać intencje premiera Jana Olszewskiego. Sprawa ewentualnego ograniczenia roli ministerstwa nie może być — zdaniem A. Sicińskiego — pozostawiona do decyzji urzędników, jakim jest

minister kultury, lecz musi zostać ustawowo rozstrzygnięta przez Sejm.

Przesłuchujący profesora Sicińskiego posłowie nie pytali go o stosunek do wyjątkowego potraktowania przez ustawodawcę Fundacji Kultury przy MKiS. Na dzień przed objęciem urzędu ministra Andrzej Siciński powiedział mi, że uważa to za nieprawidłowość i opowiada się za zrównaniem ulg podatkowych dla wszystkich fundacji.

W opinii Aleksandra Małachowskiego (Solidarność Pracy) Andrzej Siciński jest jednym z najlepszych kandydatów proponowanego rządu. Zdaniem posła Małachowskiego na członkach sejmowej Komisji Kultury nie najlepsze wrażenie wywarło zdecydowanie teoretyczne przygotowanie kandydata. Jednak w głosowaniu, w którym przeciw jego kandydaturze opowiedzieli się przede wszystkim posłowie Unii nie odgrywały roli względy polityczne. Związany z Komitetami Obywatelskimi prof. Siciński nie wydaje mu się osobą politycznie kontrowersyjną. Natomiast An-



Fot. CAF — PAP

drzej Urbański (Porozumienie Centrum) ubolewa, że głosowanie w sprawie opinii dla ministra kultury miało charakter wyraźnie polityczny. W tego rodzaju rozstrzygnięciach nie powinna z dniem posła, obowiązywać dyscyplina partyjna.

Trudno nie uznać za ciekawą prognozę objęcie resortu kultury w prawicowym rządzie przez szefa byłego zakładu Prognoz Społecznych Polskiej Akademii Nauk. Zważywszy, że w roku 1975 w swojej zasadniczej rozprawie zatytułowanej „Dziś i jutro kultury polskiej” Andrzej Siciński twierdził, iż: po fazie politycznej (1944—1949), fazie polityczno-ekonomicznej (1950—1955), fazie ekonomicznej (1956—1971) i ekonomiczno-socjalnej (od roku 1971), przyjdzie kulturowa faza kształtowania ustroju socjalistycznego. Jej nadejście przewidywał autor po roku 1990.

ANDRZEJ
TADEUSZ KIJOWSKI

NOWY ŚWIAT 19 II 1992 r.

KULTURA

13

Zabójcze uniki

Pojęcie ceny miesza się u nas stale z kategorią przywileju. Tym, którzy coś otrzymują tłumaczy się, że darowizną nie wolno handlować. W rezultacie artyści traktowani są jak dzieci, którym nie dano zabawki lecz pozwolono ją tylko potrzymać. Nie ma się więc co dziwić aktorom z warszawskiego Teatru Dramatycznego, że nie mając wpływu na finanse teatru starają się obronić istniejący stan, który przynajmniej zapewnia im pracę.

To jasne, że liczyć potrafią. Gdyby członkowie zespołu mogli sobie dołożyć do gaży choćby po dziesięć metrów kwadratowych powierzchni teatru (wartej na wolnym rynku około pół miliona złotych za metr) szybko okazałoby się, że z 9,5 tysiąca metrów kwadratowych powierzchni Teatru Dramatycznego można bez

straty dla sztuki odjąć nawet połowę. W mniejszych ośrodkach tak bywa. Tam gdzie Rada Miasta dysponuje lokalem scenicznym zdarza się, że przyznaje ona teatrowi dotacje na czynsz lub zwalnia dyrekcję z opłat. Tak egzystuje np. Teatr im. Witkacego w Zakopanem. Również w Gdyni Rada Miasta zwolniła mocą swej uchwały Teatr Miejski z płacenia czynszu. I nie ma nic przeciw temu, że zdobywa on środki na wystawienia wynajmując część powierzchni za blisko milion złotych od metra. Tyle bowiem są warte przestrzenie w pobliżu centralnej ulicy tego europejskiego, otwartego na świat, portowego miasta.

Ustawodawca skutecznie zawiązał sytuację prawną instytucji kultury. W stolicy sprawy komplikują dodatkowo niejasności

związane z własnością warszawskich gruntów. Po wojnie, po wielokrotnym przekazywaniu posesji z pominięciem hipotecznych zapisów, tylko dekret mógłby coś skutecznie poradzić. Jednak dekrety budzą lęk. Wygląda na to, że ustawodawca unika ostrych regulacji prawnych po to, by ocalić kulturę. Rezultat jest taki, że ludzie sztuki zatrudnieni w centralnych instytucjach artystycznych, miotają się drugi już rok, coraz bardziej wycieńczeni. Unoszą się tuż tuż nad powierzchnią kapitalistycznego oceanu.

Nie trzeba być prorokiem, by zgadnąć, że w ten sposób stają się łakomym kąskiem dla finansowych rekinów. Już za chwilę nie będą w stanie płynąć. Chyba, że zdecydują się zaraz, póki sił skoczyć w te odmęty. Wierząc w swój talent, w swą gwiazdę i mocne odbicie.

ANDRZEJ TADUSZ
KIJOWSKI

Andrzej Tadeusz Kijowski 06-05-2011, ostatnia aktualizacja 06-05-2011 17:37

Międzynarodowe Dni Książki i Prasy tradycyjnie odbywały się w maju

Zaczynało się od kiermaszu polskich wydawnictw w Alejach Ujazdowskich, po nim przychodził czas na Międzynarodowe Targi Książki, które organizowała w Pałacu Kultury Centrala Handlu Zagranicznego Ars Polona. Po wycofaniu kiermaszu z okolic parku Ujazdowskiego nigdzie w Warszawie nie udało się odtworzyć tamtej unikalnej atmosfery. Formuła targów międzynarodowych, na których zagraniczni wydawcy prezentowali książki warte pokazania Polakom, a Polacy te, które są warte tłumaczeń, sprawdzała się 55 razy. Jednak odkąd Warszawą zaczęła rządzić prezes banku, w stolicy zrobiło się nieznośnie drogo. Wzrosły czynsze, namnożyły się eksmisje. I wtedy – relacjonuje Grzegorz Guzowski, obecny prezes, od 18 lat zarządzający finansami Ars Polony – do gry przystąpił nowy zawodnik.

Nazywa się Zbigniew Benbenek. Szef Zjednoczonych Przedsiębiorstw Rozrywkowych (ZPR) przejął Wydawnictwo Murator, które posiada „Super Express”, Radio Wawa, Eskę, młodzieżową Eskę Rock, czasopisma o tenisie, wnętrzach i żaglach. Chciał nawet kupować „Rzeczpospolitą”. Murator interesuje się też targami, ostatnio Międzynarodowymi Targami Książki. Metody działania są zdaniem Guzowskiego zawsze te same: buduje się nagle obraz negatywny dochodowej imprezy, przekupuje niektórych wystawców, potem kopiuje formułę, stosując dumpingowe ceny i udzielając ogromnych rabatów. Wreszcie powołuje do organizacji całkowicie zależną spółkę córkę. W ten sposób przejęto już targi mieszkaniowe firmy Metrohouse, żeglarskie „Wiatr i woda” firmy Doram, a gdy nie spodobało się to twórcy Wydawnictwa Murator Zdzisławowi Stępińskiemu, tego ostatniego puszczono z torbami.

Nie chcę być następnym w kolejce – mówi Guzowski. Szef powierzchni targowych Pałacu Kultury Andrzej Siezieniewski zasiada przeciw w radzie nadzorczej Wydawnictwa Bellona, które jest duszą uzależnionej od Muratora spółki Warszawskie Targi Książki. W dwa lata PKiN podniósł Ars Polonie czynsze o 250 proc. W roku 2010, gdy targi miał otwierać patronujący imprezie śp. prezydent Lech Kaczyński, Hanna Gronkiewicz-Waltz odmówiła przyjęcia tradycyjnie pełnionej przez prezydenta miasta roli współgospodarza. Minister kultury zaś patronatem obdarzył zarówno sprawdzoną Ars Polonę, jak i debiutujących konkurentów. W rezultacie strata przedsiębiorstwa wyniosła 700 tys. zł.

– Nie mam 300 milionów – mówi Guzowski – którymi dysponuje Benbenek, by zaniżyć ceny i pokrywać stratę wykonawcy. A strata ta musi, według jego obliczeń, wynosić minimum 1,5 miliona złotych w ciągu roku.

Prezes Ars Polony przedstawia więc swoją spiskową teorię dziejów. A prawda jest taka – dają do zrozumienia oponenci – że rację ma bogatszy. Nieważne, jak Zbigniew Benbenek zdobył 300 milionów. Istotne, że wraz z byłym szefem radiowych dzienników z 1982 roku Andrzejem Siezieniewskim jest skłonny ubezpieczać nimi kolegów ze Stowarzyszenia „Ordynacka”: Jacka Oryła z Murator-Expo czy Tadeusza Górnego, i ci są górą! Ważne, żeby targi były nowoczesne, innowacyjne i podobały się wydawcom.

Ars Polona pod wodzą Guzowskiego miała swoje wady. Trudno było dobić z nim targu. Odczułem to na własnej skórze, gdy jako szef warszawskiej instytucji kultury przez trzy lata marzyłem o odtworzeniu atmosfery kiermaszu książki w Alejach Ujazdowskich. Wpuszczenie w to miejsce straganów wydawało się nieosiągalne ze względu na opór konserwatorów zieleni, więc miotałem się od Doliny

Szwajcarskiej po Ogrody Frascati. Tłumaczyłem, że ani śmierzący park na placu Defilad, ani Podzamcze, ani Mariensztat nadto oddalony nie stanie się miejscem kultowym. Znam się na plenerach. Spoglądano na mnie z pobłażaniem. Potem z Instytutu Książki za czasów Magdaleny Ślusarskiej moja instytucja dostawała trochę dodatkowych pieniędzy, ale logistycznego wsparcia odmówiono. A dziś? Atutem konkurencji jest to, że organizuje z miastem kiermasz na Mariensztacie. Ba, nawet o powrocie w Aleje Ujazdowskie już się mówić zaczyna...

Co będzie dalej? Gdy powstanie wznoszone już przez Murator Expo Centrum Targowe wokół Torwaru? To jasne jak trzy plus trzy. Pałac Kultury, instytucja nieekonomiczna, lecz mieszcząca w sobie sześć ważnych instytucji edukacji i kultury, straci główne źródło utrzymania, jakim jest wynajem sal na wystawy. Murator Expo nie jest przecież dobrą wróżką i nie będzie płacił w nieskończoność horrendalnych sum za wynajem powierzchni targowych. I wtedy może znów wróci głoszona nawet przez poprzednika Siezieniewskiego na tym stanowisku – dr. Krzysztofa Murawskiego – myśl, by jednak Pałac Kultury zburzyć.

Można. Ja jednak pytam, co w zamian? Kolejne banki, hotele czy hipermarkety stworzone przez właścicieli odzyskanych w ten sposób parceli? Jak te, które zajęły miejsce po obydwu teatrach Adama Hanuszkiewicza (Małym i Nowym)!? Kto mnie zapewni, że na nowej platformie miejskiej znajdzie się jeszcze miejsce dla innego niż gejowski teatru, dla literatury, która nie ma zamiaru zajmować się wyłącznie piekłem Holokaustu?

Jeśli oddamy pole, nie będziemy się wspierać, walczyć o utrzymanie tradycji, może się okazać, że niesłuszna partia nie znajdzie w stolicy miejsca na kongres. Karząca ręka rynku sterowanego przez władze miasta sprawi, że niepodobająca się Tadeuszowi Górnemu czy prezydentowi Paszyńskiemu literatura nie będzie się mogła rozprzestrzeniać. A Jarosław Kaczyński nie będzie miał gdzie drażnić uszu hrabianki Dzieduszyckiej, cytując Herberta... O tym, że jest źle, nie napisze już „Rzeczpospolita”, którą w końcu jednak Murator kupi. I nie obroni nas Najjaśniejsza Rzeczpospolita, gdyż do szczętu zostanie wyprzedana.

Ars Polona ma sporo wad. Jak wszystko co trąci... Poloną. Reprezentuje jednak tradycję budowy. Trzeba lat, by coś stworzyć – zburzyć można w mgnieniu oka. Przeciwnik może się wylegitymować drapieżnym przejęciem trzech imprez targowych i brutalnym pozbyciem założyciela, który markę Wydawnictwa Murator stworzył.

Nic nie usprawiedliwia chęci dobicia Międzynarodowych Targów Książki. Choć nie wszystkich na nich targów dobijano.

IV. Publicystyka medioznawcza

1. Trzecie odzyskanie mediów. „Rzeczpospolita” 3.XII.2008
2. Papierowa wolność słowa. „Rzeczpospolita” 17.IV.2008
3. Pamięć zawłaszczona. „Rzeczpospolita” 7.XI.2009
4. Telewizja publiczna skazana na wymarcie. „Rzeczpospolita” 8.VII.2010
5. Media publiczne do likwidacji. „Rzeczpospolita”, 1.III.2016
6. Dorastanie do wielkich skal, 23. PiK, analizy i opinie: TVP S.A., Łódź, 2016 .



Andrzej Tadeusz Kijowski: Trzecie odzyskanie mediów

Andrzej Tadeusz Kijowski 03-12-2008, ostatnia aktualizacja 03-12-2008 08:42

Nowa arystokracja dąży do tego, by kontrola medialna i władza realna podlegały procesowi dziedziczenia. Posłów, dziennikarzy, prezydentów wykonujących swoje „mandaty” w drugim pokoleniu coraz liczniejsze można podawać przykłady – pisze publicysta



autor zdjęcia: Mirosław Owczarek

źródło: Rzeczpospolita

[+zobacz więcej](#)

„Telewizja nasza!” – zakrzyknęła 25 września 1989 roku „Gazeta Wyborcza”, informując, że Tadeusz Mazowiecki mianował Andrzeja Drawicza prezesem Radiokomitetu. Ale słowo „nasza” rozumiane przez ówczesnych czytelników „Gazety” uogólniająco – jako: „polska”, „społeczna”, może nawet „antykomunistyczna” – dla establishmentu opozycji skupionego wokół ówczesnego organu „Solidarności” („Nie ma wolności bez Solidarności») – miało o wiele bardziej konkretny, polityczny, a z czasem także handlowy wymiar.

Godzi w każdego

Obecnie po raz trzeci w ostatnim dwudziestoleciu obserwować możemy próbę przeforsowania zmian, które „ich” media mają uczynić „naszymi”. I po raz trzeci łączy się to ze zdobyciem władzy

przez tzw. naszych.

Pierwszym było „odzyskanie” mediów w latach 1989 – 1992. Zniesienie cenzury, reglamentacji papieru i monopolu dystrybucji RSW Prasa. Drugim nieudana próba ataku na ich niezależność przez reformatorów ustawy medialnej skupionych wokół rządu Millera. To wszystko, co – jakkolwiek zdecydują sądy – historycy po wsze czasy kojarzyć już będą z grupą trzymającą władzę i aferą Rywina. Po raz trzeci odzyskać media, a w szczególności radio i telewizję publiczną, stara się obecny rząd.

Ale nie tylko. Propozycja zniesienia art. 212 k.k. w części dotyczącej oszczerstw prasowych wyszła wszak z przeciwnej strony. A przecież, jeśli się chce wolności, trzeba przyjąć i odpowiedzialność. Dlatego w momencie zniesienia cenzury po roku 1989 znaczenia nabrały prawo prasowe i kodeks karny z art. 212 przewidującym kary dla tych, którzy wolności słowa nadużywają.

Art. 212. głosi: „§ 1. Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie, karze ograniczenia albo pozbawienia wolności do roku.

§ 2. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch”.

Niektórzy powiadają, że ten paragraf ogranicza wolność prasy, że godzi w dziennikarzy. Azaliż!? Ten artykuł godzi w każdego, kto bezpodstawnie, ale z wykorzystaniem mediów, oskarży drugiego: zwoła konferencję prasową, wygłosi oszczerstwa, opublikuje je w Internecie, sprawi, że żadne sensacje gazety powtórzą lekkomyślne słowa. Tą osobą może być przełożony, burmistrz, premier, zawistny kolega. I nie dziennikarz będzie odpowiadał za zrelacjonowanie zdarzeń, lecz ten, kto fakt prasowy stworzył!

Przeszkadza politykom

Niebawem, z jakim spokojem projektodawcy poselskiego przedłożenia z 4 lipca 2008 r. stwierdzają: „powstanie negatywnego wyobrażenia w świadomości osób trzecich oraz poczucia moralnej krzywdy osoby, której dobro naruszono, jest zjawiskiem w zasadzie nieodwracalnym. Całkowite usunięcie skutku upowszechnienia za pomocą środków masowego przekazu informacji nieprawdziwej zdaje się obecnie niemożliwe. Czynnikiem łagodzącym te dotkliwe dla poszkodowanego konsekwencje jest jedynie bezpośredni i bliski związek czasowy pomiędzy opublikowaniem materiału prasowego i sądowym rozstrzygnięciem w postępowaniu o ochronę dóbr osobistych”.

Nic podobnego! Co mi z tego, że będę mógł wymóc szybką reakcję, jeśli za fałszywym oskarżeniem wypowiedzianym przez kogoś publicznie pójdzie równie kłamliwe doniesienie, np. do prokuratora o wymyślonych nadużyciach. Prasa będzie kryta. Minie rok albo półtora roku, zanim prawomocnie oczyszczony będę mógł... po raz kolejny złączyć swoje nazwisko z oskarżeniami w prasie i przechowującym jej informacje Internecie.

O nie! W atmosferze ogólnonarodowej nagonki zwykłym obywatelom pozostaje jako obrona jedynie surowe ukaranie i napiętnowanie oszczercy. Fakt, że art. 212 sytuuje obmowę jako przestępstwo ścigane z kodeksu karnego. Trudno się więc nie zgodzić, że zdecydowanie negatywnym stanowiskiem rządowym przedstawionym miesiąc temu, 5 listopada 2008: „projektowana depenalizacja zniesławienia i zniewagi mogłaby doprowadzić do eskalacji zachowań niepożądanych z punktu widzenia obowiązującego porządku prawnego”.

Chęć zniesienia art. 212 k.k. dowodzi wspólnego przekonania rządzącej kasty, że media są przez nią już na tyle kontrolowane, iż ich wyroki mogą się stać w praktyce niepodważalne

Słuszne to stwierdzenie. Nie należy jednak przed pierwszym czytaniem tego dokumentu w Sejmie zapominać, iż stanowisko rządowe w równej mierze krytykuje wszystkie elementy przedłożenia opozycji nt. „Zmian prawa prasowego oraz niektórych innych ustaw”. Ma więc charakter polityczny i może się stać ofiarą politycznych przetargów. Czytając zaś prasę, trudno było nie spostrzec, że projekt przeniesienia oszczerstw w sferę ochrony jedynie cywilnoprawnej podobał się prawie wszystkim politykom.

Art. 212 k.k. przeszkadza bowiem politykom. I to politykom wszelkich maści. Obrzucając błotem siebie nawzajem, politycy – wszyscy politycy – coraz częściej krzywdzą przy okazji otoczenie. A to otoczenie: księgowi, lekarze, urzędnicy – nie weźmie udziału w telewizyjnych połajankach, po których nic już do końca nie wiadomo. Otoczenie może co najwyżej pójść do sądu. Rzecz jasna niezawisłego. Za złe słowa zażąda surowych wyroków.

Pitera zmiesza Ziobrę

Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Członkowie elity piętnują się wzajemnie, palą na stosie, urządzają inkwizycyjne sądy. Ofiary z tego grona są jednak obecnie raczej wirtualne. Cezar zabijał, Borgia truła, skazywano na banicję, za restauracji pojedynekowano się namiętnie. Dziś co najwyżej jakaś Pitera zmiesza z błotem pewnego Ziobrę, a każdy z Kurskich innego premiera spostonuje.

Ponieważ pojęcie honoru dawno przestało w polityce obowiązywać, trup ściele się dziś gęsto. Jednak powaleni powstają, zmieniają plac i rodzaj broni, lecz pozostają idolami areny. Niczym w grze komputerowej ludzie mediów (zarówno dziennikarze, jak i politycy) mają kilka istnień. Dla elit są zresztą inne prawa. Tu zadbano o szybkie wyroki wydawane w 24-godzinnym trybie wyborczym. Ktoś kogoś naobraża, potem przeprosi, za rok i tak już nikt tego nie będzie pamiętał. Człowiek mediów sobie poradzi – ktoś napisze, że ukradł: To on mu odpisze, może nawet opublikuje odpowiedź w Internecie: zajrzycie w Google, u, przeczytacie trochę złego, ale i wiele dobrego na temat osoby publicznej.

Inaczej zwykli ludzie. Dla nich artykuł prasowy oparty na poszlakach czy zwyczajnym kłamstwie, jakiś odprysk znalezienia się w orbicie politycznego kacyka może się okazać końcem życia

zawodowego. Można do śmierci nie oczyścić się z tego, co jakiś podlec nagada. Jaki bowiem normalny obywatel ma czas i środki, by wodzić się po cywilnych sądach latami, gdy ktoś nakłamię, a prasa to powtórzy? Jakie szanse na obronę ma uczciwy człowiek, któremu jeden szkalujący go artykuł prasowy może – przechowywany dziś w Internecie latami – przekreślić karierę?

Nowa klasa społeczna

Ale czy komukolwiek jeszcze o tego przeciętnego obywatela chodzi? Wszyscy już wiedzą, że prawie nikomu! Ludziom współczesnej polityki nie chodzi ani o obywateli, ani nawet o naród. Chodzi im wyłącznie o nich samych. A ściślej – jakby powiedział marksista – o ich interes klasowy. W blasku jupiterów politycy i dziennikarze tworzą dziś wspólnie nową media-polityczną klasę społeczną. Nie ma premiera, który nie redagowałby kiedyś pisma. Każdy naczelny redaktor czuje, że nosi prezydencką buławę w plecaku.

Nowa arystokracja dąży do tego, by kontrola medialna i władza realna znalazły się w rękach tych samych elit i podlegały procesowi dziedziczenia. Posłów, dziennikarzy, prezydentów wykonujących swoje „mandaty” w drugim pokoleniu coraz liczniejsze (nie tylko zresztą w Polsce) można podawać przykłady. Ta nowa klasa społeczna – wiele na to wskazuje – pragnie się teraz uwłaszczyć na tym, co pozostało z mediów publicznych.

Histeria, jaka zapanowała w mediach, gdy Irlandczycy odrzucili traktat unijny, pokazała, że współcześni dziennikarze i politycy kwestionują istotę demokracji. Odmawiają szeregowym obywatelom Europy: Francuzom, Holendrom, ostatnio Irlandczykom (pewnie i Polakom, gdyby nas o to w plebiscycie zapytać!), tym samym obywatelom, którzy w drodze referendum zaakceptowali poszerzenie wspólnoty – prawa zatrzymania elit w ich niepohamowanym marszu po władzę.

Adam Michnik w komentarzu „Gazety Wyborczej” z 14 czerwca 2008 niechybnie wskazał winnego. Irlandzkie elity media-polityczne otrzymały odeń czerwoną kartkę, bo nie umiały zmanipulować swego społeczeństwa.

Logika terroru

Chęć zniesienia czy osłabienia mocy art. 212 k.k. dowodzi wspólnego przekonania tworzącej się kasty, że media są przez nią już na tyle kontrolowane, iż ich wyroki mogą się stać w praktyce niepodważalne. To dowód przeświadczenia, że w istocie gazeta ani telewizja nie wyda dziś wyroku prasowego bez płynącego od władzy lub ze strony opozycji – zawsze jednak politycznie zaakceptowanego – przyzwolenia.

Media politycy zdają się tkwić w przekonaniu, że sojusz drugiej (wykonawczej) i czwartej (medialnej) władzy daje im nieograniczoną moc ferowania wyroków. W tej sytuacji trzecia (sądownicza) władza zdaje się w praktyce bezradna. Jaki bowiem wyrok wydany po latach procesu zdoła zmienić kapturowo ukształtowany osąd medialny!? Bezradny sąd jest zbędny. Skoro więc wyrok sądu nie zmieni opinii nagłośnionej przez media, nie ma sensu – według naszych władców – truć im życia i kwestionować raz upowszechnionych opinii.

Jest w tym logika. Ale to już logika terroru. Logika, która prędzej czy później doprowadzić musi do całkowitego zwątpienia obywateli w pseudodemokratyczny mechanizm. Do kolejnej „naszej” rewolucji. Buntu przeciwko waszej telewizji, waszej demokracji, waszej władzy i waszym wyrokom, które przyjdzie zmienić w wyniku przejęcia władzy, uzyskania kontroli nad mediami, które – jak to one – za winnych uznają przegranych, rację przyznawszy zwycięzcom.

Autor jest publicystą i menedżerem kultury. W latach 1992 – 1995 współtworzył Nową Telewizję Warszawa w prywatnej sieci Polonia 1. W latach 2001 – 2002 był dyrektorem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich

Rzeczpospolita



DRUKUJ

Papierowa wolność słowa

Andrzej Tadeusz Kijowski 17-04-2008, ostatnia aktualizacja 17-04-2008 07:39

Wolności mediów w Polsce nie było, nie ma i raczej już nie będzie, odkąd w 1997 roku konstytucyjnie zniesiono wolność słowa – twierdzi Andrzej Tadeusz Kijowski, ekspert Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu



źródło: Rzeczpospolita

[+zobacz więcej](#)

W Polsce Ludowej wolność ta miała iluzoryczny, czysto deklaracyjny charakter. Konstytucja PRL w art. 71, a po 1976 r. w art. 83 wolność słowa gwarantowała obywatelom bez żadnych zastrzeżeń. Cóż jednak z dobrego zapisu w konstytucji, skoro (jak żartowaliśmy w 1968 roku) elastycznym przedłużeniem jej paragrafów była pałka. Za tą pałką stał dekret Krajowej Rady Narodowej powołujący w 1945 r. – jeszcze w Lublinie – Urząd Kontroli Prasy (późniejszy GUKPPIW).

Nic więc dziwnego, że opozycja demokratyczna, walcząc z cenzurą, nie domagała się jej zniesienia, lecz raczej ujawnienia i określenia zakresu kompetencji. To nastąpiło w 1981 r. Powstała wtedy ustawa o cenzurze. Po to, by było wiadomo, co powiedzieć można, czego zaś nie. No i jakie konsekwencje poniesie ten, kto wolności słowa nadużyje, a jakie ten, kto przekroczy uprawnienia kontroli.

Posunięto się jednak dalej. W 1997 r. w art. 54 ust. 2 Konstytucji RP zapisano, że ustawa może wprowadzić obowiązek uprzedniego uzyskania koncesji na prowadzenie stacji radiowej lub telewizyjnej. Tym samym całą „wolność” gwarantowaną przez ust. 1 tego artykułu („Cenzura prewencyjna środków społecznego przekazu oraz koncesjonowanie prasy są zakazane”) zastrzeżono wyłącznie dla prasy. Z tym że ta „papierowa” wolność w 1989 r. była już nieco spóźniona. Papier był materiałem strategicznym może jeszcze w 1968 r. Współczesne media zdominowane są przez formy elektroniczne. Zniesienie koncesji na papier niewielkie ma znaczenie dla wolności słowa. Koncesjonowanie częstotliwości oznacza jej zniesienie.

Koncesja prewencyjna

Politycy trzymają więc dziś media żelazną ręką. Oprócz art. 54 ust. 2 konstytucji mają także – towarzyszący wszystkim wersjom ustawy o radiofonii i telewizji, od 17 października 1991 r. poczynając – ust. 2 pkt 1 art. 36: „Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować: 1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz naruszenie tajemnicy państwowej”.

Użyto tu czasu przyszłego w trybie przypuszczającym: „mogłoby”! To nie jest zapis mówiący, że coś może się ewentualnie stać, gdy ktoś złamie prawo. Ten zapis stanowi pełny woluntaryzm. Cofa nas do absolutyzmu XVII wieku, zapomina o wszystkich dokumentach wolnościowych, od deklaracji praw człowieka i obywatela poczynając.

Od wielu lat przy każdej okazji staram się zwrócić uwagę na ten horrendalny passus. Wszyscy, którym o tym mówię, patrzą na mnie ze zdumieniem. Nikt (po dziś dzień!) wyrwany do odpowiedzi nie pamięta tego zapisu. Każdy jest (lub udaje, że jest) nieco zdumiony. Przyciśnięty zaś do muru, każdy jakoś przepis ten stara się usprawiedliwiać i bagatelizować.

Tylko doradzający prawnie Centrum Monitoringu Wolności Prasy mecenas Jan A. Stefanowicz podzielił moje zdanie i poświęcił przepisowi jedyny znany mi komentarz w dostępnej na stronach internetowych CMWP analizie „Korupcjogenność regulacji ustawy o radiofonii i telewizji” (tezy referatu na konferencję Transparency International Polska – 26 kwietnia 2003 r.). Analizując to uregulowanie, stwierdził krótko i bez emocji: „Nie trzeba tu specjalnie uzasadniać, że taka regulacja oznacza w praktyce pełną swobodę w ocenach przy udzielaniu koncesji. Przepisy te można by znacząco uprościć, stanowiąc wprost, że KRRT udziela koncesji, jeżeli uzna to za właściwe”.

Reżim regulacyjny

Dziś uprawnienia – zwłaszcza te o charakterze stricte prewencyjno-cenzorskim – przeniesione

zostają z prezesa Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji na szefa Urzędu Komunikacji Elektronicznej. Artykuł 33 noweli ustawy (uchwalonej przez Sejm 18 marca) nie pozostawia wątpliwości: „2. Organem właściwym w sprawach koncesji jest prezes UKE. 3. Prezes UKE podejmuje decyzję w sprawie koncesji po zasięgnięciu opinii Krajowej Rady w zakresie pozaekonomicznych interesów narodowych dotyczących kultury, języka i pluralizmu mediów oraz w zakresie, o którym mowa w art. 36 ust. 1”. Prezes UKE pozostałby już jednak – co wynika jednoznacznie z przepisu art. 40 pkt a) – wyłącznym decydem w sprawie ewentualnej odmowy udzielenia koncesji ze względu na potencjalne „zagrożenie interesów kultury narodowej”, o czym mowa w inkryminowanym art. 36 ust. 2. On także wyreżyzy (zgodnie z proponowanym brzemieniem art. 6a) KRRiT w decydowaniu, którego nadawcę można uznać za „społecznego”, a któremu takiego statusu odmówić. To on zatem, mówiąc słowami mecenasa Stefanowicza, będzie dawał koncesję wtedy, kiedy uzna to za stosowne.

Częstotliwości ci u nas dostatek

A przecież koncesje miały być przejściowe! obrońcy „procesu koncesyjnego” powołują się zazwyczaj na to, że częstotliwości radiowe i telewizyjne są dobrem limitowanym, które nie może być przedmiotem swobodnego obrotu handlowego. Przywołują analogiczne uregulowania ustawowe systemu francuskiego czy angielskiego. Abstrahując jednak od zasadniczej różnicy, jaką jest kultura prawna państw europejskich, gdzie kompetencje umożliwiające kontrolowanie interferencji fal elektromagnetycznych nie są mylone z uprawnieniem do kontrolowania zawartości merytorycznej programu, stwierdzić należy, że nigdzie praktyka koncesyjna nie znalazła swego wyrazu w ustawie zasadniczej. Proszę wskazać taki *passus* choćby w konstytucji francuskiej, która nie wprowadza do swego tekstu przejściowych uregulowań, lecz to, co najważniejsze, przywołuje wprost, cytując *in extenso* deklarację praw człowieka i obywatela z 1789.

Dobro limitowane to oczywiście wyssana z palca bajka dla grzecznych dzieci. Szczególnie od momentu wprowadzenia techniki naziemnej telewizji cyfrowej i związanego z nią pionowego podziału pasma na pięć – sześć kanałów. Taki pakiet kanałów nazywany jest *multipleksem* i już zaczyna być przez UKE reglamentowany. Tak jak po 1989 r. okazało się, że drukarnie nie mają kłopotu z wyprodukowaniem reglamentowanego dotąd na kartki papieru, tak w dzisiejszej dobie cyfryzacji częstotliwości ci u nas dostatek. Pytanie jest o to, kto się pierwszy obłowi w tym cyfrowym lesie.

Skazani na milczenie

Wszystko to oznacza nawrót „reżimu regulacyjnego”, jak rozumie swoją misję szefowa UKE Anna Streżyńska („GW” z 24 marca) – to po pierwsze.

Po drugie: skazanie na milczenie, a przynajmniej marginalizację tych, którym zwolennicy całkowitego roztopienia polskiej podmiotowości i pełnej integracji z Unią Europejską zarzuca chętnie: ksenofobię, zaściankowość, partykularyzm. Cechy, które jakże łatwo utożsamić z najszerzej pojmowanym w brzmieniu art. 36 ust. 2 ustawy medialnej zagrożeniem „interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa”.

Jak więc widać, wolność słowa dotyczy tylko papieru i pozostaje na papierze.

Autor jest publicystą i menedżerem kultury. W latach 1992 – 1995 współtworzył Nową Telewizję Warszawa w prywatnej sieci Polonia 1. W latach 2001 – 2002 był dyrektorem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich

Źródło : Rzeczpospolita

Pamięć zawłaszczona

Andrzej Tadeusz Kijowski 07-11-2009, ostatnia aktualizacja 07-11-2009 14:00

Ministerstwo Kultury zapowiada nowy podatek. Przeznaczony na digitalizację, czyli – mówiąc po polsku – przekształcenie dzieł utrwalonych na papierze tak, by mogły być wprowadzane do komputera i dostępne w Internecie.



autor zdjęcia: Ryszard Waniek

źródło: Fotorzepa

[+zobacz więcej](#)

Czy to dobrze, czy strasznie, że tradycyjna książka umiera? Czy to dobrze, że kiedy odwiedziłem z córką Mykeny, nie musiałem pamiętać, by zabrać ze sobą Słowackiego, który zresztą, jak większa część mej papierowej biblioteki, został mi skradziony, lecz przypomniawszy sobie wiersz, mogłem wyciągnąć telefon, znaleźć w kilka minut i podać „Grób Agamemnona” na telefonicznym wyświetlaczu do przeczytania? Tutaj dyskusji nie ma. Zła kobieta gorsza niż potop. Lecz ma Internet coś z arki. Pozbawiony książek skupowanych latami, mam dziś potężne elektroniczne zbiory. Na małej karcie o pojemności 2 GB udało mi się zebrać ponad 5 tysięcy książek przeszło 400 pisarzy.

Z tradycyjną literaturą gorzej. Krążąc wśród książek, jakie mam w mieszkaniu, co chwila znajduję wolumin bez okładki, wypadnięte całe odklejone arkusze. Niemający jeszcze pół wieku źle sklejoną szpargał pęka mi w dłoniach. Papier w palcach się łamie. Aż żal, gdy sobie przypomnę, że niejedna z książek, szczególnie tych zachodnich, była warta przed 20 laty całą moją pensję.

Pal sześć to co stare. Papier można odkwaszać. Gorzej z tym wszystkim, co teraz powstaje. Trwałość współczesnych nośników pamięci jest w porównaniu z tradycyjną książką szokująco mała. W kairskim Muzeum Koptyjskim oglądałem uchodzący za najstarszą książkę na świecie, liczący około 1600 lat egzemplarz Psalterza Dawida. Dla cyfrowych zapisów pamięci skala trwałości poszczególnego nośnika mieści się w przedziale lat pięć – 30. Dyski, kasety, płyty, na których zapisujemy dziś zdjęcia, filmy, utwory multimedialne – wzbogacająca się z dnia na dzień blogosfera osadzona na serwerach i komputerach, cały ten chaos informatyczny opiera się na nośnikach, których trwałość nie sięga stulecia. Wymagać więc będzie nieustannego powielania.

Tak było i tak pozostanie. Niektóre dzieła starożytnych przetrwały, inne uznano za zaginione. Mamy „Poetykę” Arystotelesa. Przepadło dzieło o komedii. Ostatnio odzyskano z jakiegoś starego papyrusu w Sackler Library dzieła rówieśnego Homerowi Archilocha. A ilu wybitniejszych może od Platona czy Arystotelesa pisarzy przepadło bez śladu? Ilu nie zasłużyło na łaskę Cezara, ile papyrusów padło w Aleksandrii ofiarą rzymskiego pożaru?

Właściwie tylko o to w kulturze chodzi – by zachować pamięć o sobie. Ryjemy ślady w granicie i w irydzie. Potem przychodzą barbarzyńcy, którzy pamięć o nas wycierają. W dobie coraz bardziej klonującej się kultury elektronicznej i powielania, i kasowanie staje się nadzwyczaj łatwe.

Ktoś zatem będzie musiał dokonywać wyboru. Ważne, by decyzja o ocaleniu nie była aktem instytucjonalnej nagrody, lecz świadectwem publicznej miłości, przywiązania i wiary. To z istoty decyzja indywidualna. Niezależnie, czy podejmuje ją osoba prywatna, czy szef publicznej instytucji. Musi znaleźć na to środki każda telewizja, każde radio, wydawnictwo, gazeta. I one też – ale tylko one – mogą dokonywać selekcji. Tylko ten, kto działał, kto tworzył, wie, który wysiłek był chybiony, a którego za nic nie można zmarnotrawić. Żaden mechanizm państwowy nie wyręczy nas w tej roli.

Pomysł Ministerstwa Kultury jest iście szatański. Najpierw chce się likwidować abonament telewizyjny, czyli daninę publiczną na tworzenie nowych misyjnych twórców kultury. Unicestwivszy w ten sposób działalność twórczą i misyjną, wprowadza się ukryty w cenie towarów podatek na kontrolowany przez instytucję państwową, a wybiórczy z natury, proces wyboru elementów kulturowych zasobów godnych przetrwania w pamięci narodowej. Powołano w tym celu kolejny biurokratyczny twór publiczny – Narodowy Instytut Audiowizualny. Zatrudnieni

w nim urzędnicy mają decydować, które materiały są godne ocalenia, a które można oddać na straty.

„Wiedza jest władzą” – pisał francuski filozof Michel Foucault. Pełnię panowania zyskuje nad nami ten, kto rządzi naszą pamięcią. Na opozycji wspomnień i „luki pamięci” oparł Orwell swą wizję totalnego świata. Wizji tej nie zdołali wcielić komunistyczni cenzorzy. Dopiero w dobie cyfryzacji i globalizacji będący dziś u władzy wyznawcy poglądów poprawnych politycznie gotują się, by zawłaszczyć naszą pamięć. Decydować o tym, co fałszywe i ma zginąć, co zaś jest prawdą wartą ocalenia.

Rzeczpospolita

Telewizja publiczna skazana na wymarcie?

Andrzej Tadeusz Kijowski 08-07-2010, ostatnia aktualizacja 08-07-2010 02:40

Polityczni myśliwi z PO przygotowali już kolejny projekt specustawy, który ma założyć telewizji publicznej krótką finansową smycz – twierdzi pisarz i publicysta



autor: Seweryn Sołtys

źródło: Fotorzepa

[+zobacz więcej](#)

Oglądalność TVP wynosząca w ostatnich latach od przeszło 50 procent w roku 2007 do 45 procent aktualnego udziału w rynku to ewenement w skali nie tylko europejskiej, ale i światowej. Po prostu nie ma już na świecie telewizji, która skupiałaby przed swymi odbiornikami jednorazowo tak potężną widownię.

Czy to tę, która ogląda show “Kocham Cię Polsko” (3 miliony odbiorców) czy to taką, która w liczbie 2 milionów zasiada przed telewizorami, kiedy pojawia się premiera unikalnego w świecie Teatru Telewizji, czy 1,8 widzów oglądających ostatnio “Misję specjalną” – publicystyczny thriller Anity Gargas. Jakkolwiek to oceniać, polska

telewizja publiczna, działając na rynku otwartej konkurencji, stwarza rynek konsumenta będący ewenementem w skali światowej.

Juliusz Braun, były wieloletni szef parlamentarnej Komisji Kultury, były przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, pracujący dziś w Ministerstwie Kultury jako szef Departamentu Studiów i Analiz, przyznaje, że telewizja publiczna jest zwierzęciem, które jak żyrafa żyje, choć logicznie rzecz biorąc, nie powinna istnieć. Cieszy się największym w świecie udziałem w rynku, będąc jednocześnie instytucją ze wszystkich publicznych telewizji światowych najniżej finansowaną.

We Francji, w której udział w rynku kształtuje się na poziomie 30 proc., finansowanie wynosi 2,5 mld euro. Mając więc dziesięciokrotnie mniejsze przychody, nasza TVP uzyskuje efekt o połowę większego udziału w rynku.

Ryzykowna władza nad TVP

Na pytanie, czy to egzotyczne zwierzę należy skazać na wymarcie w skansenie, Braun odpowiada z całą szczerością: – Nie wiem. Skoro Francuzi, Brytyjczycy, Włosi, Niemcy, Hiszpanie, kraje, z którymi powinniśmy się porównywać, zadowolają się udziałem niższym, to czy Polakom trzeba więcej? Ważne, byśmy nie mieli mniej. By zagwarantować mediom przynajmniej miliard złotych i by pieniądze te pochodziły z niezależnej od rządu opłaty audiowizualnej.

Mnie dobra rynkowa sytuacja TVP nie dziwi. Paradoksalnie jest ona wynikiem obłąkańczej utarczki środowisk politycznych, które od pierwszych dni III Rzeczypospolitej parły do zapanowania nad tym medium. Walcząc o przejęcie telewizji, zdobywając ją i wzajemnie ją sobie odbijając, kolejne ekipy polityków III RP nie dopuściły do komercjalizacji potencjalnego eldorado, a przeto i do jej rozbicia.

Politycznie, rzecz jasna, nic nie zyskiwano na zdobyciu władzy, gdyż poza pieniędzmi na honoraria dla kilku prezesów czy dyrektorów (i częste odprawy) władza nad mediami obraca się w Polsce tradycyjnie przeciwko tym, którzy ją sprawują.

Widząc, iż władza przeciwnika politycznego nad TVP zdaje się nie do zatrzymania, kręgi rządowe zdecydowały się ostatnio na otwarty, karalny w istocie sabotaż. Postanowiono

Nie ma na świecie telewizji, która skupiałaby przed odbiornikami jednorazowo tak wielką widownię jak TVP i która byłaby ze wszystkich publicznych telewizji światowych najniżej finansowaną

zniszczyć to, czego odzyskać nie sposób. Wezwano do niepłacenia abonamentu. Powołując Narodowy Instytut Audiowizualny, otwiera się spór o własność przebogatych archiwów TVP SA, które sprawiają, że z samej emisji materiałów archiwalnych TVP może dziś budować interesujący program będący znakomitą kontrpropozycją na rynku zalanym trzeciorzędą szmirą.

Na politycznej smyczy

Wydawało się, że tym przepychankom położy kres uzgadniana zarówno ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim, jak i premierem Donaldem Tuskiem inicjatywa obywatelska koordynowana przez Agnieszkę Holland i Jacka Żakowskiego. Niestety, polityczni myśliwi z PO przygotowali już kolejny projekt specustawy, który ma założyć telewizji krótką finansową smycz, między mrzonki wsadzając rojenia intelektualistów o niezależnym funduszu zarządzanym przez ekspertów dobieranych, jak marzył francuski filozof Etienne Souriau, spośród desygnowanych przedstawicieli ciał społecznych w drodze losowania.

Ci ostatni zresztą nie zadbali o to, by projekt formalnie został przedstawiony Sejmowi. Niby wystarczyłoby po temu 15 posłów, jednak “piwnice sejmowe zawałone są takimi projektami” – twierdzi Jacek Żakowski, nie o to więc chodzi, by zawalać jeszcze i schody, lecz, by mieć pewność, iż zostanie projektowi nadany stosowny tryb. Znosi się jednak na to, że wszystko odbędzie się w trybie polowania z nagonką. Polska to piękny kraj do polowań. Czystością mazurskich wód i podlaskich puszczy zachwycają się cudzoziemcy.

A przecież był taki czas pod koniec XVIII wieku, gdy ożywczy wiatr dla Europy wiał z ulic zagrożonej przez Moskwę Warszawy. W Polsce powstawała pierwsza europejska konstytucja, zaś sarmaci walczyli z cudzoziemskimi fircykami. Czy Polska ma Europie do pokazania jedynie dzięki krajobrazy? Czy fakt, że udało się obronić wraz z jej archiwami niezależną telewizyjną instytucję narodową, ma napawać nas wstydem, że ociągamy się w pochodzie globalistów? A może przeciwnie? Powinniśmy się szczyścić tym, że polski odbiorca kultury masowej, głosując pilotem, nobilituje nasz krajowy rynek medialny, wciąż wskazując misyjną TVP jako najlepszą, najchętniej oglądaną telewizję w świecie!

Autor jest pisarzem, menedżerem kultury i publicystą telewizyjnym związanym z TV komercyjnymi, a także TVP.

Był m.in. szefem Centrum Monitoringu Wolności Prasy przy SDP. W obecnej kadencji wykonywał obowiązki eksperta Senackiej Komisji Kultury i Środków Przekazu

Media publiczne do likwidacji



ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Gdy potrzeba siły przywódczej, bohaterstwa, honoru i odwagi – a tak jest teraz – nie ma miejsca na kunktatorskie uzgodnienia czy demokratyczne układy – pisze publicysta.

Podczas spotkania wiceministra kultury i dziedzictwa narodowego Krzysztofa Czabańskiego z politykami opozycji w bibliotece na Koszykowej prowadzący w niezwykle profesjonalny i elegancki sposób debatę Bogusław Chrobot stwierdził, iż poczuł się lekko urażony, gdy któryś z wyopowiadających się stwierdził, że absolutnie wszyscy dziennikarze pracujący dziś w mediach są nierzetelni i powinni zostać zwolnieni.

Mój mózg jeszcze się bronił przed tak ostrym stwierdzeniem, choć serce człowieka, który dziennikarską karierę w niezależnej telewizji zakończył przeszło 20 lat temu, krzyczało, że to prawda. Czy był na sali obecny choć jeden dziennikarz? Dawno już przestałem się tak przedstawiać. Żyjąc wśród normalnych ludzi, wiem, że tytuł ten blasku dziś nie przysparza. Pomiędzy byłą dziennikarkę „Gazety Wyborczej” Iwonę Śledzińską-Katarasińską – posłankę wszystkich sejmowych kadencji – czy utytułowanego Jana Dworaka z „Tygodnika Solidarność” pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego.

Zależni od podwładnych

Krzysztof Czabański, choć na Facebooku przedstawia się jako „wolny zawód od zawsze”, to minister i doświadczony prezes oraz rządowy pełnomocnik. Ludzie tacy jak on są inteligentni i uczciwi – co zdarza się rządzącym – lecz stojąc w hierarchii, mając podwładnych i od innych zależąc, nie są wolnymi dziennikarzami, tylko – jak to Dworakowi prosto w twarz wykrzyczała Ewa Urbańska zabierająca głos z sali – funkcjonariuszami.

Zdaniem przedstawicielki środowisk twórczych w radiu i telewizji

pod rządami koalicji PO-PSL nie pozostał ani jeden dziennikarz – pracują już wyłącznie deputowani dwóch partii, a program realizuje i zarabia na nim kilka firm zewnętrznych, do których wyrzucono resztę dziennikarzy.

Po tej wypowiedzi odpowiedzialny za sanację mediów publicznych Krzysztof Czabański nie musiał już nic dodawać, mógł nadal nieco sarkastycznie się uśmiechać. Tym bardziej że zadufanie Jana Dworaka, który wraz z Juliuszem Braunem, a przy udziale Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, zrobił wszystko, by rozmontować media publiczne, a dziś uważa dodatni wynik finansowy TVP osiągnięty kosztem zmniejszenia udziału w rynku za sukces, mogło tylko wywołać u osób takich jak ja, pamiętających krótki czas wolności mediów w latach 1991–1995, zgrozę.

Jeszcze w roku 2007 ponad 50 proc., a w roku 2010 w granicach 45 proc. odbiorców przedkładało programy TVP nad Polsat, TVN czy inne stacje – opowiadając się po stronie programów misyjnych. Po rządach Juliusza Brauna – jak czytamy w analizie monitoringu KRRiT – w III kwartale 2015 roku do sektora publicznego łącznie należało 29,6 proc. rynku (w tym TVP 1 – 11,06 proc., TVP 2 – 7,72 proc., TVP INFO – 3,77 proc., TVP Regionalna – 1,15 proc. itd.)

Co dzisiaj? Czy sześć lat później takim ludziom jak pani Śledzińska-Katarasińska, którym termin „media narodowe” z trudem przechodzi przez usta i którzy pozbawili nas, dziennikarzy, pracy, a naród swojej telewizji, można wrócić do piękno- duchostwa minionych lat? Żadne takie! Skala zniszczenia zawiera się w tych dwóch liczbach: 50 proc. w roku 2007 i ledwie 29 proc. obecnie. Za to odpowiada personalnie szef KRRiT

Jan Dworak i wszyscy prezesi TVP od odejścia z końcem 2008 roku Andrzeja Urbańskiego.

Dziś stan mediów jest gorszy niż po czasach tzw. komuny. Wtedy bowiem dziennikarz wiedział, czego mu nie wolno, wspólnie, całymi zespołami walczyło z cenzurą. Istniała jednak wspólnota patriotyczna i narodowa, której nie sposób było wyrugować nawet z zebrani podstawowej organizacji partyjnej kierowniczej siły. Dziś zdemoralizowani młodzi ludzie po prostu nie wiedzą, czego im brakuje.

„Kto narusza prawo lub interesy państwa, musi być ukarany. A kto innemu państwu życzy lepiej niż Polsce – powinien mieć mniejsze prawa

W gruncie rzeczy w dzisiejszej epoce, gdy trzeba jak najszybciej przysposobić kraj do odporu zagrożenia, jakie niesie Europa ekspansja islamu, nie miałbym nic przeciw temu, by podwładni Jacka Kurskiego wiadomości czytali w mundurze czy nawet w sutannie. Naciąga bowiem wojna cywilizacyjna, a to nie jest dobry czas dla demokracji. Demokracja to teoretycznie dobry pomysł dla wspólnoty lokalnej w czasie pokoju. Nie sprawdza się jednak w stanie zagrożenia. Gdy potrzeba siły przywódczej, bohaterstwa, honoru i odwagi, nie ma miejsca na kunktatorskie uzgodnienia czy demokratyczne układy.

Taka droga musi doprowadzić do rządów autorytarnych. Osobiście sądzę, że ta samospelniająca się libe-



Zdaniem autora za prezesury Juliusza Brauna w TVP i przewodniczenia Jana Dworaka w KRRiT nastąpiła degradacja telewizji publicznej

ralna przepowiednia istotnie nam grozi, i to nie dlatego, że w tym kierunku zmierza partia Jarosława Kaczyńskiego. Doprowadzić do takiego stanu może zagrożenie europejskich granic, poczucie braku bezpieczeństwa obywateli – słowem nierząd i bezhołowie tolerowane przez dzisiejsze rządy liberalistów. Czy zdołamy jeszcze tego uniknąć – skoro wiadomo, że władza utrzymywana siłą prędzej czy później pada pod naciskiem rewolucji, a w warunkach wolności wyborów ci, którzy próbują zapanować nad mediami poprzez ich

tylko w jeden sposób, który wskazuje nieodmiennie od dziesięciu lat, również na tych łamach. Poprzez odstąpienie od sankcjonowania koncesji prewencyjnej. Bo oprócz art. 54 ust. 2 konstytucji, który łamie wolność prasy, ustanawiając KRRiT i koncesjonowanie mediów elektronicznych, politycy mają także art. 36 ust. 2 pkt 1 ustawy o radiofonii i telewizji brzmiący: „Koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować: 1) zagrożenie interesów kultury narodowej, dobrych obyczajów i wychowania, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz zagrożenia dla bezpieczeństwa informacji niejawnych”. Nie spotkałem nikogo, kto wprost popierałby ten zapis, a jednak ma się on jak najlepiej, gdyż każdemu z rządzących się wydaje, że go przed czymś chroni. Treść tę można, a nawet trzeba zachować w art. 38 ust. 2 pkt 1, który ją powtarza, wskazując warunki cofnięcia koncesji. Przy czym słowo „koncesja”, które powinno zniknąć także z konstytucji, należy zastąpić „prawem do prowadzenia działalności gospodarczej w mediach”. Kto bowiem narusza prawo lub interesy państwa, w którym działa, musi być ukarany. A kto innemu państwu życzy lepiej niż Polsce – powinien mieć mniejsze prawa.

Stąd podpisany w ciągu siedmiu dni przez blisko 100 tys. obywateli apel Mariusza Maxa Kolonki o ustawowe ograniczenie przez parlament udziału kapitału niemieckiego w polskich mediach podpisałem i popieram – traktując jako w pełni uzasadniony. ©

Autor jest publicystą i pisarzem, realizatorem i prezerem telewizyjnym, menedżerem kultury, teatologiem i nauczycielem akademickim

Komu jakie prawa

W tym nie wolno przeszkadzać! Trzeba jednak zadbać o to, by dzisiejsza większość parlamentarna po oddaniu władzy miała nie mniej potężne zaplecze. Można to osiągnąć

V. Publicystyka polityczna

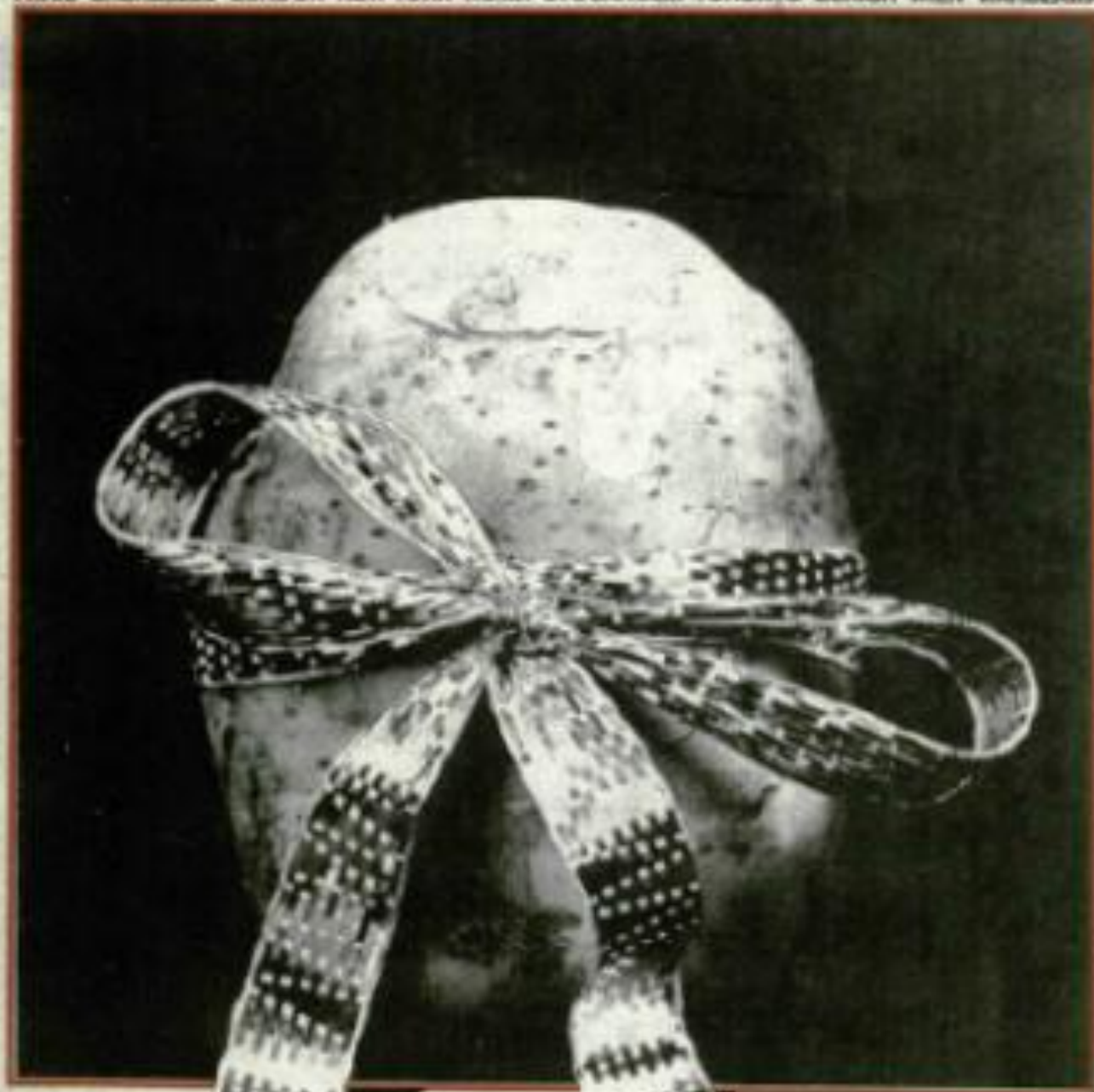
1. T. Żeglikowski (pseudonim ATK) - Odślanianie dramatu (I) "Kontakt" Paryż 1985 nr 4
2. T. Żeglikowski (pseudonim ATK) -Odślanianie dramatu (II) "Kontakt" Paryż 1986 nr 1
3. tak – (pseudonim ATK) W głosowaniu jawnym "Gazeta Wyborcza" (Stołeczna) 02-05-90
4. Przeciw nomenklaturze., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 34
5. Przeciw burzeniu pomników., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 36
6. Sztandarowi cześć., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 38
7. Jak przeskoczyłem przez mur., „Tygodnik Solidarność” 1990 nr 48
8. W obronie ustroju „Informator Sejmikowy" 1992 nr 6
9. Apel radnego (W obronie miasta) Spotkania 1992 nr 27
10. Prace Zespołu Komisji Sejmiku SWW 1990-1994 „Informator Sejmikowy" 1994 nr 5
11. Moje exposé dla rządu. „Rzeczpospolita” " 6.XI.2015

24672

ISSN 0754-3086 nr 36 kwiecień '85

kontakt

PARIS BRUXELLES LONDON NEW YORK ROMA STOCKHOLM TORONTO ZURICH WIEN WARSZAWA



Wesołych Świąt

kontakt

162, rue Saint Maur
75011 PARIS
tel.: (1) 807.26.23

Konto pocztowe
CCP PARIS 351140E

spis treści

3 Kalendarium

ANALIZY I PROGNOZY

3 Czy państwo dobieżyło prostwa kryzys – Jan Mrowca
10 Polska kongres – Florian Krakowski
17 Dziedzictwo – historia kłapy – Andrzej Koruszwski

SZKICE, ESJE

23 Odstawienie dramatu – Tadeusz Żgłkowski

GOSPODARKA

26 Język dramatu – Bronisław Goska

SPOŁECZEŃSTWO ALTERNATYWNE

32 Spotkania się w nieodczuwaniu – Łukasz Lewin
33 Kierownik – Natalia Corbuzińska
33 Prawa człowieka w PRL – Jacek Karpiński

38 Rozmowa z Ewą Kubaśiewicz

PROZA

42 Głos – Jan Ostrowski

RECENZJE

47 Józef Mackiewicz – gwiazda prozy – Tomasz Matuszewski
48 Lament Polaków po upadku – Wiktor Grotowski
51 Niepokój środowiska lewicowego – Łukasz Lewin

53 Czas wolny, trzeci starcie – Tomasz Hosiński

57 Czytanie z książką – Katarzyna Krasowska

Z OBOCZU – redaguje Józef Durki

61 W związku z wydarzeniami w Polsce – świadectwo
62 Czy imperium sowieckie przetrwa jeszcze 300 lat – Jacek Tysia
64 Ani Węgry, ani Czechy – wywiad z Ireneuszem Krasińskim

71 Z dwóch stron Europy – Jan Zieliński

73 Kwas plynie czas – L.L.

74 Korespondencja z Wiednią – Andrzej Zięba

77 Dziwadłom

Le Directeur de la Publication
Miroslaw Chojcki

Redaktor
Bronisław Wildstein

DRUKARNIA KONTAKT

N° CPPAP 4461
Dépot légal 1495. Première 1985

ODSŁANIANIE DRAMATU

TADELUSZ ŻEGLIKOWSKI

1. Odłona pierwsza: konflikt z wychowaniem

*Nie, nowego nie / i zimą mała taka, że...
a w śpiącej wsi / to pociąg wykościł się*
— śpiewali głośno w połowie lat sześćdziesiątych Skalde-
wie do słów Leuzka A. Moczulskiego, a Wojciech Miły-
ranksi wtórował im śpiewając piosenkę o Kolarzach:

*Dzieci Kolarzów, dzieci Kolarzów dziś już są
dawno dorosłe
Przygód nie znają, przed sobą mają drogę pro-
stą i prostą.
Szlak wędruje jasny, tędy i spły. Nikt się nie
waha nie chwał.
Nawet na wstanie nie stać ich błędy. Starzy je
dawno zrobili.*

Do dziś widzi ten szlak, którego pokolenie doj-
rzewające w Polsce w sześćdziesiątych latach XX wie-
ku i chciałoby się przeciwstawić, i nie widziło ku temu
żadnych powodów. Pewnie do naszej mafii szaf-
liarzy — jak określił spokój Rózewicz. Pewnie ku te-
mu aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej,
co głosił dla nich właśnie sforszowany, jeden z nie-
liczonych powieściarzy przez Polaków akceptowany
dogan partyjnej propagandy.

Dwadzieścia, trzydzieści lat po jednej z najwięk-
szych wojen w dziejach ludzkości, wychowane przez
jej bohaterów i bohaterów, znajdujące w szafadach
głód słowackie opaski, jeszcze nie całkiem poobkła-
szone komunistyczne gazetki z narzekaniem dniała rozstrze-
lanego przez okupantów oraz nie wykorzystane agita-
cyjne kartki żywiołowości, dzieci Kolarzów słucha-
ły opowieści o czasach pogardy. Historia okupacji by-
ła dobrze znana. Rodzice przybliżali ją wspomnie-
niami, w szkole nie było niemal czytania, akademii,
lekcji, w której by o wojnie nie mówiono. Jak życie
Chrystosa w rok liturgiczny zostało wpisane, tak cykl
czteroletniej wojny zamieścił się w programie roku szkol-
nego. Od akademii przewodniczącej, w której po-
czątek roku szkolnego zbiegał się z kolejną rocznicą
wybuchu wojny i podczas której odpowiedzialny nau-
czyciel musiał pogodzić własny typ: *święta szkoła
kołysała z elegijny: a gdy się wypełniły dni i przy-
szło gnać kocz...*, od akademii wrocławskiej zatem,
poprzez styczniowe święto wyzwolenia Warszawy, akce-
dymiczny na majowej akademii z okazji podpisanie ka-
pitulacji przez Tarczę Ranną, rok szkolny był wojny
początkiem, wakacje przynosiły pokój.



foto Kalfiov

Opowieści o wojnie towarzyszyły nam od ko-
łytki. Słuchaliśmy ich z mieszaną ciekawości, zardzo-
ci i narastającą z czasem nudą. Bowiem wędrowny ma-
mal, który płynął z domowej kłębki, szkolnej pogadanki
czy radiowo-telewizyjnej agitacji sprowadzał się
niezmiernie do stwierdzenia, że pokolenie urodzone
po II Wojnie Światowej ma uczynić życie w świecie
rozwijającym się pokojowo i powinno być za to wdzięcz-
ne losowi. Pacyfizm, czy raczej pokojowy rytuał stał
się rodzajem miłości wszystkich, którzy przeszli okupa-
cję.

Świadomość problemowa młodszego pokolenia
dojrzwającego w latach sześćdziesiątych i siedemdziesią-
tych była zatem świadomością historyczną. A to
nie znaczy świadomością istotnych faktów z przeszło-
ści, lecz systematycznie wpajany schemat historycz-
nej dialektyki. — Kiedyś było źle, uczono nas już od
kołyski, klasa pracująca była wyzyskiwana przez ka-
pitalistów, naród polski pozostał w niewoli. Potem
masz w Rosji zburzonoły się przeciw temu, a Polacy
odzyskali niepodległość. Lecz w uroczym Polsce
nie przewidywano nieprawidłowości klasowych. Więc
Hitler podbił nasz kraj, który wyzwolił dopiero opie-

nający swój system na jedynie słusznych zasadach sprawiedliwości społecznej – wielki naród niemiecki. Socjalizm przyniósł Polsce dobre zasady a społeczeństwu polskiemu ofiarował słuszne zasady współżycia gwarantujące, że każdy otrzyma według swojej pracy oraz zapewnienie, że należy mu się według jego potrzeb.

Świadomość potoczna społeczeństwa polskiego stała się zaś świadomością postępu. Wojenna degregacja, zniszczenie miast, migracja ludności krążącej po całym kraju w jego nowych granicach, a także zachwianie drabiny społecznej, powszechna nabożność, a co za tym idzie zrównanie społeczeństwa oraz równa powszechna chęć odbudowy sprawiły, że w ciągu pierwszych kilkunastu lat po wojnie postęp stał się dostrzegalny gołym okiem. Tam, gdzie wzrosła stała nuda, jako wyrastał dom. Ten, kto dążył do pracy piechotą, jako mógł wsiąść do tranzytu. To, co jako odłamek się w pracy w charakterze przydziału, po prostu będzie można kupić w sklepie za zarobione i posiadające realną wartość pieniądza.

Był może ludźle wiedzieli, rozróżniali, rozróżniali, że wszystkie te osiągnięcia, których narywane były pierwsze powojenne lata stanowiły przyspieszone przebywanie drogi od gospodarki towarowej do towarowo-pieniężnej, od poziomu życia koczowniców do cywilizacji europejskiej. Ale zdawać sobie sprawę to co innego, a co innego odzwiercać. Ludzie odzwiercał, że jest lepiej, a zatem mimo woli dawali wiary komunistycznej teorii głoszącej, że budują się nowy, lepszy ustroj, system sprawiedliwości społecznej. Charakterystyczne przy tym, iż marksistowskiej teorii postępu udało się w ten sposób przedkroć do wyobraźni zbiorowej, jednak propagandzie nie udało się oszukać powszechnej świadomości. Budując nową Polskę... nowy, lepszy świat nikt nie budził się, że osiąga coś więcej niż przedwojenny poziom średnio zarobkowego państwa europejskiego. Przechwile, w miarę oddalania się w czasie, okres dwadzieścialetni zmienił się w mityczny raj ekonomiczny. Te sklepy bez kolejek, te drogi bez kolejek, te cywilizowane owoce dostępne o każdej porze roku, to brzmiało jak bajeczka baśniowa i wywoływało w młodych podświadomą tęsknotę za kapitalizmem. Tęsknotę, którą wpełniał katalizujący się mit szczęśliwego zachodu, syfony obrazem wojka z Ameryki, przynależącego za oceanem łakocie, a później po prostu kilka dolarów umożliwiających wkroczenie po dliny do pekarzowskiego raju.

Egzotyzmyczne likwidowanie skutków wojny przez wyprzedzające społeczeństwo wytworzyło zatem zbiorową wiarę w postęp i wpłynęło na skystalizowanie się prospołecznego stosu zażytk. Wobec rozbitcia, rozmaczonych po całym kraju, wyzbitych siedlak rodzin, w większości przesłaniając się one źródłem opieki. Młode małżeństwa zawierane w latach czterdziestych i pięćdziesiątych maćko mogły liczyć na pomoc ze strony krewnych. Zostały więc skazane na zwrocie się ku monopolizującemu wszystkim dziedzinom życia społecznego państwowemu mechanizmowi. A ten mechanizm wiele obcynował. Obcynował przede wszystkim posiadanie (zwana o jego państwowego interesu etatem), obcynował bezpłatną opiekę lekarską, opiekę nad dziećmi w żłobkach i przedszkolach, bezpłatność nauki. Chłopoty ofiarowywał mieszkańcom miast – mieszkania. Nawet samochód miał się z czasem stać powszechnie dostępnym dobrem, i trzeba przyznać, że gdzieś do połowy lat sześćdziesiątych obywateli te były w coraz pełniejszym stopniu realizowane. Warto więc było spełniać i wychowywać swe dzieci ku spełnianiu oczekiwań mechanizmu. Tych formalizowanych i tych faktycznie wyrażanych.

Zrozumieć na razie na boku faktycznie wymagana mechanizm. Lepiej skłócić się na oczekiwaniach formalizowanych. Abowiem tutaj różnice wychowanie. szkolna skala wartości oraz państwowa propaganda okazały się zaskakująco jednomyślne. Rodzice, którzy przeżyli wojnę, doznali upokorzeń ekonomicznych, patriotycznych i politycznych okupacji i lat stalowców, wierzyli, że możliwe jest zbudowanie społeczeństwa sprawiedliwego, przygotowywali swoje dzieci do życia w takim właśnie ustroju.

Można powiedzieć krótko, że był to pozytywny model wychowania. Swój gorycz, trudności, za wady uważano pokolenie Kolombów za przewyższone. Uważano, że jeśli coś jest jeszcze do zrobienia, to oni, rodzice, dadzą sobie z tym radę poradzając dzieciom jasną, bezkonfliktową przyszłość. Odtąd to, bezkonfliktową, Pokolenie Solidarności, bo tym chyba mianem trzeba określić wspaniałych wychowanych już w Polsce Ludowej, urodzonych między 1945 a 1960 rokiem, na których doświadczenia pokoleniowe składały się marnie 1968 roku i grudzień 1970, które Sierpień 1980 roku apłaj nęjąko i podziwował; odtąd to pokolenie Solidarności nie było wychowane do walki. I to w ładnej ze sfer, Ani narodowej – przez lata rżni nie kwestionował niepodległości i przed 13.XII 1981 roku nawet w kościołach zdecydowana większość śpiewała *Ojczyznę wolną pobłogosławcie Państwu*. Ani ekonomicznej – wszak jedynym dysponentem zarobku i pracy było państwo, które zobowiązało się płacić każdemu według jego zasług. Należało postępować zgodnie z niepełnymi prospołecznymi, organicznymi wartościami umiarymi przez rodziców, a przez państwo zakazanych jako kodeksu socjalistycznego możliwy do realizacji jedynie w państwie socjalistycznym reprezentowanym przez swoje socjalistyczne instytucje: szkołę (dobre wyniki w nauce), wojsko (poslušność i szacunek dla przełożonych), pracę (kompetencja i doświadczenie).

Nie było w tym modelu miejsca za nierówności. Nierówności społeczne miały zaniknąć. Dyproporcje majątkowe w gminówkowej Polsce były niewielkie, a niedokładny stosunek do życia tradycyjnie niezbyt wysoki w normotwórczych środowiskach polskich oceniano, mianem wobec dość konserwatywnie prowadzonej polityki ujednolicenia dochodów i silnych możliwości zgodnego z prawem ich zwiększania, nastawienie na wzbogacanie się raczej nie gwarantowało społecznego prestiżu, nie wyznaczało konkurencji z wartościami prospołecznymi.

Przedstawiciel pokolenia Solidarności, raz wierzyli w postęp miał więc słuszne prawo uważać, że po okresach w historii, kiedy postępek w społeczeństwie wyznaczał czasa urodzenia (w ustroju feudalnym) oraz po czasach kapitalistycznych, gdy decydował czasa zajętkowy, przyszło mu żyć w systemie, w którym decydującym jest czasa wykonalności.

Tym też należy tłumaczyć ów hej jaki w pokoleniu ukryta demograficznego (ur. 1950–1956) teorii się o każde miejsce w liceum, o wstęp na wybitną uczelnię niezależnie od stopnia amokcyjności wydziału. Tak, to jedyną walkę o wykonalność wpojono pokoleniu Solidarności jako drogę do sukcesu. I to wszystkie metody były dobre. I ciężko opłacane kompetencje, i ówa lata pracy fizycznej dla zdobycia punktów za pochodzenie, i protekcja, i łapówki. Dyplom miał być gwarantem sukcesu. Każdy dyplom, gdyż w społeczeństwie równości nie mało przecież istnieć pojęcie lepszych i gorznych zawodów. Z wykonalnością wiązała się praca, prestiż zawodowy, rozróżnienie, nadążające za mającym się podosić mierzaniem

nie poziomem życia – zarobki. Bowiem wpełszy młode pokolenie ideę postępu obniżano zarobki, że będzie nas lepiej niż było rodzicom, że proporcjonalnie do zasług ich trud zostanie nagrodzony.

Stało się dokładnie na odwrót. To wirry. Na wszystkich polach państwowy mechanizm okazał się fikcją. Na mieszkanie oczekuje się dziesięciolecia mimo, że płaci się za nie drogą pieniądze w spółdzielniach, a kwaterykowe przydziały stały się wyłącznym riżalem przywilejów elity władzy. Pozaszpitalne leczenie darmowe swoim poziomem odstrasza nawet najuboższych, a płatne wizyty u lekarzy, w odróżnieniu od krajów zachodnich nie są objęte żadnym ubezpieczeniem. Państwowe przedszkola stały się również przywilejem, sprawiając, że gros rodzinów zmuszone jest płacić krocie za prywatną opiekę nad dziećmi. Odjechała cena popularnego samochodu, cena za którą można kupić wóz po kilkuletnim nam oczekiwanu odpowiada dwuletnim dochodom otrzymującego średnią płacę pracownika. Cena czamorynkowa, czyli faktyczna, odpowiada sumie dochodów lat blisko czterech. Dodawany do tego, że za średnią płacą, której neta bene nie osiągną nawet nauczyciele ani naukowcy, ani pracownicy kultury, można kupić analogiczną ilość chleba co za najdroższą żywność dla bezrobotnych we Francji (tysiąc bałek za 16 000 złotych), to jest tysiąc bułek za 2600 FF), otrzymaną odpowiedź na pytanie jak władza wywiązała się z zobowiązania zlikwidowania bezrobocia. W zachodnioeuropejskim rozumieniu tego słowa w Polsce ma zasiłku dla bezrobotnych jest całe społeczeństwo z wyjątkiem tych, którzy w ogóle nie mogą znaleźć pracy pozałatwieni są wszelkimi zasiłkami i świadczeniami. Bezrobocie staje się dziś w Polsce realnym zagrożeniem wszystkich wykształconych do pracy w sferze nieprodukcyjnej: w szkołach, urzędach, instytucjach naukowych, w prasie. Powiększa się więc masa sprostowanych finansowym niedostatkiem, a także niemożnością realizacji zawodowej.

Jak powiedziałem, pokolenie Solidarności nie zostało wychowane do walki. Wypojono mu przeświadczenie, że ostatni wrogowie poległ na wojnie. Można chyba zauważyć teraz, że jeszcze w sierpniu 1980 roku formułujący gwałtowne postulaty w swej przewalającej więźności nie zdawali sobie sprawy z rozmiarów i istoty konfliktów drążących społeczeństwo polskie. Właściwie to w sposobie formułowania 21 postulatów. Jeszcze wyraźniej można dostrzec w postulatach strajkowych ze Szczecina, jak silnie wiercono w szczerość wspólnie przez rodzinów i przez władzę głoszonych maksymalnych moralnych, z jakim optymizmem zakładano, że rząd jest jak sturwoy, nie rozpieszający ojciec, że co się od niego wymaga, jeśli się tylko tego w sposób twarży, świadczący o dojrzałości ale i o rozsądku, zażąda.

Wynikało to w dużej mierze ze strategii, jaką – narzucona Polakom komunistyczna ekipa – przyjęła od chwili objęcia rządów w 1945 roku. Przeświadczenia o swej koniecznej, nie z wyboru, lecz z wyrzku historii narzuconej jej roli, władza przyjęła wobec społeczeństwa ton rodzicielsko-nierówności. To przeświadczenie o naturalności swego panowania, wzmocnione przekręceniem o własnej, głębszej majomości rządu i bogactwem doświadczenia, zawodziło w specyficznym sojuszu władzy z pokoleniem rodzinów. Sojusz ten objawiał się we wpajaniu ideałów, których wprowadzenie nigdy nie dało się w pełni zrealizować, lecz w których rychłe wcielenie wierzyli wszyscy, co unięli głowę ze świadomości przegranej wojny.

Tak, to wojna, właśnie wojna pobityła się mramm niedopowiedzenia między pokoleniem Koluszów

a pokoleniem Solidarności. To był nasz różnego strasiku do tej samej przeszłości. Stając się zamkniętym w młodszym pokoleniu wstręt do wojny zapomniało, że to, czego się nie przeżyło, choćby było nawet najlepiej znajome, plasuje się w wyobraźni mitycznej niezależnie od faktu czy owe zdarzenia miały miejsce pięć czy pięć tysięcy lat przed obudzeniem się pamięci. Natomiast wyobraźnię historyczną tworzą własne i tylko własne wspomnienia jednostki. Tak, dla człowieka urodzonego w roku 1954 latwiejsze Stalina nie ma większego znaczenia ani konkretniejszego wyglądu niż latwiejsze Kromy. Za wyobraźnię mityczną dostarcza wzorów nie stanowiąc przestrzegaj. Gdy w telewizji polskiej sekundy popularności była „Stawka większa niż życie” mury Warszawy zaczęły pokrywać znaki Polki Walczącej stawiane przez dzieci, które bawily się w partyzantów i konspiracyjów. I to, że te dzieci w dojrzałym już wieku ryzykują nieco więcej niż kłutą dzonocę bądź urągę paniami oburzonej, że strasakacz stajęją świętości, to że pokolenie Solidarności nawięzało w swojej oburzędowości do całego szeregu wojennych rytuałów było zarzucić ucieczką w świat fikcji i bezkarności. Było powrotem do zabaw dzieciństwa. Trochę inflackim pórporucznikiem i powstańczą opaską, trochę statystowaniem w filmie narobowo-wyzwoleńcystycznym, a trochę przekroczonym gestem w stronę ogłupiałych Ojów – gestem, w którym ożydkowało się własną godność.



rys. Jacek Federowicz

Jeśli o pokolenie Koluszów można powiedzieć, że dojrzało zbyt wczesnie w ogniu powstania, w grozie łapanek i terrorku obozu koncentracyjnego, to pokolenie Solidarności w swej masie nigdy nie dojrzało. I pewnie już nie dojrzoje. Więc z tej niedojrzałości, nieodczuwaności musi czepać swą siłę.

Pokolenie Solidarności słusznie może się nazywać oszukanym pokoleniem. Uczono nas, że żyjemy w państwie niepodległym, lecz gdybyśmy zaczęli porządkować zarys z siebie, najgłębszej jak tylko masowy ruch społeczny jest w stanie to uczynić, wtedy władza zaczęła mówić o geopolityce, a matki i ojcowie wznieśli brzoła w zdziwieniu, że nowością są dla nas liczne fakty z historii stosunków polsko-rosyjskich w czasie okupacji i po niej. Uczono nas, że zasługi zostaną nagrodzone, a ta gdybyś w swojej masie zdobył kwalifikacje zawodowe i wykwalifikowanie, państwo rozłożyło ręce nie tłumacząc się dlaczego w ramach planowej gospodarki nie zachowało proporcji między ilością miejsc w szkołach i na uczelniach przygotowujących do zawodu, a możliwością do stworzenia stanowiskami pracy zgodnej z kwalifikacjami. Rodzice zaś zdawali się, żeśmy nie wiedzieli, że człowiek do pracy winien zdawać sobie sprawę, że każdy uczeń, każda instytucja, czy to państwowa, czy kościelna, podziemia lub emigracyjna wymagać będzie od nas ścisłości, przystosowania, adaptacji, słowem ograniczać będzie naszą wolność. A przecież nas wychowano w kultu wolności. Wychowano nas ku niej odbiegając jednocześnie świadomość jej ograniczenia.

Nikt nie zamierzał w nas tej trywialnej prawdy, iż indywidualizm jest wolne o tyle, o ile nie krępuje go materialny niedostatek. Że inaczej mówiąc, jedynym sposobem pozostania swojej wolności jest uzależnienie się ekonomicznie. Oczywiście to pojęcie niezależności może być różnie interpretowane. Może oznaczać niezależność od zarobienia, czyli posiadanie zasobów „pod podłogą”, może oznaczać uzależnienie się od dającej rodzinny przy niezależności się od tego, dla kogo się pracuje zawodowo. Może też być na odwrót. Zawsze jednak niezależność ekonomiczna oznacza wywołanie się od frustracji związanych z niemożnością życia na poziomie wzorcowym. Kryzys lat osiemdziesiątych charakteryzując przy tym szczególny paradoks. Przy katastrofalnym, cofającym społeczeństwo o jakieś dwadzieścia lat spadku stopy życiowej całego społeczeństwa, jednostki nie biednieją lub ubożeją w inny sposób. Inaczej mówiąc, społeczeństwo żyje lepiej i stworza wybór wzoru stylu życia, niżby to umożliwia kontakt z państwowym mechanizmem.

Rzecz w tym, że między pokoleniem Kolanbów, a dziećmi Solidarności nie ma niewidzącej różnicy wojennej podłogi, niżej, która doprowadzając przez wyrzutek na skraj nędzy instalowałaby tak ładnie dającą się zideologizować różnicę w niedostatku. Skoczyła się również kształtowana przez ubogą więźność atmosfera, w której nawet ci, co ucalił z wojny jakimi zasobami obawiali się podwyższyć swój poziom życia powyżej przeciętnej, by nie budzić nieufności u pozostałych. W pokoleniu Solidarności, zachwiane przez wojnę, przez migrację i nową władzę podziemia środowiskowe odróżniły się tworząc silną grupę samostanowienia, obszary chętności oraz finansowe, intelektualne, a także skrypczne przy władzy elity. Prochy dziedziczenia majątku, pozycji społecznej i umiejętności upominają się o swoje prawa. Upominają się z tym większą gwałtownością, im bardziej niewiadoma ich istnienia jest generacja, w której obudziły się te typowe społeczne reakcje.

Postępowanie jednostek staje się więc instynktowne, odruchowe. Nieprzygotowani, w sytuacjach konfliktowych często nie potrafią ani przewidzieć ani okiełznać własnych, psychologicznych reakcji. Nie mając reguł społecznej walki ludzie nie potrafią stać się ani się bronić.

Idea postępu zadzwiała sama z siebie. Zadzwiała pozostawiając jako pamiątkę ten krótki okres pierwszego dwudziestolecia intensywnej odbudowy kraju, w którym wywołała zdziwienie, że może obowiązywać stale. Rzeczywistość przeciętnie rozwiniętego, że młodzieńczego państwa z rozwiniętą strukturą społeczną, zakończyła wyrzutek. I ojców, i dzieci, i władzę, która zwierniała już we własne slogany i obywateli, którzy pragnęli być w ustroju sprawiedliwej społecznej. Z całą oczywistością okazało się, że od któregoś momentu, w kraju realnego socjalizmu, młoda córka szwca z prowincji nie ma żadnych szans na studiach w podwarszawie z synem stołecznego intelektualisty. A nie ma ich właśnie dlatego, że nikt nie umie sforszować upodobań jej sytuacji. W rytm teorii wystarczy się odwrócić, nie wytwarza się więc mechanizmów obony słabszego. Również paradoksalnie zdaje się stwierdzenie, że człowiek w socjalistycznym państwie pragnący się oddać pracy społecznej musi dać się kupić bez zastanowienia jakimś materiałem, rodzinnym bądź państwowym. Ale właśnie dlatego, że takie stwierdzenia przeczą zarówno ideologicznej, państwowej teorii jak i urągają moralnemu kanonowi wypowiadania przez rodziców w pokoleniu Solidarności, generacja ta nie ma dziś żadnych ani instytucjonalizowanych, ani kulturowych hamulców łagodzących tego rodzaju konflikty. Zasadniczy codzienny dramat życia odlatujący, że nie wystarczy od pozytywnych wartości zaangażowanych w realizację określonych celów zależy, ukazał się w ten sposób jak rewolucja.

Realia zmieniły się, jednak teoria obowiązuje nadal. Terazniejszość przemija minimalizm, kombinatorstwo, bezwzględność i cynizm. Teoria z przemianami przywódców narodu i rodzicielskich wskazań promieniowała do Kościoła lub na jego obszar, głosi, że gdy brak nadziei na powołanie wypłacenie zasług trzeba się pogodzić z faktem, że: Kto miał, ten mieć będzie i obfitować będzie. Proponuje się więc twórczość społeczeństwa owegożnawionego, pogłębianego, obójnego na pokazy świata tego.

Jest w tym pewna konsekwencja, gdyż postawa taka nie zmusza do zmiany światopoglądu. Jest to wypowiednie propozycja dla jednostek, nie zaś dla społeczeństwa czy generacji, ale tym jednostkom właśnie pozwól ona zachować w sercu ową utopię moralną stworzoną przez pokolenie Kolanbów jako rodzaj antidotum na etyczne piekło okupacji, w którym zostali wyrzuceni. Ta skrajnie idealistyczna, wyraźnie odznaczająca okupację, doktryna wychowawcza zbrojnego zawrocowała jednak w pokoleniu, którego prawa życiowej walki nie zostały w ogóle wstrzymane. Toteż, gdy w tej dziewiętej generacji zaczynają się objawiać normalne życiowe konflikty interesów, pozycji, majątku, pryncypl, można odnieść wrażenie, że wkracza się w dżunglę. Dżunglę walki o byt na poziomie dziewiętnastowiecznego kapitalizmu wolnokołtorowego, charakteru walk o pozycję i basz politycznych sporów. Widać to było wyraźnie w czasie Solidarności, objawia się to dziś szczególnie mocno w sferze ekonomicznej. Można powiedzieć śmiało, że jeszcze w tym nie mającym wojny pokoleniu odbija się jej pomarażnię. Z wyloty pięknymi burzącymi moralno-politycznymi ideałami wpadło ono w życiowe bagno, w którym wyraźnie się umie się poruszać. Czy zdoła znaleźć w sobie dość siły, by – w swojej masie – ani nie poddać się życiowej szaryźnie, ani nie normalizować?

(c.d.n.)

TADEUSZ ŻEGLIKOWSKI

ISSN 0796-3000 nr 45 styczeń '86

kontakt

PARIS BRUXELLES LONDON NEW YORK ROMA STOCKHOLM TORONTO ZURICH WIEN WARSZAWA



kontakt

162, rue Saint Maur
75011 PARIS
tel.: (1) 807.26.23

Konto pocztowe
CCP PARIS 351140E

spis treści

3 Kalendarium

ANALIZY I PROGNOZY

3 Czy państwo doświadczyło prawdziwej kryzysu – Józef Mironowicz
10 Polska kongresowa – Florian Kukulski
17 Działalność – historia kłopotu – Andrzej Kwaszowski

SKICE, ESEJE

22 Odebranie dramatu – Tadeusz Żygielowski

GOSPODARKA

26 Język dramatu – Bronisław Dzikus

SPOŁECZEŃSTWO ALTERNATYWNE

31 Spotkania się w społeczeństwie – Ludwik Lewis
33 Komentarz – Natalia Gorbaniewska
33 Prawa człowieka w PRL – Jacek Karpiszek
36 Rozmowa z Ewą Kulandowicz

PROZA

42 Gmur – Jan Otrawa

RECENZJE

47 Józef Mackiewicz – pisanie prawdy – Tomasz Mironowicz
48 Leonard Prędki po spadku – Wiktoria Gostkowska
51 Nagłej poludka broda – Ludwik Lewis

53 Czuć wiatr, trwać stacje – Tom. Hołba

57 Czytanie z książki – Katarzyna Kwaszowska

Z OBOCZU – redaguje Józef Dzikus

61 W związku z wydaniem w Polsce – obywatelski
62 Czy imperium sowieckie przetrwa jeszcze 300 lat – Józef Tworzy
64 Am. Węgry, um. Czad – wywiad z Friedrichem Kraußem

71 Z dwóch stron Europy – Jan Zieliński

73 Ktoś głybie czas – L.L.

74 Korespondencja z Włocławka – Andrzej Zięba

77 Oświadczenia

Le Directeur de la Publication
Miroslaw Chojcki

Redaktor
Bronisław Władsten

DRUKARNIA KONTAKT

nr CPPAP 6661
Dzielnik Wgł: 1400 Warszawa 1981

ODSŁANIANIE DRAMATU

TADEUSZ ŻELIKOWSKI

2. Odbiór drugi: konflikt i przegraniemi

Jeśli ktoś wierzy w realizację, a nie przy tym historii i ma wyobrazić, może wyobrazić sobie drugą, która przeżywa w warunkach kolejnych wojen światowych wszystkie czasy we wszystkich możliwych warunkach i we wszystkich istniejących warunkach drabiny społecznej, wówczas została przed oblicze Najwyższej Istoty, po to by rat jeden wybrała sobie czas i miejsce docelowego życia, w którym jej będzie najlepiej. Po nocach śnić się może jej niepojęta odpowiedź, gdy po szeregu niezdrowała: więc nasz to będzie Polska we wschodniej Europie, droga północna dwudziestego wieku.

W tych czasach upadła cywilizacja zachodnia, jej osiągnięcia dotychczasowe niekiedy i jej osiągnięcia, w tych czasach gdy model kultury europejskiej stał się wspaniałym dla całego świata, on różnił ją od koreańskiej, chińskiej, egipskiej, greckiej, rzymskiej, z których żadna cała nie została nie została stworzona, tylko sługę ich docierania nazywała „złoty wiek”. W tych czasach zatem, gdy bogactwo na powołanie podległym poziomie jest przywołane kilku krajów, co może sobie nazywać rozwinięciem, a może kuli ziemskiej poprzeczony jest w opłoty, jeśli nie fizyczny, to przynajmniej społeczny, wywołany brzością z powodu niechętności zapokojenia konsumpcyjnych aspiracji; gdy jedna część tego świata będzie więc o bogactwo wspaniale Zachodu, z którego go rozumie tyżym samym egipskim czy rzymskim gustem, które przynajmniej część tego pięknego świata, a drugą część tego świata stworzy, by już więcej górną: stworzywszy brzością wydzielił ten jego bogactwo... Gdy zatem Zachód zwiąże się w kierunku przynajmniej i końca historii, a Wschód wymaga słodką podległość, i niechętności Zachodowi i górną się rozumie – na pograniczu tych dwóch światów jest kraj nieznany. Kraj ten posiada podległość i dyktando przez historyczny świat ze Wschodu, ale kraj, w którym nie ma nie głodu. Kraj, który będąc rozpatrzony z cywilizacją Zachodu i korzystając z doświadczeń techniki, organizacji, posiadania wartości oraz idei demokratycznych, które swego czasu współzawodniły, podległy ich w chwili – choć wciąż nie do końca – od czasu ich wartości i doświadczeń ze świata.

Ważne to czasu przedhistoryczną Polskę sdyktu XX wieku od Polityki Haremowa (gdy świat stworzył Rzymo-polską, Słowacką), nad Narodową Górną i Rzymo (gdzie lepiej było nie urodzić się niewolnikiem), nad kraj i sytuację dostatek, gdzie ktoś nie doświadczył, że duch nie wie ka czasu warto znieść. Wybrała i uplanowała się górną w północnej drabiny społecznej podległości, że oto być będzie w systemie, w którym każdy otrzymywać będzie według swoich zasług.

Nie pytanie drugie czy wiedział jaka forma podległości przez to spokojnie, przynajmniej być i bogactwo się w rękach oraz w pokoju podległości. Pewnie wiedział, jako że drugie jej był przez Najwyższą Istotę dar jawowidzenia, pewnie miała rozumieli jakich dostarczy jej życie i umiała, że tych rozterek doświadczanie będzie właśnie górną jej szczęścia w tym polskim, w czasie najlepszym z możliwych, świecie.

Jakże jest pewne. Ta droga wie, że w tym konkretnym świecie została powołana do umiędlenia. Ta droga, która ogłosiła drugie pokolenie Soliharradi, wie, że jej się należy i wie, że ma prawo wyznaczyć.

Nawet jeśli nika przynajmniej niechętności, niechętności, że jako raz w świecie traktowane idealizowanych opór jako realnych faktów. Jakże można określić historyczny dawany warty wspaniałym rozważaniem o możliwości w kraju socjalistycznym podległości społecznych, mimo, że doświadczanie, może właśnie ten i podległości otoczenia, co koniec temu nie przynajmniej?

Wstrząśnięty przez wojenną podległość układ ekonomiczny, społeczny, polityczny, nawet rozumieli odradza się wraz ze wspaniałym pokoleniem Soliharradi. Odradza się mimo, że ci on widzieli jak typał się w grupie byli przebiegłości i wspaniałym przebiegłości swian dziesięć, że po klasie okupacji nie już nie może być takie jak przynajmniej. Ale to, co było dobre, ale to, co złe. Wyliczaliśmy sobie, że za tę cenę stworzy się świat bez konfliktów interesów, bez konsumpcji, bez walki.

Tymczasem w miarę dorastania powojennego pokolenia Polaków wszystkie prawa życia docelowego odradza się jak powierzone ustrój oddać. Czy jednak jest nasz przez to górną? Górną niż Polakom wychowanym przed wojną? Górną niż naszym robotnikom żyjącym dziś w Związku Radzieckim, w Indiach, w Ameryce Łacińskiej? W Ameryce Północnej i Zachodniej Europie? – Jest nasz inat. Od jednych wspaniał, od drugich nasz konsumpcji. Jeśli konsumpcja jest miarą szczęścia.

Pewnie. Zagubienie konsumpcji starość która do odkrycia wspaniałego konfliktu pokolenia Soliharradi. Zamoczenie nasz przynajmniej, docieranie historyczny wartości. U jej podstawie istota przebiegłości o społeczną konsumpcję jednostki i ogółu, a świadomości konsumpcji przynajmniej na ziemi. Cała drabina jednostki miała być nastawiona na akceptację otoczenia. Akceptacja ta zaś wywołana może być formalnie jedynie przez instytucje: szkołę, pracę, organizacje społeczne oraz najwyższą cenione środki konsumpcji społecznej. Trzeba podkreślić od razu, że bardzo długo Konflikt nie należał do instytucji historycz-

nie oddzielających ze względu tego pokolenia. Środki, jakie instytucje dysponowały miały także charakter symboliczny. Nagroda książkowa, dyplomy, odznaki, wyróżnienia w gazetach, wywiad dla młodzieży i młodzieży nie oddziaływały bezpośrednio na wzrost poziomu kulturalnego i intelektualnego obywatela. Zawsze kultura według jego miar, obowiązywała w sferze materialnej. W sferze materialnej miało obowiązywać prawo do zaspokojenia potrzeb.

Zganiamy się tymi potrzebami, o których tak wiele mówili się w czasach Solidarności. Człowiek ma przede wszystkim potrzebę zaspokojenia głodu i ciepła. W zależności od rodzaju pracy powietrze miał możliwości spożywać od 2200 do 3000 kilokalorii dziennie oraz je około 0,82 mg witamin D i H, 1 mg witaminy E, 10 mg wapnia i 2 mg witamin A, B1, B2, a także 30 mg witaminy C. Aby nie marznął ani się nie przegrzewał, powietrze miał możliwości przetrzymać w temperaturze od 18 do 20 stopni Celsjusza. I to właśnie wyzwało. Na tym kończą się biologiczne potrzeby człowieka. Potrzeby, których nie mogą zaspokoić, łącznie zmagają się ze i mają podstawę twierdzić, że są niezaspokojone.

Więc ludzkość w swojej przetrwałej formie powinna czuć się zadowolona. A jednak jest inaczej. Nie będąc ludzkością odkrywczo świadoma, że głód i zmaganie z nim niezadowolona jest uczuciem wrażliwym. Istotną kwestią (z czego świetnie zdali sobie sprawę ekonomista polityczny Solidarności) ówa kwestia głodu: apetytowa i ciepła. O ciepła potrzeb powietrza, o ciepła ciepła się dziś jeszcze rozmawiały. Kolejny czy kolejny parok, o ciepła potrzeb powietrza się ma znowu nową w Europie. Ani w Polsce, ani w Niemczech, ani nawet w krajach katolickich. Ślad zapoznania z naszymi zachodnimi bliźniaczami, że w czas kryzysu, gdy po polakach słuchano chwały piękny głodów, stali raz wotki z kasa, gdy złyry spikali ze czekoladkami, żółtykami, smaczny sokami, bakaliami, papierosami czy cytrusowymi owocami.

Bowiem głód socjalny, który dziś w Polsce prężą, a nawet się pogłębia, to zjawisko powstaje znowu życiowej wewnątrzcząstki dla dawnej jednostki czy społeczeństwa. Wychowanie w czasach Gomułki, immanentnie w Gomułki, Polacy, we wrodzić ideę kąpieli w regimie, w listopadzie barany, a na święta święta Narodowa okazały władzę na swoim stół pomarańczowy. Przyzwyczajali się, że cytryny powietrze był takie dostępne, że dobra podoba czekolada jest do nabycia w Wodzie, a medycy w Delikatniech. Niane woty konsumpcyjne kształtowane zostały przez kontakty z Europą Zachodnią, przez częste wyjazdy, przez odwiedziny krewnych z zagranicy. Co więcej, jest to wód konsumpcyjny dotyczący całego społeczeństwa, gdyż wpojono nam przekonanie o ekonomicznej równości wszystkich obywateli. Zgadza się. Niane wotki możliwe wymiar zostały z utępiłą wód socjalistycznego typu na dzień.

Tymczasem w ostatnich latach wylądował Polska nasocnie się odtrącają. Powstają grupy społeczne, które mogą sobie pozwolić na standard nie gorszy od przeciętnego poziomu dobrobytu zachodnioeuropajskiego poziomu i także, których zasoby materialne wystarczają na zaspokojenie elementarnych biologicznych potrzeb. W dodatku najczystszej jakości materiały jest również proponowane do przestrzegania wpojonych i powołanych uznawanych norm współżycia społecznego. Prowadzi to do dostrzeżonego przez socjologów różnicu między wartościami uznawanymi i mal-

awanymi, w praktycznym życiu w Polsce pokoleniu Solidarności. Usiądź się wotków, kompetencje zawodowe, bezinteresowność. Istotną przeszkodą konsumpcyjnym, obywatelom, młodzieży.

Wychowanie w naszym czasie „Arian Kultura” stwierdziły poprosi, że chociaż nagroda nie przychodził lub trafia nie do tych, co zasłużyli wpojony przez wychowawcze model nauki. Okazuje się, że jest. Istotną wartościową jednocześnie zaspokojenie sprzeczki materialnych i materialnych. I pokolenie podzieliło się na dwie grupy, z których jedna nie czuje się zadowolona. Ci co poświęcili się pracy dla społeczeństwa w swoim zawodzie inżyniera, lekarza, nauczyciela, artysty, naukowca mogą poczucie patriotyzmu ekonomicznego. Zaś ci, którzy oddali się robotom przydatnym w rodzinie lub prywatnej instytucji mają poczucie niedowartościowania intelektualnego.

Dwastronka straszenie objawia się w grupie. Na oparowującym swoim liczącym steryl wotkiem rynku, ówa postać był wyznacznikiem relacji poprosy i podoby, lecz naga się trudniła odzawu. Pewna fachowiec, którego poprosił o wzięcie dwóch kolekcji w której zdążył na tę dobiegocierminową usługę jednej dziesiątej swojego miesięcznego uposażenia. Gdy wyznacznik swoje oburzenie w odpowiedzi użył symbolicznie słowem: *Je się uczyłem na tym świecie, a pan nie uczył. To teraz piść. A nie chcesz, to ja to panu w czasie pierwszomajowym zrobię!*

Tak zwany socjalistyczny system wychowania opierał się na poddawaniu przesłaniam obywateli. A raczej równą wartości obywateli względem państwa. Państwo miało przejąć rolę kapitału, zachłanność będącą przedmiotem wyzysku, handlu, konkurencji, wotkiej gry ekonomicznej – wartość dodatkową. W ten sposób naszym Władzi Inżynierem, podważając: ludźli konieczności walki i podżaw do rywalizacji, miało uczynić ich kapłanym. Zanim jednak, zgodnie z socjalistycznym podziałem dochodu narodowego, miało obywatel zdobyte środki na dobro ogółu, potocznie miało świadczyć socjalnych.

Teoria była ładna. Istotne co w niej ponosięto, to fakt, że instytucja, mimo iż bezosobowa, opiera się na ludziach. I to ci ludzie, którzy tworzą instytucję są przede wszystkim nieinteresownością agrarystycznym w niej swojej postępy, a co się z tym łączy, straszeniem istnienia tej instytucji. Kształt więc instytucji powoła Parkomora, która w tym wypadku głosi, że środki jakie instytucja dysponuje instytucja dla materialnego celów, ku którym została powołana, wykorzystuje ona przede wszystkim i w zdecydowanej większości na utrwalenie swojej własnej egzystencji. Wychodził się przy tym ze słusznego bądź co bądź założenia, że pierwszym warunkiem zrealizowania zadania jest zniechęcenie tego, kto ma je realizować.

To prowadzi do podziału społeczeństwa na dwie nowe klasy. Pracowników i agentów władzy. Można oczywiście przedstawić go w najczystszej formie. Stwierdzić, że idealny socjalistyczny ogólny błąd, gdy w zakresie wypracowanych podziałów na posiadaczy i wyzyskiwanych, powołać wpała idea władzy i spoliaryzowanego społeczeństwa. To społeczeństwo dzielił się dalej na straszone niane urządzone (nabytwelewa partia zwyczajna), które nie nie ryzykują na materialnym wpojonych wartościach zachowań oraz niane, które błąd jak mogą i potrafią, choć gnębi je błąd poczucie uczestniczenia w materialnym rozczłuciu publicznym. Staje się oczywiste, że rozczłuciu urzędników zatrudnionych w materialnych do wykorzystania swoich funkcji instytucjach, starają się brać odzawu na

współbywotałach, który mimo wymuszczeni-
ego skomunizowania, porzucił od instytucji socjalist-
ki. Odwet ten przybrał najgłośniejszą formę nieporząd-
ków, która przeobraziła się w politykę, a więc jak ce-
na wahała się i znowu – kapotała. Znowelizowane spo-
łeczństwo wyrażało się więc wykładając sobie na
sobie nagromadzoną agresję.

Ala można też popatrzeć na to inaczej. Odtąd
skłolem socjalistycznej równości miało być uzależnie-
niecie się człowieka od warunków zewnętrznych. Od
pochodzenia społecznego, rodzinnego, majątku. Los
człowieka powinien znajdować się w jego własnych
rękach. A przecież system całego socjalizmu nie brał
niekiedy dostępu do sfery. Rządził to oczywiście sta-
na konkurencja, ale zwycięstwo wylicza nie miał spe-
cjalnie takich warunków wstępnych poza postawieniem
odpowiedzialnych osób osobowościowych. Pasało to zasa-
da dobrego, a nie wyboru, co w odróżnieniu od krajów
demokratycznych Zachodu nie uniemożliwia kariery
politycznej kłótni obywateli, którym służy nie powie-
rzony fachowy konsultant, ale oficjalnie działająca
polityczna. Jedyną cnotą, jaką trzeba wymagać za sty-
skanie – wysoko w pokoleniu Solidarności oceniano
– sukces społecznego, jest sprzykniecie się wpo-
jęciu sam jednocześnie kancowi małej wspólnoty
skromnego. Umiejętność stwarzania porozumie-
nia, eliminacja przeciwników, brak zahamowań moral-
nych, brzytni słowa, rozciąganie w sobie skłonności
sprawiania polityki.

Własność jest więc w systemie kapitalistycznym,
podobnie jak w wielu innych, zamierzona dla ludzi
o talentach politycznych. Wszyscy tacy posiadają w sta-
nie od władzy, która dysponuje wielką siłą, do-
kładającą podzielną podziału obywateli.

Jak powiedziałem, podziwowałem, badając
potrzeby człowieka w Europie zapoznawszy. Jednak
każde mały cały mały trych potrzeb. Płyną się do-
nie skąd, wygodnie potrzeb, znacznie jeść. Płyną
posiadać. Posiadanie jest bowiem naturalną niezmi-
nialną wolności. Im więcej się posiada, tym większy sta-
je się jej margines. A pokolenie Solidarności, jakby
go wyszło nie oczekiwało do drugiego stopnia trych
i gośńcał pogodziłowej odnowy, jest pokoleniem de-
mokratycznym. Jego sławy paradoksem polega na tym, że
w czasie gdy komunistyczne ideologie zapomniały prze-
stąpić swój kryzys, one winny, choć w sposób, w możli-
wość wartościowego życia, które łącząłoby dostatek,
uczciwość i własność. Tylko tyle!

Na używanie więc skomunizowanego w ra-
stym kraju tenista socjalizm twórcy programu Solidar-
ności studiował zestaw postulatów, z których
zależało miałoby uczynić ludzi uczciwymi, w pierw-
szym rzędzie poprzez zaspokojenie ich potrzeb materiał-
nych. Powstało pojęcie maksimum socjalnego, które
w końcu wprowadziło do krajów cały skomunizowany
model gospodarki propagandy. Określiła je mała
grupa, mała młodość, mały fat, ewentualnie: ma-
ły wyrostek na skry.

Tymczasem stwierdzić, że komunistyczny stał się
się skłolem Solidarności między dalszymi jednostki
do wygodnego życia, a tendencjami kapitalistycznymi,
był również nieuczciwy, a w praktyce okazał się
się pewnie nie mniej nieuczciwy, od programowa-
nych pominięć Leninu dokonanych, gdy okazało się,
że znowu nie wybuchnie równocześnie na całym
świecie. Pierwszym warunkiem sukcesu wydawało się
Solidarności, podobnie jak bolszewikom, powołanie
zaspokojenie aktualnie panujących aspiracji. I jeżeli, i

działali starzy też w możliwości trwałego spójności
społeczności pod poparciem standardów, za-
porządku, że w chwili gdy brak wspólnego wrażli-
wości, towarzyszą się podzieliły i trwały opasował po-
pół jednostek do porządku swych dóbr osobistych.
Potrzebują pomocy na dalszy rozwój wspólnoty
tych skromnego. Solidarności stała się wypracować
program jednostki oraz państwowego kapitalizmu w
socjalistycznym wykładzie i interwencjonizmu państw-
owego w wydaniu kapitalistycznym.

Była to oczywiście utopia. Prospołeczna była
zamierzona podobnie Solidarności przez wychowaw-
ców i rozwinęła w jej programie, przegrana w życie
skromnego. Tragedia jej jest tym głębsza, że nie roz-
ciągała jej tylko twórcy, ale i wykładcy. Właśnie w po-
stępie, w zwycięstwo sukcesu i wartości twórczości, jest
ludzi utopią, o której skłolem przekonał się świat
w ciągu dziesięciu lat. Jest to więc wspaniały sukces.

A jednak to wspaniały sukces. Wynajął ją intelektual-
ności, którzy skłolem się do społeczeństwa, zadow-
niając się egzystencjalnym sukcesem, posiadając swo-
ją własność poprzez sukcesywnie ludźmi sukcesywnych
władzy wspólnoty skromnego, od którego uciekają. Pro-
pagała ją ideologia, której oddawały się za usługi
władzy, bądź dążyć do jej sprawowania i w ten sposób
zapewniając sobie maksimum dostępnej wolności, twó-
rzą własną dyktando za słów, których przeczą realizu-
jąca ich ideę sukcesu. Niezłą ją w sercu posiada-
cie różnorodnych majątków, handlowe i gubernatorskie
gotowi wykonać zaplanowaną pracę przez Polskę, je-
sto, by w sposób owolali się od kreowania wy-
stęplonych się instytucjonalizmu państwowego i po-
kazywania błędów. A wyszło to, by wskazać się po-
nad brzośną swoją życie i w prywatnym świecie kultu-
rować swoje życie o sposobie społeczeństwa społecznego.
By do życia w świecie dziesięciu uczciwości propo-
zować swoje życie. Podziwowałem pokolenie Solidarności.

Dziśnet polega na tym, że prospołeczna została
równości zamierzona mała jednostka, mała skłolem
uczciwość się od skłolem, a tym samym niezmi-
nialną równości.

YANUSZ ŻYLIŃSKI



W GŁOSOWANIU JAWNYM

Na Starym Mieście powstał – w przededniu zamknięcia list kandydatów do rady samorządowej Śródmieścia – alternatywny wobec Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” – Komitet Obywatelski Mieszkańców.

Na zebraniu, podczas którego został on powołany, dwóch dzientelmenów zbierało bez przeszkód podpisy pod listą proponującą młodego politologa na kandydata z ramienia SdRP. I nie zgorszyło nikogo, gdy zwrócił się on do zebranych, by przytulili go do swego grona – co uznał za dające więcej szans, niż gdyby startował z listy swojej partii.

Kandydujące osoby przedstawiły następnie swoje bolączki i życiorysy. Szczególnie te ostatnie podobały się większości zgromadzonych: ktoś był w partii aż do rozwiązania, ktoś do prokuraturze, ktoś inny jest zawodowym działaczem społecznym ze „starych układów”. Jedynie młoda nauczycielka, która pracuje w szkole społecznej i przyznała się, że jest katoliczką należącą do „Solidarności”, wyraźnie pomyliła zebrania. W głosowaniu jawnym, przy malejącej liczbie obecnych, wyeliminowano ją więc, pozostawiając na liście sześć osób (tyle miejsc przypadnie Starówce w Radzie Śródmiejskiej), z panem politologiem włącznie.

Nazajutrz w Rynku Staromiejskim, przy lokalu dotychczasowego Komitetu Osiedlowego (gdyby ktoś wątpił, z kim nowy Komitet jest związany), a także w zaprzyjaźnionych sklepach, zbierano podpisy pod konkurencyjną wobec solidarnościowej listą.

Znajdujący się na niej „tradycyjni” działacze staromiejscy nie są pozbawieni szans. Mają swój elektorat, złożony głównie ze starszych osób, oburzonych faktem, że potępia się dziś w czambuł ich 45-letnie nawyki społecznych zachowań, a częściowo też zniecierpliwionych brakiem widocznych osiągnięć KO „S” w ciągu poprzednich miesięcy. Jawne głosowania na wspomnianym zebraniu mieszkańców, a także „zapożyczona” nazwa nowego Komitetu – nie przeszkodziły uzyskaniu przez jego listę wymaganej liczby podpisów. (tak)

Tygodnik Solidarność 34 (101) 24 sierpnia 1990

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Przeciwnomenklaturze

Przeciw nom

Dla działaczy samorządowych, którzy obserwują, jak organizatorami rejonów zostają mianowani np. dawni naczelnicy gmin, nie ulega wątpliwości, iż rejon stał się dzisiaj głównym bastionem nomenklaturowej administracji.

Ustawa o samorządzie terytorialnym jest dziurawa. Aż dziw bierze, że można było w sejmie i w senacie przepuścić tak poważne niedociągnięcie, jak świadomy lub nieświadomy brak przepisu umożliwiającego wyborcom odwołanie w trakcie kadencji radnego, który ich zdaniem nie reprezentuje interesów lokalnych. Ewidentny i pilny jest (pominięty w ustawie) zakaz łączenia mandatu przewodniczącego rady z funkcją w administracji rządowej. Ustawodawca prześlepił więcej. Z ustawy nie wynika wprost, by z tytułu delegata do sejmiku samorządowego (instytucji powołanej do oceny działań urzędu wojewódzkiego i opiniowania osoby wojewody) nie można było łączyć z zatrudnieniem w administracji rządowej (np. w urzędzie wojewódzkim). Trudno pogodzić się z brakiem zapisu zabraniającego łączenia funkcji w prezydium sejmiku, a nawet jego przewodniczącego, ze stanowiskiem wojewody.

Nie trzeba chyba udowadniać dłużej, że obowiązujące ustawy nie chronią w sposób skuteczny demokracji i wymagają pilnych zmian. W naszych oczach życie zmagają się z całym pakietem ustaw samorządowych.

Najwięcej krytyki spada na akty dotyczące terenowych organów administracji rządowej oraz podziału kompetencji między samorzady a te organy. Ustawy te odebrały bowiem w praktyce gminom cały szereg uprawnień, głównie z zakresu budownictwa i komunikacji, oraz sprawiają, że władcze oddziaływanie rządu, które — zgodnie z duchem samorządowej reformy — powinno kończyć się na szczeblu wojewódzkim, zostaje rozdzielone na słabsze, ale za to liczniejsze i dokuczliwsze tzw. rejony. Odbierają one gminom kompetencje, przejmują od wojewody prawo decyzji o tym, które z zadań można gminom powierzyć, a jakich się nie odda, słowem, prowadzą do odtworzenia — w sposób autorytarny i niekonsekwentny — dawnej władzy powiatowej. Niekoniecznie dotyczyć to musi obrony osób. Bywa tak, że problem stąd się bierze, iż wojewoda ma nadto ludzi do obsadzenia nielicznych stanowisk i wtedy mnożą się rejony.

Bywa też odwrotnie. Wojewodzie ludzi brakuje. Szczególnie, gdy wciągnięci do gry samorządowcy, widząc, że nie da się bez zmiany ustawy zlikwidować rejonów, dążą do ich rozdrobnienia — do zrównania ich siły z mocą gmin i do obsadzenia siedziby przyszłego (jak to rozumieją) powiatu w aspirujących do tego miejscowościach. Wtedy, korzystając z prześlepienia ustawy, proponuje się stanowiska kierowników rejonów, a nawet wojewodów radnym: członkom prezydiów

rad gminy, a nawet sejmików Oczywiście na razie radni ci stanowisk nie przyjmują albo z funkcji samorządowych rezygnują.

W momencie, gdy zmienia się ustrój administracyjny, gdy obok nowych praw ogólnych obowiązują stare przepisy wykonawcze, błędy ustawowe są rzeczą naturalną. Jednak skoro niedoskonałość prawa powoduje, że stara nomenklatura może się w gminie bronić, a nowa ma szansę odtworzyć, nie można się dziwić, iż samorządowcy odczuwają potrzebę uzyskania wpływu na kształtowanie ustaw krajowych. Mówiąc krótko, gdy tylko powstały nowe rady, gdy wybrani zostali przedstawiciele do sejmików wojewódzkich, stało się jasne, że posłom lokalnym jest tego za mało. Że muszą uzyskać wstęp do parlamentu i prawo inicjatywy ustawodawczej.

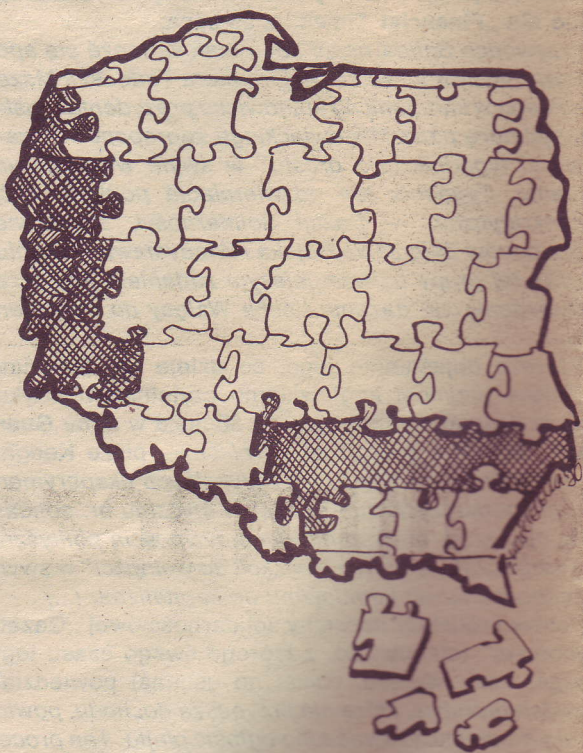
Sposobem na wyrażanie legislacyjnych postulatów, na korekty i inicjatywy mogłoby być (także ustawowe) związanie z radami gminnymi i z sejmikami wojewódzkimi posłów i senatorów wybranych w okręgach i województwach. Jest to jednak obecnie czysta abstrakcja, brak bowiem zobowiązań ustawowych.

Wygląda więc na to, że samorządowcy nie mają wyjścia. Muszą się złączyć, wybrać i do parlamentu wkroczyć sami. Oznacza to naturalnie wyjście poza ustawowe ustalenia; w stronę usuniętego z ustawy Krajowego Związku Gmin bądź w kierunku federacji sejmików — sejmików, które mogłyby się stać w takim razie miejscem dwu lub więcej stopniowych wyborów albo prawyborów do senatu. Czy też do inaczej nazwanej drugiej parlamentarnej izby.

Ten ruch kilkustopniowych przedstawicielstw i wyłaniania ciał, które najskuteczniej będą w stanie upominać się o władzę, idzie w parze z kształtowaniem się makroregionów, podobnych do europejskich kantonów czy landów. Skuteczność zrzeszania się w granicach tradycyjnych dzielnic: Mazowsza, Małopolski, Wielkopolski, Śląska czy Pomorza poczuli po raz pierwszy już w roku 1980, instynktem

menklaturze

politycznym wiedzeni, działacze Solidarności. I dziś to samo czują nowo wybrani radni. Odbyły się pierwsze zjazdy sejmików w Wielkopolsce i na Mazowszu, gdzie 20 lipca zapowiedziano powołanie Mazowieckiego Stowarzyszenia Samorządowego, którego celem ma być reprezentowanie interesu makroregionu. Jego siłą i szansą jest to, że na szczeblu, na który się wspina, nie znajduje żadnego odpowiednika w administracji rządowej.



rys. JOLANTA KOŚCIELECKA

Trzeba jednak określić granice dzielnic. Stwierdzić, gdzie kończy się Mazowsze, a kto powinien należeć do Wielkopolski. Dyskusja zaś o granicach, jak historia poucza, rzadko bywa łatwa, jeśli nie towarzyszy jej asysta jakichś czterech mocarstw. Musi się więc ona toczyć zarówno w ramach sejmików wojewódzkich działających na terenach, którym może już wkrótce przyjdzie się rozdzielić, jak i w jakimś przedstawicielstwie krajowym; np. w stanowiącej rodzaj czapki czy zaworu bezpieczeństwa, dysponującej inicjatywą ustawodawczą i zdolnej skutecznie kontrolować rząd — samorządowej izbie parlamentarnej.

Sposób powołania takiej reprezentacji pozostaje nadal sprawą otwartą. Wydaje się jednak, że po pierwszym gdańskim roboczym zebraniu 13 lipca oraz 25 i 26 lipca w Poznaniu wypracowano formułę, która odpowiadać będzie zarówno delegatom na sejmiki, jak i nie wzbudzi sprzeciwu rządu. W drugim dniu zjazd odwiedził premier Mazowiecki z liczną delegacją rządową. Dowiedział się, iż powołano już poprzedniego dnia grupę roboczą Krajowego Sejmiku Samorządu Terytorialnego z siedzibą w Poznaniu. Grupę, na której czele stanął przewodniczący sejmiku gdańskiego, Grzegorz Grzelak. Jego zastępcami zostali Piotr Buczkowski z Poznania i Piotr Fogler z Warszawy. Ukonstytuowano też wiele komisji krajowych: legislacyjną, regionalną, szkoleniowo-informacyjną, promocji gospodarczych i interwencyjno-mediacyjną. Będą one miały swe siedziby przy sejmikach wojewódzkich w Warszawie, Katowicach Lublinie, Poznaniu, Łodzi i Gdańsku. Zadaniem grupy roboczej jest przygotowanie na wrzesień krajowego zjazdu samorządowego, który określi szczegółowe zasady funkcjonowania przedstawicielstwa ogólnopolskiego. Te prace nie mają jednak blokować, lecz przeciwnie, winny inspirować powstawanie dobrowolnych, motywowanych wspólnotą interesów, związków miast czy gmin. Ich ostateczną postacią będą działające niezależnie od parlamentarnej izby samorządowej, nie obligatoryjne, podobne przedwojennym, stowarzyszenia czy jeden związek miast i gmin. Spotkanie przewodniczących sejmików z rządem było jednak zderzeniem dwóch odmiennych formacji. Premier wygłaszał słuszne tezy, lecz odwoływał się do nieaktualnego i nikogo z radnych nie obowiązującego „meblowego” układu. Stwierdził, iż filozofią jego rządów jest uznawanie, że to, co nie jest prawem zakazane, jest dozwolone. W tym też znaczeniu T. Mazowiecki poparł ideę utworzenia nie przewidzianej w ustawie o samorządzie terytorialnym krajowej reprezentacji samorządowej mogącej być partnerem rządu.

Jednocześnie jednak było to spotkanie zakończone totalną klęską straszącego jeszcze w URM administracyjnego aparatu. Spotkanie, na którym ministrowie nowej generacji, tacy jak np. prof. Regulski czy wiceminister finansów Misiąg słuchani byli uważnie nawet wtedy, gdy mówili rzeczy trudne i niepopularne. Na którym oświadczenie senatora Stępnia zapraszającego przedstawicieli sejmiku krajowego do prac kierowanej przezeń komisji senackiej przyjęto bravami. Natomiast wynurzenia ministra Kołodziejskiego na temat niezbędności urzędów rejonowych trafiały w kompletną pustkę. Między niektórymi urzędnikami a nowymi radnymi i ministrami czuło się jakąś biologiczną, gatunkową przepaść, wobec której argumenty pozostają nieme.

Aż dziw brał więc zebranych, oklaskujących mądre i uczciwe słowa premiera, gdy przekonywali się, że on tej przepaści między częścią swego urzędu a reprezentantami społeczeństwa zdaje się nie widzieć. Z opublikowanej zaś nazajutrz przez „Życie Warszawy” wypowiedzi premiera wynikało, że przenosi on argumenty urzędniczego aparatu na temat niezbędności administracyjnych rejonów nad opinię 49 demokratycznie — po raz pierwszy w naszym kraju wybranych przewodniczących sejmików samorządowych — posłów ziem polskich.

Tradycyjna nazwa Państwa Polskiego została przywrócona 1 stycznia 1990 r. W ślad za tym symbolicznym aktem zmienia się lub przywraca nazwy ulicom. Zdemontowano już kilka pomników. Czy ten polityczny proces narusza jakieś normy kultury, czy też nie? Publikując trzy pierwsze głosy, zapraszamy Czytelników do dyskusji na ten temat.

REDAKCJA

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Przeciw burzeniu pomników

Nasz rocznicowy kalendarz zmienia się. Przypominamy stare święta. Zaczynamy obchodzić nowe. Wróciły takie daty w narodowym kalendarzu, jak 3 maja, 15 sierpnia czy 11 listopada. Pewnie wkrótce zechcemy uczcić jakoś dni porozumień sierpniowych albo czerwcowych wyborów.

Jednocześnie wiele osób pragnie spuścić zasłonę milczenia na ceremoniał, który został nam narzucony przez komunistów. Wymazać z kalendarza rocznic dzień 22 marca. Odebrać ulicom nazwy Armii Ludowej, KRN czy KWN. Zwalić pomniki wdzięczności, a z cokołów rzucić posągi Dzierżyńskiego, Nowotki albo Marchlewskiego.

Prawo na to pozwala. Wystarczy jedna decyzja rady dzielnicy czy miasta, by przemianować ulice, tak jak to proponowano na posiedzeniu rady Śródmieścia Warszawy. By na cześć intronizowanego bóstwa nowego święta w narodowym kalendarzu, z okazji 70. rocznicy „Cudu nad Wisłą” dokonać zbiorowej ofiary z nazw, przemianowując aleję Armii Ludowej na Piłsudskiego, ulicę Partyzantów na Oleandrów, Aleję Wyzwolenia zaś na 6 Sierpnia.

Wszystko to można zrobić. I więcej. Bo gdy raz się zacznie ruch w tym kierunku, nic go powstrzymać nie zdoła. Szczególnie w Warszawie, postulując przywrócenie ulicom nazw, a pomników przetrzebienie, można odebrać imiona prawie całej po wojnie ukształtowanej przestrzeni. Ten nie lubi Nowotki, a tamtemu pomnik utrwalaczy władzy ludowej przeszkadza. Ten Marchlewskiego nie znosi, ktoś inny chce usunąć Świerczewskiego. Inwencji nigdy dosyć. A to, co Warszawy, dotyczy także wielu innych miast. Szczególnie nowych i podniesionych z ruin. Takich jak Nowa Huta, a także Szczecin, Koszalin, Wrocław, Gdynia czy Katowice. Miast, których imiona i granice udało się ocalić. Lecz których wiele wewnętrznych połączeń ukształtowano według obcych nam architektonicznych założeń i ponazywano w sposób, na jaki nie mieliśmy wpływu.

W rezultacie powstała przestrzeń, której daleko do piękna. Te pudełkowe więzienia warszawskiej Żelaznej Bramy i opadające tynki MDM. Bliska mi, choć paskudna zabudowa Latawca, Jazdowa, Mirowa czy Muranowa, którą nazywałem jak nazywałem, lecz te imiona smakują dzisiaj jak pierwsze wagary i lody w „Palermo”. Więc choć bym się zgodził, że ci partyzanci mieli słomę w butach, Armia Ludowa stanowiła agenturę, a wyzwolenia nie było — nowych nazw dla kraju mego dzieciństwa nie zapamiętam do śmierci. Tak samo jak uznający słuszne prawa narodów ukraińskiego czy litewskiego lwowiacy albo wilnianie nie uwierzyli do dzisiaj adnotacjom w swoich dowodach osobistych, z których wynika, że urodzili się za granicą.

Rzecz bowiem w tym, że te nazwy nie są piękne, ale są takie, jak owa przestrzeń. Pasują do niej i z nią się kojarzą. I co najważniejsze, te nazwy, jak większość imion własnych, nie brzmią znaczeniowo, lecz symbolicznie. Dla mnie, wychowanego na ulicy Armii Ludowej, to słowo

Wyzwolenia
i przestrzeń
wskazują
zwrotny
było on
— kto c
uderzenia
A ten, k
imię.

Otóż
prze
założen
ców, k
zdecy
wy. Po
przez
czerw
chyba

A j
muję
pomn
na to
Popr
Dost
odpo
rewol
nełil
któr
kto
prz
ters
zac
ota

ba
wr
zn
zn
Pe
je
w
li
js
ś
i

Cynamonowa, Poprzeczna



fot. JAROSŁAW STACHOWICZ

bądź Długa. Mówiąc krótko, ta nazwa nie oznacza jakiejś komunistycznej organizacji podziemnej, lecz jest jedynie adresem terenu, gdzie był klub oficerski i kino, i kasyno milicyjne. I gdzie nie było ulicy, tylko klepisko pełne uschniętych drzew, które w końcu zmieniło się w wąwóz Trasy Łazienkowskiej. Te przekształcenia nanizywały się na oś nazwy i ta nazwa jest z miejscem związana. Więc niech wypiszą imię Marszałka gdzie wola — jam się w alei Armii Ludowej wychował!

Czy my tak bronimy tej nazwy? Ulicy Partyzantów, i alei

Armii Ludowej wychował!

Czemu tak bronię tej nazwy? I ulicy Partyzantów, i alei Wyzwolenia? Bo jestem najgłębiej przekonany, że imię i przestrzeń (znak i desygnat, czyli tó, na co ów znak wskazuje) są ze sobą nierozzerwalnie, trwale i w sposób zwrotny związane. Kto zabiera mi imię, nawet gdyby było ono brzydkie, nawet gdybym to ja się go zaparł — kto odbiera mi imię, ten zagraża memu istnieniu. Bo uderzenie w imię jest atakiem na rzecz przez nie nazwaną. A ten, kto broni rzeczy, musi najpierw ocalić nadane jej imię.

Otóż ja bronię tej rzeczy. Bronię tej niedoskonałej przestrzeni, powstałej w wyniku kompromisu obcych założeń i patriotycznej pracy pokolenia naszych rodziców, którzy zaprzestawszy podziemnego oporu i nie zdecydowawszy się na emigrację, przystąpili do odbudowy. Poszli na kompromis. Na ten twardy kompromis, co przez wszystkie polskie miesiące doprowadził nas do czerwcowych wyborów i dalej prowadzi. Więc nie był to chyba wybór najgorszy, którego należałoby się wypierać.

A jeśli tak, jeśli akceptuję swoją historię, jeśli przyjmuję daną mi rzeczywistość, to czy wolno mi burzyć pomniki? Albo odbierać ulicom nazwy? Nawet gdy prawo na to zezwala, czy wolno buntować się przeciw tradycji? Poprawiać sobie przeszłość i dokonywać na niej operacje? Dostosowywać do aktualnej linii? Kto zna historię, odpowie, że nie było takiej zmiany władzy, takiego rewolucyjnego przełomu, po którym zwycięzcy nie pragnęliby zaanektować wszystkiego — włącznie z tradycją, której stróżami są nazwy ulic, a także pomniki. Lecz ten, kto czytał Orwella, odparuje, że najdalszą konsekwencją przyzwolenia na manipulacje w tym zakresie są: Ministerstwo Prawdy i groby pamięci. Że ocalenie nazwy jest zachowaniem języka, w którym wyraża się istnienie otaczającej nas przestrzeni, naszego świata.

Jednak skoro nie wolno ulicom zmieniać nazw, tym bardziej nie ma przeszkód, by im stare imiona przywracać. Zachowując umiar wtedy, gdy ma dojść do zrzućcia tablic. Nikt przecież nie wątpi, że słusznie zrobiono przywracając placowi Bankowemu jego imię. Podobnie sędzę, że i ulica Szucha, którą w Warszawie jedynie listonosz nazywa Aleją I Armii LWP, powinna wrócić do swej tradycyjnej nazwy. Jednak zestawiając listy skazanych ulic trzeba pamiętać, że odebranie imienia jest formą infamii uważanej długo za karę surowszą od śmierci. A także to, że każdy oskarżony ma prawo do indywidualnego sądu i własnej obrony.

Nie mnie sądzić w tym procesie, w którym skazywać się będzie moich bliskich. Jako strona uważam, że nazwy stołecznych ulic: Armii Ludowej, Marchlewskiego czy Waryńskiego albo Nowotki, a także liczne ustawiane przez 50 lat pomniki powinny trwać jako świadectwo

rodzicami
W kolejn
aleje Por
i skwery

Ale tak
kiego pla
należało
ulice, ins
chciałb
com prz
ści. Mo
zakorze
Czy nik
swojsko



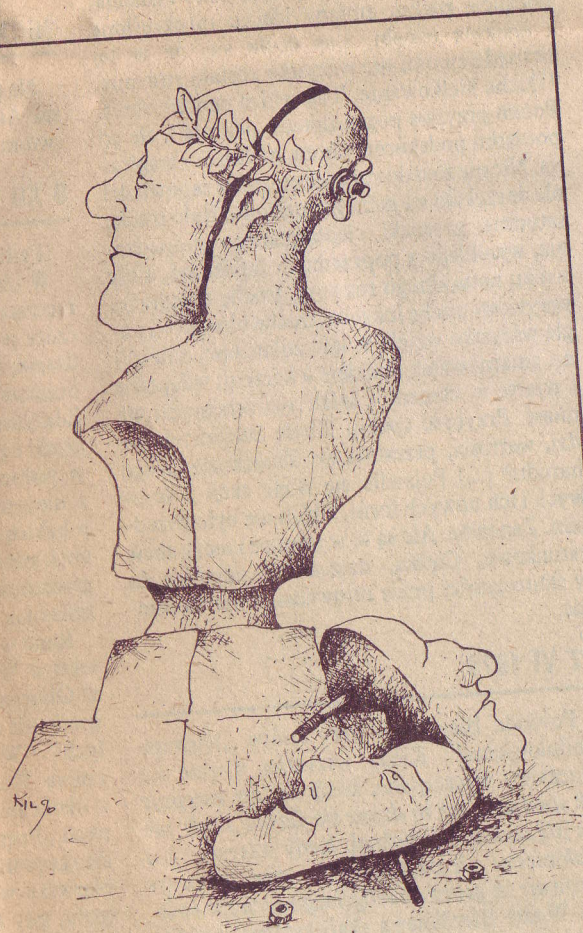
*Jeśli
akceptuję
swoją
historię,
jeśli
przyjmuję
daną mi
rzeczywistość,
to czy
wolno mi
burzyć
pomniki?
Albo
odbierać
ulicom
nazwy?*

czasu, który taką nam dał Warszawę i takie pozostawił tym miejscom imiona. Przywrócenie zaś nazw może odnosić się jedynie do terenów, które ocalały lub zostały zrekonstruowane w kształcie zbliżonym do ich metrykalnej postaci.

Nasze miasta nam się nie podobają. Będziemy się je starali rozwijać. Utworzymy w nich miejsca nowe. Wytvy-

starali rozwijać. Utworzymy w nich miejsca nowe...
czymy ulice i place. Z mocy ustawy radni będą ich
rodzicami chrzestnymi i stosownie nadadzą im imiona.
W kolejną rocznicę Sierpnia ustanowią place Wałęsy,
aleje Porozumień Sierpniowych, promienady Bujaka
i skwery Michnika.

Ale tak, jak nie było wolno nadać imienia Dzierżyń-
skiego placowi Bankowemu, podobnie jak przed wojną nie
należało po śmierci Marszałka zrzucić tablic obdarzając
ulice, instytucje i parki imieniem „J.P.” — tak samo nie
chciałbym dożyć chwili, gdy będzie się odbierać miejs-
com przez nas nazwanym imiona bohaterów Solidarno-
ści. Może po to, by przywrócić którąś z nazw tradycyjnie
zakorzenionych. Jakiegoś Nowotki albo Waryńskiego.
Czy nikomu z niczym się już nie kojarzące, lecz po prostu
swojsko brzmiące imię alei Armii Ludowej.



rys. JACEK KILIŃSKI

Sentyment do pl. Dzierżyńskiego

Z uczuciem pewnego zdumienia przeczytałam artykuł p. A.T. Kijowskiego na temat nowego nazewnictwa ulic. Jako członek komisji do zmiany nazw ulic doskonale rozumiem intencje autora w tej mierze. Uważam podobnie jak on, że należy się dobrze zastanowić, wyważyć każdą decyzję i działać bez pośpiechu. Zdumienie moje budzi natomiast wywód autora, z którego wynika, że o wartościach kulturowych ma decydować stałość związku mię-

dzy znakiem a desygnatem. Jest to bowiem związek umowny, sztuczny, również w kwestii nazewnictwa ulic. Jest to rodzaj umowy społecznej, że oto taką to a taką ulicę umawiamy się nazwać tak i tak. Wydaje mi się, że wszelkie ulice o nazwach: Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Nowotki, Bieruta, Fintera, Armii Ludowej, Gwardii Ludowej itp., itd. pochodzą jakby z fałszywej umowy społecznej, gdzie stroną oszukaną czy wręcz upokorzoną by-

Listy do redakcji

to społeczeństwo. Myślę, że nie jest przejawem złej woli, braku rozsądku, popędliwości wreszcie fakt, że dzisiaj z tych nazw rezygnujemy. Myślę, że jest to przede wszystkim nieuchronna obiektywizacja faktu, że tamta umowa społeczna skończyła się, albowiem była umową nie odzwierciedlającą akceptowanych przez społeczeństwo wartości.

Pozostaje jeszcze kwestia sentymentu. Z tym trudniej polemizować, chociaż ja oso-

biście zupełnie nie rozumiem, dlaczego „aleja Armii Ludowej” budzi w autorze tyle wzruszeń. Jako dziecko mieszkałam przy ulicy Dzierżyńskiego, nigdy nie lubiłam tej nazwy, nigdy mnie nie wzruszała. Gdy przemianowana została na ulicę Limanowskiego, wydało mi się, że nie jest to już tak ponura jak niegdyś okolica. Ale być może dla kogoś innego ta sama „Dzierżyńskiego” będzie już na zawsze „Dzierżyńskiego”, jak dla autora. Mimo to sądzę, iż dobrze się stało, że już nie ma ulicy Dzierżyńskiego, a porównanie w tej mierze z sytuacją tych, którzy nigdy nie zapomnieli, że urodzili się

w Polsce, mając za miejsce urodzenia Wilno lub Lwów, wydaje mi się porównaniem co najmniej niestosownym, jest to jakieś groteskowe i tragiczne zarazem pomieszan-

materii. Owo pomieszan- budzi moje zdumienie własne i chyba coś w rodzaju smutku.

DOROTA MAZUREK
Radom

16

Tygodnik Solidarność 40 (107) 5 października 1990

Sztandarowi cześć!

Przyszło i na nas. Oto obchodzimy dziesiątą rocznicę zdarzeń, zapamiętanych jak by toczyły się wczoraj. Oto dokonuje się wielkie zbiorowe odreagowywanie. Słowo Solidarność, jeszcze niedawno zamalowywane, wykrzykiwane, zrywane z kłap — zastępowane opornikiem albo Pszczółką Mają, staje się o to tytułem igrzysk sportowych, kolarskiego wyścigu, festynu. I przedmiotem konfliktu w łonie elity władzy. Zaczyna wyobcowywać się, a nawet drażnić. Nadto adorowane i nadużywane w sporach może wzbudzić nienawiść, nudę albo obrzydzenie.

Czy tak musi się dziać? Czy to konieczne? Czy musimy walczyć o sztandary i pod ferytronami maszerować? Czy musimy dręczyć dzieciątka, których wtedy jeszcze na świecie nie było, każąc im wyspiewywać w telewizji:

Nie mam dzisiaj czasu dla ciebie.

Nie widziała cię długo matka.

Przyznam, że na widok dziecięcia zawrzałem. Może dlatego, że tak dokładnie pamiętam, jak dusilem się łzami, kiedy po raz pierwszy, w podwójnym wydaniu kroniki filmowej Sierpnia słyszałem tę pieśń w wykonaniu Macieja Pietrzyka.

Widmo akademijności krąży nad Polakami. Nas przecież identycznie dręczono. Recytowaliśmy dla Mamusi „Bagnet na broń” albo „Flagi”. Dla pani od rosyjskiego nuciliśmy zaś na piątkę „Marsz I Korpusu” bądź „Okę”. A im byliśmy więksi i złośliwsi, tym chętniej na biwakach odreagowywaliśmy, wyjąc *a capella* „Pierwszą Brygadę” albo i „Rotę”.

Teraz repertuar się zmienia. Ale nawyki pozostają. Instytucje kultury, które stworzone były do przygotowywania akademii, uzyskiwania funduszy, zdobywania wykonawców i organizowania publiczności — mogą zmienić sztandary i repertuar, ale nie zechcą się unicesztwić. A co za tym idzie, skazać na niebyt armię chałturzących aktorów, muzyków, plastyków, którzy z występowania na akademiach żyją

i legion trzeciorzędnych organizatorów, podrzędnych księgowych, najmarniejszych magazynierów oraz ostatnich kierowców, którzy przy takich przedsiębiorstwach wegetują.

Oni wytoczą najcięższe armaty! Nawymyślają od nomenklatury, lewicy laickiej, liberałów albo klerykałów czy jeszcze gorzej powiedzą temu, kto podziękuje za ich usługi z okazji „słusznych” sierpniowych świąt, skoro uroczystości majowe i lipcowe zostały zagrożone w kalendarzu imprez.

Znam wielu, co w tych akademiach zechcą wystąpić. Puszyć się i zarabiać pieniądze. Ale proszę pokazać mi kogoś, kto ma ochotę w nich uczestniczyć. Kto woli akademię od dyskoteki, wycieczki, przyzwoitego Szekspira lub choćby „Pszczółki Mai” na dobranoc.

To, co usłwicone, zdaje się mieć w sobie jakąś zaklętą moc. Więc pewnie dlatego, gnet po akademijnej kanonizacji Solidarności, grremium, które zastrzegło sobie w sądzie prawo do dysponowania znakiem, postanowiło odebrać go „Gazecie Wyborczej”. Widocznie uznano, że na znaku polega jej siła i w nim ukryte są racje.

Należymy więc do grona właścicieli tego znaku. Ale czy stąd wypływa, że mamy monopol na rację? Przecież siły i racji nie dają dekryty i nie wytworzą jej rytuały. Przeciwnie, święty znak Solidarności wyrósł na gruzach rytuału, a swoją moc czerpał nie z gdańskiej antyki, lecz stąd, że za tymi literkami stanęły miliony.

To już nie wróci. I nie musi. A nawet nie powinno. Gdyż bitwa Solidarności została wygrana i pora z szacunkiem odprowadzić sztandary. Zamiast wyspiewywać rocznicowe godzinki i urządzać wyścigi, zamiast wyrwać sobie z rąk i szargać zwycięskie chorągwie — najwyższa już pora oczyścić swe winiety i podążyć dalej: ze znacznikiem Smurfów w kłapie albo Pszczółki Mai.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 48 (115) 30 listopada 1990

PIERWSZE DEMOKRATYCZNE WYBORY PREZYDENTA

relacje wyborcze s. 4:

■ JOANNY KLUZIK

z Gdańska

■ EWY WILK

z Warszawy

■ ANDRZEJA T. KIJOWSKIEGO

z komisji wyborczej

Na Starym Mieście od strony Dekerta frekwencja była wysoka. Jako przewodniczący OKW zorientowałem się już po jakichś czterech godzinach, że ma ona szanse sięgnąć 70%. Toteż gdy zjawiała się prasa, moje drugie, dziennikarskie „ja” kazało o tym powiedzieć. Ktoś jednak zwrócił mi uwagę, iż mimo braku stosownego zapisu w wytycznych Wojewódzkiej Komisji Wyborczej (zobowiązujących mnie jedynie do dopilnowania tajności wyborów), jej przewodniczący wydał prasie zakaz zbierania informacji na terenie lokali wyborczych. I rzeczywiście, w telefonicznej rozmowie sędziezia Mieczysław Bareja, nie powołując się na jakiegokolwiek inne, poza własną decyzją prawo, osobiście potwierdził mi ten zakaz. Zakaz wskazujący na swoiste rozumienie wolności prasy przez nominata Stronnictwa Demokratycznego.

Oczywiście decyzję sędzięgo można by usprawiedliwić dbałością o względy porządkowe. Wolałbym jednak, by szef Komisji Wojewódzkiej

Jak przeskoczyłem przez mur

zamiast zakazami wyręczać swych podkomendnych i kazać im świecić oczyma przed korespondentami, sam lepiej organizował poruczone mu prace. Gdyż to, co późnym wieczorem ujrzałem w stołecznym Ratuszu, gdzie udałem się, by złożyć protokół, przypominało sceny z Dantego. Zbity tłum jeszcze przed chwilą szacownych członków Komisji, co jeszcze o ósmej wieczorem odczuwali pewnie podobną jak ja, na polu wigilijną więź ze wszystkimi w całym kraju, którzy w tej samej chwili w podobny sposób celebrowali rytuał demokracji, otóż ten tłum niedawnych adoratorów narodzin Prezydenta zobaczyłem teraz spostponowany, zmęczony, obrażony, kłębiący się wokół wąskich drzwi największej w Ratuszu sali. Gigantyczna, ponad tysiącosobowa, wielogodzinna

kolejka stanowiła ponurą drwinę, żaloszny finał, rozpaczliwe postscriptum do naszych szans na zorganizowanie demokracji. Trudno chyba było ujrzyć coś równie upokarzającego. Trudno było nas wszystkich, członków obwodowych komisji wyborczych głębiej dotknąć. I trudno, bardzo trudno będzie pewnie za dwa tygodnie skompletować komisje.

Co prawda mnie się udało. Sobie tylko znanym sposobem, którego tajemnicy do drugiej tury nie zdradzę, zdołałem migiem przeskoczyć ten mur. Jestem więc wyspany i ufniej patrzę w przyszłość. Ale zarazem stoi mi w oczach ta masa godnych, a tak źle traktowanych ludzi. Ona mi pomaga zrozumieć wyniki wyborów. Ona też mi uzmysławia, że skoro nie umiemy wejść do salonu demokracji jak kulturalni ludzie, to zamiast liczyć na wujka z Ameryki, trzeba iść za tym, kto uczy skakać przez płoty.

**ANDRZEJ TADEUSZ
KIJOWSKI**

INFORMATOR

SEJMIEŹKOWY

* INFORMACJE * AKTUALNOŚCI * PROBLEMY * KOMUNIKATY *
* PRZEPISY I INTERPRETACJE * WYJAŚNIENIA * PRZYKŁADY *

PISMO
SEJMIKU
SAMORZĄDOWEGO
WOJEWÓDZINA
WARSZAWSKIEGO

PLAC BANKOWY 3/5
00-950 WARSZAWA
Tel. 20-17-10

Nr

6 (21)

ROK III

C Z E R W I E C

1 9 9 2

W OBRONIE USTROJU

Gdyby ktoś zechciał podnieść dziś rękę na Samorząd Warszawy próbując wprowadzić w niej np. Zarząd Komisaryczny, mogłoby się to jak sądzę spotkać z poparciem znacznej części mieszkańców.

Można bowiem pogubić się w polityce. I posiom pozwolić działać w oderwaniu. Kiedy jednak człowiek nie wie gdzie się w mieście rejestruje sklepy, kto podatkuję grunty, u kogo wynajmuje się lokale, jak nazywa się urząd przyjmujący skargi, gdzie łątają ulice lub zatykają kanalizację - zaczyna się horror.

Że to nie nasza wina? Że złe są ustawy? Obojętny Parlament? Niestabilne Rządy? Że kryzys gospodarczy!?

Ale przecież to jest nasz Sejm, nasz Rząd, nasze rady i nasz Sejmik - nasza wspólna bieda. I ... trzeba to powiedzieć otwarcie i do końca. To kryzys, i głębokie załamanie, naszej własnej władzy.

To załamanie widać dziś wyraźniej niż przed dymisją Rządu Olszewskiego. Widowisko zaś, które rozegrało się i nadal rozgrywa w Sejmie przekonuje mnie, że radni wojewódzcy i miejscy, stanowią może ostatnie gremium polityczne wybrane na zasadzie w pełni demokratycznej i niekontraktowej. Już tylko tu w Sejmiku i tam na radach gmin, można zwracać się do pewnej formacji. Formacji, którą konstytuują ściśle związki z wyborcami. Formacji obywatelskiej, dla której zdrowy rozsądek ważniejszy jest zarówno od suchej litery praw jak i od emocji. Formacji w łonie, której niemożliwe do pomyślenia byłoby kompromitowanie demokratycznych instytucji władzy z obawy o własną skórę czy z osobistej urazy. Formacji, której obca jest prywatność. Formacji, dla której liczą się jedynie społeczne fakty.

Dla nas te fakty są takie, że przeciętny, a nawet nieprzeciętny - wykształcony obywatel, nic z tego o czym w Sejmiku rozmawiamy nie rozumie. Bo kto przy zdrowych zmysłach pojmie czym różnią się od siebie i jakie mają kompetencje władze: dzielnicowo-gminne, obligatoryjnego związku gmin, sejmiku samorządowego, urzędu wojewódzkiego czy resortu?

Czekaliśmy cierpliwie: Najpierw na Ustawę o dochodach gmin, teraz na Regionalne Izby Obrachunkowe, w braku których Naczelna Izba Kontroli nie chce badać budżetów gmin, na wnioski dotyczące zmiany podziału terytorialnego Warszawy, które miały być przesłane do końca

ubiegłego roku Premierowi, lecz Rada Warszawy postanowiła nie skorzystać ze swego prawa. Skoro więc **system samorządowy nie został legislacyjnie zamknięty** mówienie, że mam respektować zapomniane prawo, prawo odłożone, prawo uśpione - zdaje się czystą demagogią.

Mam działać. Mam nie łamać ustaw. Ale muszę robić wszystko, co mogę, więcej niż mogę, skoro głód zaczyna zaglądać ludziom w oczy, skoro boimy się zimy, skoro mieszkańcom nie stać na tramwaje.

Na spotkaniu z burmistrzami i przewodniczącymi rad dzielnic warszawskich, które odbyło się w Sejmiku w ramach przygotowań do XVIII Sesji, wymienione zostały główne prawne i funkcjonalne problemy miasta które czekać po prostu nie mogą.

Pierwszy: to **kwestia gospodarki komunalnej**. Miasto ciągle dopłaca ogromne pieniądze do czynszów, płacąc kontrybucję od metra wynajmowanego mieszkania, a nie dla konkretnego człowieka. Efekt jest taki, że lokatorzy płacą czynsze, których znieść nie mogą, a dotacja budżetowa zaspokaja różnice ledwie w jednej trzeciej. Trzeba więc w skali całej Warszawy przygotować reformę czynszową, wypracować politykę stymulującą ruch wymiany mieszkań, umożliwiającą inwestycje, przekształcającą w sposób logiczny gospodarkę zasobami mieszkalnymi. Deficyt miasta z tego tytułu należy w skali roku szacować w granicach 1,5 bln zł.

Druga: to **kwestia polityki handlowej i opłat za grunty**. To paradoks warszawskiego Siedmiogrodu doprowadzający do sytuacji, w której nie miasto urządza przetarg między wieloma firmami, lecz silni kontrahenci rozgrywają swe interesy między licznymi dzielnicami, z których każda ma nieco inną politykę w tym zakresie.

Po trzecie: Czekają nas **przejęcie szkół podstawowych**. To znowu wydatki w skali miasta przekraczające 1 bln zł.

Wreszcie czwarte: to **zagadnienie Ustawy o Reprywatyzacji**. To kolejny potencjalny deficyt Warszawy, sięgający według szacunkowych danych 25 bln zł.

Nie wspomnę o inwestycjach takich jak metro czy most siekierski, których wybudowanie nie jest wszakże interesem dwóch czy trzech dzielnic Warszawy.

O zapomnianych korektach planu zagospodarowania przestrzennego Warszawy z 1982 roku mówić nie wypada.

Wszystkie te sprawy wymagają porozumienia się między dzielnicami. Wszystkie wymagają współpracy organów wykonawczych. /Co tak wyraźnie podkreśla burmistrzowski projekt warszawskiej ustawy/. Ale też wszystkie wymagają ogólnomiejskich uzgodnień i negocjacji z budżetem centralnym. /Z czego zdają sobie sprawę autorzy ustawy sygnowanej przez Konwent Wojewódzki/.

Lecz ja zdaję sobie proszę Państwa sprawę, że **ani ta ustawa, ani ta ta przed nią nie zostanie uchwalona**. A nawet gdyby tak się stało nie poprawi to stanu naszych budżetów ani nie ułatwi, wręcz przeciwnie, utrudni życie mieszkańcom. Naszym wyborcom, po raz kolejny zaskakiwanym zmianą miejskiego nazewnictwa. Ja zdaję sobie sprawę, że w tych wszystkich sferach konieczne jest racjonalne działanie, gdzie **Zarząd Miasta musi podjąć najcisłszą współpracę z Zarządami Dzielnic**. Poszczególne dzielnice zaś, bez urazy Urzędu Prezydenta Miasta, muszą wejść w porozumienia umożliwiające im efektywne i zsynchronizowane działanie. Z tym proszę Państwa zwięździeć dalej nie sposób. **Niezbędna jest bowiem szybka koordynacja budżetu całego miasta**. Jest to dzisiaj zadanie dla stolicy najpilniejsze.

Powiedziałem na początku, że nasza demokracja jest w potrzebie:

zagrożony jest kraj i jego demokratyczny ustrój samorządowy. Wisi nad nim widmo niezrozumienia. Braku przekładni - pomiędzy skomplikowanymi formułami prawnymi, a życiem codziennym; potocznym, brakiem uwagi i przyzwyczajeniami naszych wyborców.

Wszędzie, dosłownie wszędzie można się porozumiewać, łączyć miast dzielić budżety rządowe, samorządowe i specjalne. Łączyć je po to by administracja nie miała tu władzy. By istotnie służyła do przekazywania środków. Bo, kiedy różne są źródła finansowania wtedy właśnie władza znajduje się na dole. U dyrektora czy w Zarządzie Instytucji, która otrzymując środki z różnych stron czuje się relatywnie wolna i ma pewien margines swobody wobec każdego ze swych gestorów. A czy to nie jest właśnie to, co tak bardzo boimy się stracić? Czy nad współczesnym polskim ustrojem nie ciąży najsilniej lęk urzędników wszelkiej administracji przed wyzbyciem się wyłącznego prawa do przekazywania środków? Czyli władzy!? I czy w imię obrony swych gestii nie są oni skłonni zaprzepaścić dobro publiczne?

To pytanie nie może zostać uchylone. Gdyż **ten kto uzdrowi stolicę pomoże państwu, a kto przegrywa w Warszawie ten Polskę traci.** Sądzę, że najwyższy już czas powołać tu w Warszawie ruch. Kto chce niech go nazywa Ruchem Naprawy Miasta. Musi on dziś oprzeć się na tej, jak ją tu nazwałem, obywatelskiej formacji, zdolnej działać nie chowając się za prawne parawany. Gdyż dziś /nie łamiąc prawa - ale także nie pytając, co nam wolno, a czego niezadekretowano/ trzeba znaleźć tu w Stolicy, w całej wielkiej Warszawie, sposób na skuteczne dokończenie dzieła Naprawy Rzeczypospolitej.

Andrzej Tadeusz Kijowski

/skrót wystąpienia na XVIII Sesji Sejmiku Warszawskiego/

Wiele osób ma dziś ochotę podnieść rękę na samorząd Warszawy. Coraz częściej mówi się o konieczności wprowadzenia w niej np. zarządu komisarycznego. Przypuszczam, że posunięcie takie mogłoby się spotkać z poparciem znacznej części mieszkańców.

Można bowiem pogubić się w polityce. I posłom pozwolić działać w oderwaniu. Kiedy jednak człowiek nie wie, kto opodatkowuje grunty, u kogo wynajmuje się lokale, jak nazywa się urząd przyjmujący skargi, kto łata ulice lub zatyka kanalizację – zaczyna się horror.

Ten horror trwa już pół wieku. Ale my, działacze komitetów obywatelskich, obiecywaaliśmy, że z nami wszystko się zmieni. I co? Po komitetach obywatelskich nie zostało wspomnienia. A i o nas też wyborcy zapominają. Odplywamy... W równe dwa lata od wyborów odplywamy... w sferę administracyjnej fikcji, prawnej niemożności, w stronę gadania...

Że to nie nasza wina? Że złe są ustawy? Obojętny parlament? Niestabilne rządy? Że kryzys gospodarczy!? Ale przecież to jest nasz Sejm, nasz rząd, nasze rady – nasza wspólna bieda. I trzeba to powiedzieć otwarcie i do końca. To kryzys i głębokie załamanie **naszej** wspólnej władzy.

W Warszawie fakty są takie, że przeciętny, a nawet nieprzeciętny – wykształcony obywatel nic z ustroju stolicy nie rozumie. Bo kto przy zdrowych zmysłach pojmie, czym różnią się od siebie i jakie mają kompetencje władze: dzielnicy-gminy, obligatoryjnego związku gmin, sejmiku samorządowego, urzędu wojewódzkiego czy resortu?

Jest sobie Śródmieście. W tej dzielnicy ulica, na ulicy nieczystość lub dziura, a za rogiem radny, który kandydował z kwartału tych ulic. Otóż, jeśli po tej ulicy jeździ autobus, to ulica jest wojewódzka. Remont asfaltu należy do wojewody, czyli do przedstawiciela rządu. Radny, rada dzielnicy i jej zarząd – niczego nie mogą.

Na rogu zlikwidowano przystanek. Lecz dzielnicowy radny nic tu nie pora-

**KOMUNIKACJA
MIEJSKA LEŻY W
GESTII ZARZĄDU
OBLIGATORYJNEGO
ZWIĄZKU
GMIN...**



APEL RADNEGO

dzi. Bo komunikacja miejska leży w gestii Zarządu Obligatoryjnego Związku Gmin, czyli Rady Warszawy. – Pisz pan do wojewody, pisz do prezydenta, pisz na... Berdyczów, tylko nie do mnie – odpowiadam jako radny.

Wśród radnych wykształcili się dwa typy zachowań. Nazwałbym je: syndromem legalizmu i anarchizmu.

Legalści każą czekać cierpliwie: najpierw na ustawę o dochodach gmin, która miała być przyjęta dwa lata temu bez mała, teraz na tzw. regionalne izby obrachunkowe, w braku których Naczelną Izba Kontroli nie chce badać budżetów gmin. Na wnioski dotyczące zmiany podziału terytorialnego Warszawy. Anarchiści twierdzą, że skoro system samorządowy nie został legislacyjnie zamknię-

ty, mówienie, że mamy respektować zapomniane prawo, prawo odłożone, prawo uspięne – okazuje się przeważnie czyścią demagogią.

Trzeba działać. Nie łamać ustaw. Ale robić wszystko, co się da, więcej niż można, skoro głód zaczyna zaglądać ludziom w oczy, skoro boimy się zimy, skoro mieszkańców nie stać na tramwaje.

Komunikacja miejska stanowi tu zresztą przykład może najwymowniejszy. Notoryczna niezdolność Zarządu Miasta do rozwiązywania konfliktu między monopolistyczną grupą interesu a ogółem mieszkańców doprowadziła do sytuacji, w której pasażerowie, jak za czasów stanu wojennego, podają sobie przy wysiadaniu bilety! Trudno o bardziej spektakularny dowód oderwania władzy lokal-

nej od mieszkańców nie mających, jak widać, poczucia związku między wpływami do kasy miejskiej a własną sytuacją obywateli.

Powodów tego stanu jest tysiąc. Nie skuteczność zarządu stolicy wynika po pierwsze z faktu dwustopniowych wyborów do organu uchwalającego miasto, jakim jest Rada Warszawy (jej 28 członków stanowi po czterech przedstawicieli siedmiu dzielnic Warszawy delegowanych przez rady dzielnicowe). Tzw. ustawa warszawska nie przewidywała jednak trybu odwołania członków Rady Warszawy. W rezultacie, do statutu miasta uchwalonego przez tę radę, a zatwierdzonego przez premiera, wpisano ich nieodwoływalność. Podobnie nieodwoływalny w praktyce okazuje się prezydent miasta. Wybrany został przez wszystkich (około 350) radnych Warszawy z siedmiu dzielnic na tzw. zgromadzeniu elektorów. Jednak jedynym organem uprawnionym do powtórzonego zwołania takiego zgromadzenia jest owa od nikogo (poza prezydentem) nie uzależniona Rada Warszawy.

Uzależnienie to wynika z faktu, iż rządzący Warszawą prezydent, choć sam nie jest radnym, zmuszony jest do działania opierając się na zespole radnych (zgodnie z ustawą wypełniających w połowie skład zarządu). W rezultacie, znaczna część członków Rady Warszawy pozostaje w stosunku do prezydenta w zależności służbowej. Natomiast w swych ogólnomiejskich decyzjach nie są oni rozliczani przez jakąkolwiek reprezentację własnego elektoratu. Prowadzi to do pełnego woluntaryzmu decyzji organów prezydenckich.

Sprawę komplikuje dodatkowo niejasny podział kompetencji między dwojaką administracją samorządową oraz rządową i specjalną (wydział kultury istnieje np. zarówno na szczeblu burmistrza dzielnicy, prezydenta miasta, jak również u wojewody, o Ministerstwie Kultury nie zapominając).

Jak z tego wyjść? Jedni proponują zarząd komisaryczny i zmiany personalne. Inni pragną znaleźć zbawienie w kolejnej ustawie. Projekt przedłożony przez przewodniczących rad i burmistrzów dzielnic-gmin Warszawy zakłada, że zarząd Warszawy powinien składać się z burmistrzów, a Rada Warszawy – mieć w swym składzie przewodniczących i wicepre-

wodniczących rad dzielnicowych. Projekt konwentu wojewódzkiego proponuje takie rozwiązanie ustrojowe, w którym Warszawa stanowi jedną gminę, tzw. stołeczną (ok. 1 mln mieszkańców; 120 km kw.), połączoną z gminami obrzeżnymi w związek komunalny o szczególnym charakterze.

Sądzę jednak, że żadna ustawa przed zimą nie zostanie uchwalona. A nawet gdyby tak się stało, nie poprawi to stanu budżetów ani nie ułatwi, wręcz przeciwnie, utrudni życie mieszkańcom Warszawy, po raz kolejny zaskakiwanych zmianą miejskiego nazewnictwa. Jeśli ustrój samorządowy w Warszawie ma przetrzymać zimę, Zarząd Miasta musi już teraz podjąć najściślejszą współpracę z zarządami dzielnic. Poszczególne dzielnice zaś, bez urazy Urzędu Prezydenta Miasta, muszą wejść w porozumienia umożliwiające im efektywne i zsynchronizowane działanie.

– ustanowienie konsekwentnej i realistycznej polityki czynszowej i administracyjnej w stosunku do lokali mieszkalnych

– stawienie czoła kosztom reprivatyzacji

– ujednoczenie polityki wobec jednostek oświatowych, kulturalnych i leczniczych.

Dość już gadania o demokracji i samorządzie. Kto chce tego ustroju bronić – musi sobie pozwolić działać. Wszędzie, dosłownie wszędzie można się porozumiewać, łączyć – miast dzielić budżety rządowe, samorządowe i specjalne. Łączyć je po to, by administracja nie miała tu władzy. By istotnie służyła do przekazywania środków.

Ale czy nad współczesnym polskim ustrojem nie ciąży najsilniej lęk urzędników wszelkiej administracji przed wyzbyciem się wyłącznego prawa do przekazywania środków? Czyli władzy!? I czy



... A REMONT NAWIERZCHNI NALEŻY DO WOJEWODY

W aktualnej bardzo trudnej sytuacji kraju, gdy ujawniają się pierwsze załamania budżetów gminnych (Mokotów), najpilniejsza staje się korekta statutu miasta Warszawy, regulująca wadliwe relacje między Radą Warszawy a radami dzielnic i jej organami oraz między Zarządzeniem Miasta a zarządami poszczególnych dzielnic. Musi ona umożliwić:

- konieczną koordynację budżetu dzielnic warszawskich
- sprawne dokończenie procesu komunalizacji
- usprawnienie obrotu gruntami

w imię obrony swych gestii nie są oni skłonni zaprzepaścić dobra publicznego?

To pytanie nie może zostać uchylone. Gdyż ten, kto uzdrowi stolicę – pomoże państwu, a kto przegrywa w Warszawie – ten Polskę traci.

Andrzej Tadeusz Kijowski

Od redakcji: O absurdach ustroju samorządowego Warszawy i proponowanych rozwiązaniach pisaliśmy w artykule „Nowa bitwa warszawska” („Spotkania” nr 40 z 16 X 1991 roku). Minęło osiem miesięcy – sytuacja nie zmieniła się.



INFORMATOR

SEJMKOWY

PISMO SEJMIKU SAMORZĄDOWEGO WOJEWÓDZTWA WARSZAWSKIEGO
00-950 WARSZAWA PLAC BANKOWY 3/5 TELEFON 20 17 10 i 20 29 44



Ratusz Warszawski - siedziba SSWW

Sesja Sejmiku Warszawskiego



PRACE ZESPOŁU

KOMISJI SEJMIKU SWW

1990-94

Pytanie o funkcję komisji jest jednym z pierwszych zagadnień życia samorządowych ciał przedstawicielskich. Organizmy takie jak rady gminy, liczące od kilkunastu do kilkudziesięciu osób czy Sesje plenarne Sejmiku bądź Rady Warszawy nie są oczywiście w stanie prowadzić w sposób zorganizowany dyskusji merytorycznej czy nawet redakcji tekstów prawnych. Powoływanie Komisji Wnioskowych dobre jest w chwilach przełomu, gdy trzeba sformułować tekst rezolucji, z którą zgadza się większość zebranych, nie sprawdza się jednak wtedy, gdy przedmiotem dyskusji jest podjęcie uchwały w kwestii kontrowersyjnej, gdzie nie ma zgodności pomiędzy grupami delegatów.

Sprawozdanie z prac Komisji Sejmiku Samorządowego to zatem dotknięcie osi nie rozwiązanego sporu o sposób procedowania i podejmowania uchwał przez ciała przedstawicielskie. Teoretycznie można sobie wyobrazić trzy modele: 1. W pierwszym Sesja jest suwerenem. Grupa delegatów może w każdej chwili zburzyć porządek obrad wnioskiem o przyjęcie uchwały. A ten po wnikliwym wielogodzinnym przedyskutowaniu może zostać przegłosowany pod warunkiem, że pod koniec dyskusji na Sali znajduje się jeszcze zdolne do przyjęcia go quorum. Jest to model przydatny w sytuacji opozycji między władzą o skłonności autorytarnej a społecznością anarchizującą. Model, którego wprowadzanie jest odreagowywaniem poczucia bezradności i braku wpływu fasadowych ciał przedstawicielskich funkcjonujących w

poczuciu manipulacji przez organa władzy.

2. Model skrajny przeciwnie, to sytuacja, w której suwerenem jest Komisja. Redakcja merytoryczna odbywa się na jej posiedzeniu. Merytoryczna dyskusja na Sesji Plenarnej ograniczyć się powinna w czasie i sprowadzić do wypowiedzi "za" bądź "przeciw" uchwale. Rolą sesji nie jest jednak czytanie lecz przyjęcie lub odrzucenie uchwały.

3. Można tu sobie wyobrazić szereg modeli pośrednich takich, w których wprowadza się instytucję II czytania, określa rolę Prezydium w procesie redagowania uchwał itd. Forum tej dyskusji stała się funkcjonująca dwukrotnie w trakcie I Kadencji Sejmiku pod moim przewodnictwem Komisja Regulaminowa. Efektem prac pierwszej stało się przyjęcie pod koniec roku 1990 Regulaminu. Regulamin ten funkcjonował trzy lata. Aż do powołania z inicjatywy Komisji Boni Ordinis Komisji Regulaminowej po raz wtóry. Komisja ta dyskutowała, konsultując ze wszystkimi zainteresowanymi gremiami poprawki i idee regulaminu, relacji między Sesją, Prezydium a Komisjami by w roku 1994 przyjąć tekst, który wolno uznać za dzieło daleko posuniętego kompromisu, a jednocześnie syntezę doświadczeń I Kadencji Sejmiku.

W regulaminie tym utrzymano podział Komisji Sejmikowych na 4 stałe komisje merytoryczne. Dodano dwie komisje stałe: Komisję Skarg i Interwencji zajmującą się doraźnymi skargami wpływającymi do sejmiku, a działającą w porozumieniu z Kolegium Odwoławczym oraz Komisję Rewizyjną. Usankcjono-

wano także rolę i tryb Komisji Nadzwyczajnych.

Istotą Sejmikowego "Ustroju Komisyjnego" jest niemnożenie ilości Komisji Merytorycznych. Chodzi o to by praca żadnej nie grzęzła w szczegółach, by nawiązując do najszczytniejszych tradycji samorządu Warszawy osadzonego w latach oświecenia Komisja Spraw Publicznych analizowała wszystkie sprawy miejskie z perspektywy Człowieka, Komisja Brukowa spoglądała na nie z perspektywy Przestrzeni, Komisja Boni Ordinis, zwana też Dobrego Porządku analizowała wszystkie problemy miasta z punktu widzenia Praw, a komisja Skarbu i Promocji Gospodarczej przyglądała się zagadnieniom z perspektywy zaangażowanego Pieniądza.

Z tym pieniądzem (nolens volens) Sejmik przy obecnych uregulowaniach prawnych miał najmniej do czynienia. Jest to bowiem Instytucja z woli ustawodawcy oddalona od decyzji. Toteż rola potencjalnie niezwykle ważnej:

Komisji Skarbu i Promocji Gospodarczej sprowadzała się przede wszystkim do opiniowania wszystkich uchwały dotyczące planu finansowego (budżetu) sejmiku. Komisja, na czele której stali kolejno: Zbigniew Lechowski i Michał Głuszyk opiniowała zawsze budżet wojewody. Szczególnie anagazując się w analizę podziału rezerwy subwencji budżetowej. W łonie tej komisji działał też Zespół Rolny koordynowany przez pana Feliksa Gutowskiego. Jego członkowie regularnie opiniowali podział Funduszy wojewódzkich na zaopatrzenie wsi w wodę.

Wszystkimi prawnymi aspektami działania Sejmiku, gmin, rad województwa i Warszawy zajmowali się aktywnie członkowie Komisji Dobrego Porządku. Komisja Boni Ordinis, której przewodniczyli kolej-

no panowie Kazimierz Hałat i Lech Krupiński. Opiniowała ona z prawnego punktu widzenia wszystkie uchwały, stanowiska i inne formułowane przez Sejmik opinie. Współpracowała ściśle z Kolegium Odwoławczym a jej członkiem równie szanowanym jak merytorycznie niezastąpionym okazał się wiceprzewodniczący Kolegium Odwoławczego, zarazem Delagat i Radny z Żoliborza mec. Andrzej Grysiński.

Staraniem Komisji zorganizowana została między innymi sesja o jednostkach pomocniczych uwieńczona przyjęciem uchwały w sprawie jednostek pomocniczych samorządu terytorialnego, i inicjatyw samorządowych grup mieszkańców.

Członkowie Komisji uczestniczyli też licznie w pracach komisji nadzwyczajnych takich jak np. Komisja Regulaminowa. Opiniowano kwestie powiatowe. Z inicjatywą pilotażu reformy powiatowej na czele. Inspirowano przyjęcie przez Sejmik szeregu uchwał o samorządzie powiatowym. Zajmowano się też kwestiami szczegółowymi, sporami lokalnymi, zagadnieniem podziału gmin. Wiele pracy poświęcono kwestii nieustannych dyskusji dotyczących zasad podziału Warszawy.

Po przyjęciu przez Sejm III Kadencji Nowej Ustawy Warszawskiej Z inicjatywy Komisji Dobrego Porządku powołano przy Sejmiku Komisję Specjalną ds. Zmiany Struktury Warszawy. Jej przewodniczącym został przewodniczący Komisji Boni Ordinis Lech Krupiński.

Pierwszą przewodniczącą Komisji Brukowej była Jolanta Marcinkowska-Koranowicz. Nadała ona niewątpliwie kierunek pracom komisji, a jej osobisty sukces sprawił, iż powołana w skład Prezydium stała się przedstawicie-

lem Sejmiku w Radzie Europy. Pozostała aktywnym członkiem Komisji, której prace koordynował odtąd z niemniejszym zaangażowaniem nowy przewodniczący Piotr Brzozowski.

W ciągu czterech lat kadencji Komisja była organizatorem licznych merytorycznych sesji Sejmiku. Na jej posiedzeniach zajmowano się opiniowaniem przydziału środków z wojewódzkiego funduszu ochrony środowiska. Z inicjatywy Komisji Sejmik przyjął wiele uchwał, wśród nich: Uchwały:

- w sprawie poparcia inicjatyw zmierzających do powołania policji ekologicznej;
- w sprawie stanu środowiska naturalnego oraz działań mających na celu jego poprawę;
- w sprawie planowania przestrzennego ;
- budowy elektrociepłowni Pruszków II;
- w sprawie komunalizacji mienia;
- przeciw automatycznemu przekształceniu zarządu nieruchomości w użytkowanie wieczyste;
- w sprawie reorganizacji wydziału geodezji urzędu Wojewody;
- zabezpieczenia przed zanieczyszczeniem wód oligoceńskich;
- przeciwdziałania dalszej degradacji środowiska przyrodniczego województwa warszawskiego;
- w sprawie niektórych problemów komunikacji;
- w sprawie programów ekorozwoju gmin województwa warszawskiego.

Z natury rzeczy niezwykle aktywną Komisją liczącą wielu członków, stała się Komisja Spraw Publicznych. Pierwszym jej przewodniczącym był do chwili rezygnacji z mandatu radnego delegat z Mokotowa artysta plastyk Tomasz Łaczyński. Jego miejsce zajęła delegatka z Ochoty osoba znana szczególnie z działań na rzecz grupy osób niepełnosprawnych

Magdalena Skaradzińska. Prace pod jej kierunkiem nabrały takiego przyspieszenia, Komisja zorganizowała tak wiele interesujących Sesji Merytorycznych, że w chwili zawieszenia na rok blisko samorządu na Ochocie, co pozbawiło Magdalenę Skaradzińską mandatu radnego i delegata, stwierdzono, że w braku stosownych uregulowań Regulaminowych, stanie się dobrze, by pozostając nadal członkiem komisji jako specjalista, choć już nie radna pani Skaradzińska przewodniczyła nadal pracom Komisji Spraw Publicznych.

Okazało się to do końca obecnej Kadencji możliwe dzięki czemu Komisja bez zakłóceń kontynuowała pracę i przygotowywała projekty uchwał takich jak uchwała:

- w sprawie pomocy społecznej w gminach;
- w sprawie kultury fizycznej;
- w sprawie poprawy stanu porządku i bezpieczeństwa publicznego w województwie;
- w sprawie problemów bezrobocia;
- w sprawie niektórych problemów oświaty (takich jak likwidacja długów, nowelizacja ustawy o systemie oświaty i karty nauczyciela),
- w sprawie przejmowania zadań z zakresu służby zdrowia(
- w sprawie niektórych zadań z zakresu opieki i wychowania.

Merytoryczne Komisje Sejmiku stanowią Zespół Komisji obsługiwany przez pracowników Biura Sejmiku. Są to osoby zaangażowane z Konkursu przy czym od początku do końca I Kadencji Sejmiku obsługą Komisji zajmował się z niezwykle zaangażowaniem pan Piotr Królikiewicz. Zespół Komisji korzystał też często z obsługi Studia Audiowizualnego i publikował wyniki na łamach Informatora Sejmiko-

wego stworzonego przez pana Antoniego Krausa.

Istotą komisyjnych prac Sejmiku jest ich struktura pozioma. Odwrotna od pionowej administracji specjalnej czy rządowej szczebla wojewódzkiego lub ministerialnego. Chodzi o to by Sejmik jako instytucja kontrolna patrzył na sprawy z innej perspektywy. Nie z perspektywy gospodarki gruntami, czy lokali komunalnych lecz z perspektywy przestrzeni i pieniądza, nie z perspektywy przedszkola czy szkoły lecz z perspektywy interesu obywatela i zasad prawa. Ta struktura, osadzona w starowarszawskiej tradycji sprawdziła się w znacznej mierze choć silna jest ciągle tendencja do mnożenia instytucji, Komisji, podkomisji i zespołów, których inicjatorom wydaje się, że powołanie instytucji rozwiąże problem. Nie, nie rozwiąże! Tak jak kwestii informatyzacji gmin nie rozwiązało powołanie (działającego zresztą czas jakiś pod moim przewodnic-

twem) zespołu ds. Informatyzacji Gmin. Problematyka informatyzacji gmin, jak wiele innych wymaga rozwiązania, wzajemnych uzgodnień, których miejsce niekoniecznie znajduje się w łonie struktury samorządowej.

To tkliwe rozróżnienie gdzie kończy się nierząd a zaczyna woluntaryzm, gdzie kończy się samorząd a zaczyna dbałość o interes prywatny, gdzie kończy się niesprawność a zaczyna biurokracyzm był przedmiotem nieustannej troski zarówno koordynującego jego prace wiceprzewodniczącego jak i większości osób, z którymi w trakcie tej niewątpliwie twórczej i wyznaczającej dopiero kierunki prac odrodzonego samorządu Warszawy I Kadencji działania Zespołu Komisji Sejmiku Samorządowego przyszło mi pracować.

Andrzej Tadeusz Kijowski



**SEJMİK SAMORZĄDOWY
WOJEWÓDZTWA WARSZAWSKIEGO**

- Przewodniczący
i Wiceprzewodniczący:**
- **Andrzej T. Kijowski**
 - **Sławomir Jakubczak**

Przewodniczący
Kazimierz Porebski
(1993-94)






**Dziewięcioosobowe Prezydium Sejmiku Warszawskiego
podczas obrad sesyjnych oraz między sesjami**

A12

Piątek
6 LISTOPADA 2015

 RZECZPOSPOLITA



Opinie

Moje expose dla rządu



ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Dziś mamy zmieniać nie system, nie sojusze, lecz poszczególnych ludzi, którzy po raz kolejny w historii pokazali, czym są polska prywata, nierząd, serwilizm, klientelizm, sejmikowanie i tromtadracja.

Jeśli formowany rząd ma odnieść sukces, musimy sprawić, by weń uwierzone. By zaufali nam nie tylko ci, którzy głosowali na PiS, lecz wszyscy - także ci, którym się zdaje, że gruntowna zmiana nie jest potrzebna ani możliwa. Dziś nie chodzi przecież o reformy tak wielkie, jakich twórcą był ruch „Solidarności” zainspirowany cudem słów prawdziwych wypowiedzianych publicznie przez św. Jana Pawła II. Nawet nie o takie, jakim było wybicie się na polityczną i gospodarczą niepodległość, którą osiągnęliśmy po rozpadzie RWPG i Układu Warszawskiego, wychodząc z bloku sowieckiego. Dziś mamy zmieniać nie narzucony nam ustrój, ale samych siebie. Nie system czy organizację, nie sojusze, lecz poszczególnych ludzi, którzy w ciągu minionego ćwierćwiecza po raz kolejny w historii pokazali, czym są polska prywata, nierząd, serwilizm, klientelizm, sejmikowanie i tromtadracja, niszczące ojczyznę, a cieszące chętnie zawsze wykorzystujących ją sąsiadów.

1 Trzeba stworzyć pozytywne mechanizmy gospodarcze, poczynając od regulacji daniny publicznej. Podatki muszą być tak skonstruowane, by potencjalny przedsiębiorca nie musiał wierzyć na słowo, lecz widział, iż praca na własny rachunek bardziej się opłaca od pracy zleczonej, na czarno czy też od korzystania ze statusu bezrobotnego. Szalejący dziś fiskalizm, konieczność płacenia niezależnego od dochodów czynszu za własne powierzchnie wykorzystywane na cele zarobkowe narusza prawo własności. Musimy z tym skończyć.

2 Musimy skończyć z „komuną”, przez którą nie rozumie się dziś dyktaturę jednej partii, lecz wszechwładzę licznych ciał kolegialnych zwanych się samorządami (pracowniczymi, terytorialnymi czy też zawodowymi korporacjami). Jako zbiorowi zarządcy tzw. własności komunalnej dominują oni nad jednostką. Państwo powinno większą uwagę zwrócić także na działalność tzw. trzeciego sektora fundacji i stowarzyszeń z reguły niedysponujących rodzimym kapitałem i realizującym programy często obce polskiej racji stanu.

3 Trzeba podjąć zdecydowane kroki dla dobra porządków publicznych. Przede wszystkim trzeba dążyć do ograniczenia do dwóch kadencji wójtów i prezydentów miast w celu zlikwidowania wszechwładzy samorządowych grup nacisku.

4 Musimy przezwyciężyć nieskuteczność prawa podważającą zaufanie do państwa. Musimy powstrzymać zanik etyki wśród części sędziów i innych przedstawicieli władzy sądowniczej. Korporacje prawnicze nie mogą stać ponad interesem państwowym i obywatelskim. Rozważyć należy kadencyjność i wybieralność sędziów w wyborach powszechnych.

5 Pracownicy służby zdrowia muszą być dobrze wynagradzani. Ale również sama służba zdrowia musi być powszechnie do-

stępna i przyjazna pacjentowi. Trzeba zatrzymać proces rozgrabiania mienia narodowego, czym stała się rabunkowa prywatyzacja służby zdrowia. Krokiem w tym kierunku będzie likwidacja Narodowego Funduszu Zdrowia.

6 Trzeba podjąć działania mające na celu stworzenie mechanizmów umożliwiających kreowanie autentycznych autorytetów w świecie kultury i sztuki. Muszą być one niezależne od ministerialnych urzędników, podobnie jak od działaczy kultury zawiadujących instytucjami i gromadzących się w stowarzyszeniach artykułujących partykularne interesy członków swoich zarządów. Sprawdzone systemem, który próbowano wprowadzić w Polsce w okresie międzywojennym na wzór francuski, może być powołanie Akademii Sztuki, z Akademią Literatury na czele.

Kultura potrzebuje światłego mecenasa, a nie ustaw i tysięcznych pozornych regulacji.

7 Poważnym zadaniem jest rozwój edukacji narodowej i nauki. Dążąc bowiem do nowoczesności i utrzymując więź z europejskimi sąsiadami, należy dbać o wykształcenie w młodych Polakach poczucie

tożsamości narodowej, przywiązania do autorytetów, miłości do narodowych bohaterów, poetów, dziejopisarzy, mówców. Sprzyjać temu będzie przywrócenie ośmioklasowej szkoły podstawowej i czteroletniego liceum ogólnokształcącego.

8 Organizując ład w eterze, trzeba nade wszystko zadbać o to, by w mediach zniknęło pojęcie głównego nurtu. Nurtów może być wiele. Ważna jest polska rzeka, której racje reprezentować winna publiczna telewizja. Zadaniem państwa nie może być kontrola mediów, lecz dbałość o autentyczną niezależność, wielostronność, obiektywną informację wolną od demoralizującej sensacji, a świadomą swej obywatelskiej odpowiedzialności.

9 Nie zapominając o szansie dla młodych, trzeba zwrócić uwagę na cały proces wychowawczy, którego nie będzie bez wykształcenia szacunku dla rodziny i osób starszych.

10 Naszą wspólnotą narodową, ojczyzną jest Polska. Kraj otaczają granice - nie tylko te na Odrze i Nysie, Bałtyku i Tatrach. To także granice kulturalne, religijne, obyczajowe. Tych także nie wolno naruszać ani przekraczać. Strzec należy chrześcijańskich i katolickich korzeni. Nie wolno dopuścić do tego, by innowiercy czy zsowietyzowani potomkowie osób, które nie zdecydowały się na powrót do Polski zza Buga, mogły stworzyć w naszym kraju getta religijne czy enklawy etniczne, które w przyszłości mogą się stać narzędziem sił chcących kiedyś zagrozić Polsce. ©

Autor jest publicystą i pisarzem, realizatorem i prezydentem telewizyjnym, menedżerem kultury, teatrologiem i nauczycielem akademickim

VI. Portrety i laudacje

1. Dalej już nic... (Kantor) - Kat „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 1
2. Oczy tej pani. (Gustwa Herling-Grudziński) „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 23
3. Czesław Miłosz... „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 26
4. Stefan Treugutt., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 30
5. Księżę (Jerzy Giedroyc)., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 31
6. Tren (Tadeusz Nowak)., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 34
7. Stefan Kisielewski., „Tygodnik Solidarność” 1991 nr 40
8. Aktor oddający siebie (Tadeusz Łomnicki), „Tygodnik Solidarność” 1992 nr 10
9. Grymas Seniora., (Andrzej Kijowski) „Rzeczpospolita” - 04-12-07
10. Wysokie „C” Elzbiety Ryl-Górskiej, /w:/ K.Prewęcka, P.Świetorecki, Uśmiech primadonny, Warszawa 2016

W wieku 75 lat, u szczytu międzynarodowej sławy odszedł **Tadeusz KANTOR**. Wybitny malarz, twórca teatru, mistrz słowa.

Kształcił się w Krakowie u Karola Frycza. Przed wojną wystawił we własnym Teatryku Marionetkowym „Śmierć Tintagilesa” Maeterlincka. W malarstwie ulegał wpływowi symbolizmu lecz działał nań także formizm Leona Chwistka, unizm Władysława Strzemińskiego oraz konstruktywizm. W czasie wojny skupił wokół siebie grono malarzy takich jak Tadeusz Brzozowski, Mieczysław Porębski, a także Jerzy Nowosielski czy Ali Bunsch, z którymi wystawił w podziemnym teatrze domowym w latach 1942-44: „Śmierć Orfeusza” Cocteau, a następnie „Balladynę” Słowackiego i „Powrót Odysa” Wyspiańskiego. Teatr ten ulegał silnym wpływom abstrakcji i konstruktywizmu. Nazwana przez Kantora teatrem niezależnym scena ta stała się etapem na drodze do zetknięcia się z ideami surrealizmu.

Po wojnie, w latach 1945-48 Tadeusz Kantor organizował środowisko młodych plastyków. W gronie ludzi związanych ze swym okupacyjnym teatrem urządzał wystawy. Skorzystał ze stypendium w Paryżu, gdzie zetknął się po raz pierwszy z malarstwem Picassa. Wróciwszy do kraju był jeszcze wraz z Mieczysławem Porębskim komisarzem wielkiej wystawy Polskiej Sztuki Nowoczesnej w Krakowie, by od tego momentu, konsekwentnie odmawiać udziału w oficjalnym życiu artystycznym. W tym czasie jako scenograf teatralny przygotował około 50 projektów wykonanych między innymi we współpracy z Andrzejem Pronaszką, Karolem Fryczem oraz Leonem Schillerem. W wyizolowanej grupie artystów wraz z Marią Jaremiąnką wiele rysował i malował obrazy metaforyczne. Ukształtował się wówczas jego styl, dla którego okazała się odpowiednią wynaleziona wcześniej przez Michela Tapié nazwa: informel.

Idea informelu polegała na wyartykułowaniu problemu strefy wyobraźni mogącej *istnieć samodzielnie nie materializując się w obiekcie sztuki*. Tak to przynajmniej ujął sam Kantor w wywiadzie-rzecz opublikowanym przez Wiesława Borowskiego w obszernej monografii. W tym też kierunku zdążyć będzie także powstały jesienią 1955 roku Teatr Cricot-2.

Nazwa Cricot nawiązuje do działającego od 1933 roku w Krakowie teatru plastyków, z którym związana była współpracująca z Kantorem Maria Jaremińska. Istota zaś podjętych działań polegała na wytworzeniu swojej atmosfery spektaklu, atmosfery, której w odróżnieniu od samych plastycznych wytworów nie można było nazwać nieprawdziwą. Opisując w cytowanym wydawnictwie Borowskiego tworzenie wojennego teatru Tadeusz Kantor powiada: *sztuka stała się już mniej ważna. Ważny był ten, jak byśmy to dziś nazwali environnement z przedmiotów oraz te czynności: zdobywanie, wybieranie, znoszenie, gromadzenie*.

Trudno nie spoznać, że w spostrzeżeniu tym nie był Kantor odosobniony. W poszukiwaniu awangardowej formuły teatralnej bliscy mu byli u początku drogi zarówno Jerzy Grotowski ze swym „Teatrem 13 rzędów” jak i Miron Białoszewski w swym „Teatrze osobnym”. Jednak Teatr Kantora przetrwał najdłużej. W ciągu trzydziestu pięciu lat istnienia przechodził różne etapy. Początkowa idea teatru informel



**Dalej
już
nic...**

lot. CAF

ustąpiła koncepcji teatru „zerowego” opartej na tzw. ambalazach, którym Kantor poświęcił manifest-poemat, po nich przyszła pora na teatr happeningowy, zwany też teatrem wydarzeń, na teatr „i” (niemożliwy), wreszcie teatr śmierci.

W ciągu dwudziestu pierwszych lat działalności wystawił Kantor sześć premier na podstawie tekstów Witkacego. Były to: „Mąтва” (1956), „W małym dworku” (1961), „Wariat i zakonnica” (1963), „Kurka wodna” (1967), „Szwecy” (1972), „Nadobnie i Koczkodany” (1973). Od 1965 roku organizuje happeningi: „Cricotages” (1965), „Linia podziału” i „Le grand emballages” (1966), „Panoramiczny Happening Morski” (1967), „Konferencja z Nosorożcem” i „Hommage a Maria Jarema” (1968) oraz trzykrotnie, w latach 1967-71 „Lekcja anatomii według Rembrandta”. I to właściwie wszystkie teatralne osiągnięcia Tadeusza Kantora jeśli nie liczyć jego indywidualnych wystaw, konferencji czy wyjazdów. No i tekstów. Znakomitych poetyckich manifestów zamieszczonych przez Kantora w programach. Wszystkie — aż po rok 1975, kiedy to wraz ze spektaklem „Umarłej klasy” życzliwe zainteresowanie

Zachodu, wymierne dotąd zaproszenia na festiwalu i wystawy, przerodziło się w zachwyt i wielkie międzynarodowe uznanie. Uznanie, które rykoszetem podniosło pozycję Tadeusza Kantora i jego teatru w kraju.

Teatr śmierci, gdyż tę to ideę zapoczątkowała „Umarła klasa” (1975) zaowocował jeszcze takimi manifestacjami jak *cricotages*: „Gdzie są niegdysiejsze śniegi” (1979), „Ślub” (1986), „Maszyna miłości i śmierci” (1987), „Bardzo krótka lekcja” (1988) oraz spektakle: „Wielopole, wielopole...” (1980), nazwany rewią „Niech szczenią artyści” (1986) i wreszcie ostatni — „Nigdy tu już nie powrócę” (1988).

Ukoronowaniem drogi twórczej Tadeusza Kantora było międzynarodowe sympozjum w Krakowie, w którym głos zabierali m.in. tacy twórcy jak Peter Brook, Denis Bablet, a także krytycy — jak Georges Banu czy Bernard Dort (Ich wystąpienia wyrukowane zostały w monograficznym, kantorowskim, siódmym numerze „Teatru” 1990 roku).

Więc prawdziwie wielka sława przyszła do Tadeusza Kantora wtedy, gdy inni przechodzą na emeryturę. Samotnik, interesujący nielicznych, epatujący swoją innością i prowincjonalną prywatnością, obdarzony swoistą wrażliwością i docierający do wybranych — więcej zwolenników znalazł na świecie niż w Polsce. I może nie trzeba się temu dziwić, gdyż *ezoteryczna sztuka Kantora była wyrazistym i bardzo głośnym zwrotem się do bardzo niewielu. Lecz dała się słyszeć i skupiła wokół siebie wszystkich adresatów w zagubionych na wielkim obszarze gdzieś od Mediolanu poprzez Paryż i Berlin, aż po Kraków. Na tym polegał jej sukces i dzięki temu zwracając się do absolutnej wolności i absolutnej prywatności sztuka ta stała się zjawiskiem artystycznym, to znaczy społecznym. Stąd też wynika jej paradoks. Gdyż chcąc pozostać sobą pod żadnym pozorem nie mogła zostać wykorzystana przez społeczeństwo. Istotę sztuki Tadeusza Kantora bodaj najlepiej w cytowanym numerze „Teatru” określił Gyu Scarpetta twierdząc, że: *sztuka Kantora jest nie do wykorzystania i to przez jakąkolwiek grupę. „Punkt powrotu” jest także punktem wyzwania dla wszelkiej władzy, wliczając w to również wszelkiego typu „opozycje”, które marzą o zdobyciu władzy, w jest punktem wyzwania dla wszystkich procedurów uszwięcania. Czego bowiem żadna władza nie jest w stanie znieść? Tego właśnie, że można nie brać rzeczywistości poważnie. I że można być poza wszelkimi społecznymi więzami*.*

W Polsce bardzo trudno było dotąd funkcjonować poza społecznymi więzami. Więc też Tadeusz Kantor chcąc działać poza więzami musiał robić to za granicą. Dany mu był ten przywilej. I podobał się wielu. Mam jednak nadzieję, że mylił się ten, kto ostatnią wystawę jego malarstwa w Galerie de France w 1989 roku nazwał „Dalej już nic” i, że mylił się także jego wielbicielka, co twierdzi, że: „skończył się czas artystów jak On, skończyła się jakaś epoka”. Myślę, że Tadeusz Kantor nad minioną epoką by nie płakał. Był bowiem prekursorem ery nowej. Epoki, w której — jak miemam — ludzi wolnych i całkiem prywatnych przybędzie — i będą tworzyć tu, w kraju.

16

Tygodnik Solidarność 23 (142) 7 czerwca 1991

Warszawski Dom Literatury, (w kamieniczce „Canalotta” nad ruchomymi schodami) 13 maja tego roku pękął w szwach. Na Krakowskie Przedmieście przyjechał Gustaw Herling-Grudziński. Po półwiecznej nieobecności przybył tu z Neapolu, gdzie od lat mieszka z żoną Lidią i córką Martą.

Sala Domu Literatury błyszczała gośćmi jak biżuterią. Coś się takiego porobiło, że spotkania Pen-Clubu stały się miejscem kontaktowania się tych, co w zasadzie siedzą w domu, a do Pen-Clubu przychodzą nie po to, by pokazać siebie, lecz by zobaczyć innych, zagadnąć znajomych.

Jest w tym niewątpliwa zasługa prezesa. Artur Międzyrzecki potrafi tak ludzi przywitać, tak wymienić niektórych, że nie zauważeni też czują się uhonorowani. Potrafi połączyć atmosferę publiczną z prywatną, tworząc niepowtarzalną aurę salonu — to talent.

Nie ma jednak salonu bez kobiet. Bez ich stroju, zachwyty, troski. Bez ich uwagi i ciekawości pozwalającej zadawać pytania, których nikt nie chce słuchać, choć muszą być postawione.

Spotkanie z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim poprzedziło syntetyczne wprowadzenie Tomasza Burka, które drukujemy powyżej. Sam pisarz powiedział, że

Oczy tej pani

jest wzruszony. Powiedział, że nie poznał miasta, do którego przybył. Czy można powiedzieć więcej, mówiąc tak mało!?

To tak jakby wyznać, że jesteśmy nigdzie. Bo przecież nie uwierzmy w to, że ojczyzna Herlinga była w Neapolu przy via Crispi, gdzie od lat rezyduje, czy w podparyskim Maison-Laffitte, gdzie u Jerzego Giedroycia przemieszkuje.

Na tym tłumnym spotkaniu siedziałem w grupie fotoreporterów na podłodze, tuż przed pierwszymi rzędami. U stóp poważnej pani, do której po włosku mówiła młoda dziewczyna. Herling zaczął czytać. Fotoreporterzy wstawali, trzaskali aparatami, tekst mi uciekał, znajoma sylwetka pisarza ginęła za przydialnym stołem.

Oczy tej pani: ogromne, siwe, głębokie, jak wody neapolitańskiej zatoki... Właściwie nie musiałem pytać tłumaczki. Tak, to była jego żona. Pani Lidia Herlingowa, Włoszka, córka wybitnego estetyka Benedetto Crocego.

Gdyby ktoś chciał wiedzieć, gdzie była przez te lata ojczyzna pisarza, wystarczyło popatrzeć — w te oczy.

Nie wszystkie oczy kobiet wierzących w geniusz swych mężów mają szansę zobaczyć przedmiot swej wiary. Przez kilkadziesiąt lat pani Herlingowa wiedziała, przybываяm z Polski pielgrzymom wierzyła, że to, co pisze jej mąż Gustaw w trudno zrozumiałym języku, to słowa, które zostają. I oto teraz mogła zobaczyć ich moc. Widziała te tłumy, przyglądała się twarzom, w jej oczach słowo stawało się ciałem. Patrzyła na męża uważnie, kontrolnie, czuwająco. Czytał legendę o pierścieniu: *anello, anello* — wtrącił po włosku, przymknęła powieki uspokojona.

Pan Artur Międzyrzecki, który prowadził ten wieczór, nie pozwalał rozentuzjasmowanym polonistkom po dwakroć zadawać pytań. Więc gdy spotkanie dobiegało końca, jakaś studentka prosiła mnie, bym w jej imieniu zapytał pisarza, dlaczego zamieszkał w Italii. Nie spytałem. Powiedziałem jej, że piękne jest to, co trwa krótko. A poza tym, cóż mógłby mi odpowiedzieć? Czy najwybitniejszy pisarz, poeta nawet, zdołałby w kilku zdawkowych słowach wyznać publiczności choć część tego, o czym mówiły te oczy?

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

S. 16

Tygodnik Solidarność 26 (145) 28 czerwca 1991

Czesław Miłosz kończy osiemdziesiąt lat 30 czerwca. Wielki poeta, laureat literackiej Nagrody Nobla 1980. Członek nieformalnego triumwiratu religii, polityki i sztuki, który wraz z Karolem Wojtyłą i Lechem Wałęsą dawał Polakom nadzieję, budził wiarę, wskrzeszał miłość. Te cnoty, których konkretnym imieniem miała stać się Solidarność.

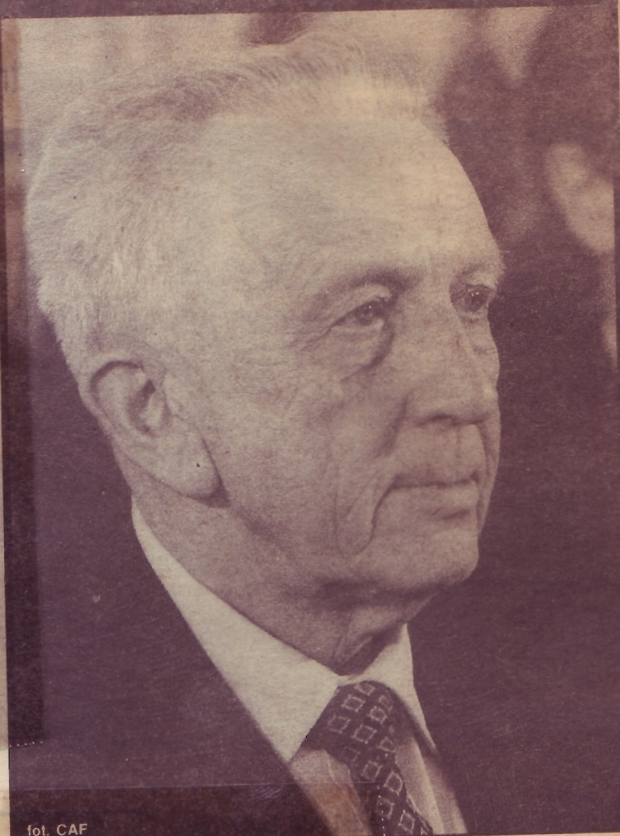
Dziś poeta święci jubileusz. Cóż nam pozostaje innego, jak złożyć życzenia? Może tylko spojrzeć wstecz. W daleką i bliższą przeszłość. Spytać tych, co go spotykali jeszcze przed wojną w Wilnie, w czasie okupacji w Warszawie, gdzieś w mieszkaniu księdza Sadzika po odczycie w paryskim Centrum Dialogu księży Pallotynów. Spytać o ich pierwszy kontakt z poetą i z osobą. Zapytać: *o minionych dziewczyn cudaczne imiona* po to, by się dowiedzieć, jak wygląda mił, gdy dopiero powstaje. Jak się go szuka, stwarza, poznaje. Jeszcze raz prześnić ten sen, którego cała piękność w tym,

*(...) że krew nie płynie,
ale zastyga w znak, gdy dotknie miecz(...)*

Tygodnik Solidarność 30 (149) 26 lipca 1991

17

STEFAN TREUGUTT



fol. CAF

Na warszawskiej polonistyce w latach siedemdziesiątych tzw. telewizyjne twarze nie cieszyły się popularnością. Więc Stefana Treugutta mijalem na schodach początkowo z poczuciem pewnej niestosowności. Podobnie odczuwanej na widok znanych sylwetek prominentów polityki kulturalnej, dowartościowujących się w profesorskiej roli. Izolowała ich nasza niechęć, otaczał jedynie wianuszek zdeperowanych arywistów, marzących o pracy w „Pegazie”.

Jakież więc było moje zdumienie, gdy po kilku miesiącach pierwszego roku usłyszałem z ust wiarygodnych kolegów, że warto wybrać się na seminarium prowadzone przez Stefana Treugutta. Więc przemógłszy niechęć do ludzi z tamtej strony ekranu, a nawet ryzykując możliwość bycia podejrzanym o karierowiczostwo, trafiłem na ćwiczenia. Mowa była o Genecie. Ktoś rozrysowywał rozwinięty schemat, miotając się z kredą przy tablicy. Profesor uzupełniał go. Dodawał kreski, pytał czy strzałki biegną w tę, czy w tamtą stronę. Gdy dzieło zostało ukończone, Treugutt popatrzył na nas i najspokojniej powiedział swym pełnym naraz dystansu, łagodności i autoironii tonem: — *Wszystko się zgadza poza tym, że dobre schematy są proste.* I stał go, zanim ktokolwiek zdążył przepisać.

Od tamtej chwili na lata pozostałem pod urokiem profesora Treugutta. Pod wrażeniem jego inteligencji, niezwyklej wymowy, głębokiej, zwłaszcza w kwestiach dramatu romantycznego, erudycji, umiejętności prowadzenia konwersatoryjnej rozmowy.

Był to człowiek — co się tak rzadko zdarza razem — życzliwy ludziom i przyjazny rozumowi. Życzliwy ludziom, gdyż nigdy nikomu niczego złego nie powiedział. Gdy już po magisterium, które pod jego kierunkiem pisałem, miał mi dać jakąś opinię naukową, stworzył tekst, który z pewnością, gdy będę umierał mógłby zostać odczytany nad trumną w pełnym poczuciu stosownej przesady. Coś na ten temat zażartowałem, a Treugutt mi na to: — *Proszę pana, przecież nie pisze się złych opinii: tylko dobre, bardzo dobre i takie jak ta, sygnalizujące, że naprawdę chcę, by panu tę doktoranturę dano.*

Nauczał Treugutt na polonistyce, na wydziale reżyserii dramatu Warszawskiej Szkoły Teatralnej. Znamy go wszyscy z wystąpień przed telewizyjnym teatrem, gdzie w formie eleganckiej, krótkiej, jasnej, pozbawionej uproszczeń, a nie-raz przewrotnie, choć nie dla wszystkich dostrzegalnie, ironicznie tłumaczył, o co chodzi w inscenizacji i dramacie. Wiele występował w radio, prowadząc w programie III audycję poświęconą ocenie amatorskich utworów literackich.

Mówiono o nim, że rozmieniał się na drobne. Był przecież utalentowanym naukowcem. Jego książki poświęcone literaturze romantycznej, poezji konfederatów barskich, twórczości Słowackiego z monografią „Beniowskiego”, jego studia związane z osobą Napoleona — wyszystko to stanowi bardzo ważny i potencjalnie głęboki dorobek badawczy. Ale czy to jest jedyna wartość, którą mierzy się życie człowieka? Czy nie mniej ważna jest liczba wychowanków i udzielonej wiedzy, liczba osób, spraw, instytucji, którym udzieliło się siebie? Stefan Treugutt należał do tych, co pomagali zawsze, gdy mogli, studiowali, gdy trzeba, mówili, gdy warto: nigdy ani innym ludziom, ani własnemu dobremu imieniu nie szkodząc.

Więc jestem pewny, że jego postać zasługuje na coś więcej od dobrej opinii. Zasługuje na najlepszą, wieczną pamięć.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 31 (150) 2 sierpnia 1991

KSIĄŻĘ

Stwierdzenie, ile książek napisał **JERZY GIEDROYC**, jest z rodzaju ustaleń liczby dywizji, którymi dowodzi Papież.

Obchodzący 27 lipca jubileusz swych 85 urodzin twórca Instytutu Literackiego we Francji przysporzył ich Polsce tysiąc. Dokładnie — 995 tomów.

Sklada się na nie 527 numerów wydawanego od lipca 1947 roku miesięcznika „Kultura”, 96 tomów „Zeszytów Historycznych” wydawanych w ramach Biblioteki Kultury, w której ponadto ukazały się 372 tytuły książek poetyckich, prozy i dramatów. W tej liczbie wszystko, co dla powojennej kultury polskiej najważniejsze: pierwsze wydania utworów Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego i Miłosza. Teksty Herberta, Hłaski, Barańczaka, Kazimierza Brandysa, Odojewskiego. Utwory pisarzy działających na obczyźnie oraz dzieła napisane w kraju.

Wychowani w budowanym przez dziesięciolecia kulcie zasług tzw. Wielkiej Emigracji, nie wyobrażamy sobie, by nazwisko kogoś ze współczesnych mogło z czasem przerosnąć znaczenie imion wieszczów. A przecież to jest możliwe. Jeśli ogarnąć miarę wysiłku, trwania i sukcesu powojennej emigracji, to jej wielowątkowe nurty, których najważniejsze wątki zbiegały się w Maisons-Lafitte u Jerzego Giedroycia, zaowocowały wartościami nie spotykanymi nawet w Hotelu Lambert u księcia Adama Czartoryskiego.

Przywykliśmy myśleć o naszych czasach jako o karłowatej wersji przeszłości, w której prawdziwych książąt nie ma. Najprawdziwszy książę — Jerzy Giedroyc, dziś jeszcze nie skłonny do triumfalnego wjazdu po odbiór nadanego mu przez Uniwersytet Jagielloński doktoratu *honoris causa*, sędzia — od 44 lat nieomylnie odsiewający ziarna od plew — uczy nie uznawać byle czego za wartość, a rzeczy wielkie dostrzegać.

Od pełnej niepodległości dzieli nas tylko krok; nie drobny wcale. Czy istotnie został on postawiony, przekonamy się wkrótce. Jeśli granice Państwa Polskiego przekroczy (być może z tysięcznym tomem wydanym przez Instytut Literacki) niezłomny emigrant polityczny — Książę Jerzy Giedroyc.

ANDRZEJ TADEUSZ KIJOWSKI

Tygodnik Solidarność 34 (153) 23 sierpnia 1991

15

Tren

Odszedł **TADEUSZ NOWAK**; poeta, który dowiódł, że najstarsze formy literackie nie muszą ginać pod wpływem nowoczesnych rewolucji. Pisał Psalmy — jak Kochanowski, pisał je rytmem i rymami. A jednak były one współczesne tak jak o dniu dzisiejszym opowiadała jego poetycka proza z *A jak królem, a jak katem będziesz* na czele. Jabłko, nóż, najstarsze symboliczne rekwizyty, kreowały tę twórczość sprawiając, iż łatwo można ją było adaptować na scenę.

Widzę go gdzieś nad Bałtykiem, przed laty, trzydziestolatka wówczas uczącego małe dziecko pływać. Widzę jego silną postać stawiającą czoła trwającej, ciężkiej chorobie: osobnego, niezależnego, nieuległego wpływom jakiegokolwiek polityki i jakiegokolwiek koniunktury.

Spoglądam na książki, które po nim pozostały: tomy Psalmów, tomy modlitw za zmarłych i myślę — kto napisze ten Psalm, ten Tren na pożegnanie Tadeusza Nowaka.

2

Tygodnik Solidarność 40 (159) 4 października 1991



fol. JULIUSZ SOKOŁOWSKI

**27 września w wieku 80 lat zmarł
STEFAN KISIELEWSKI — jeden z największych
autorytetów współczesnej Polski.**

Przede wszystkim był kompozytorem, twórcą wybitnych koncertów kameralnych. W Warszawie odbył studia humanistyczne i muzyczne, potem mieszkał w Paryżu, gdzie jego muzycznymi kolegami byli między innymi: Roman Palester, Zygmunt Mycielski, Grażyna Bacewicz. Jako kompozytor należał — zdaniem krytyki — do grona *wyznawców zasad neoklasycyzmu z jego kultem czystego brzmienia, powściągliwości emocjonalnej i elegancji formy.*

Był oczywiście muzycznym krytykiem: twórcą książek o Ryszardzie Strausie, autorem gwiazdozbioru muzycznego od Bacha do Strawińskiego, monografii Grażyny Bacewicz. Był także pisarzem; podpisywał się pseudonimem Teodor Klon, na emigracji publikował powieści sygnowane Tomasz Staliński, w „Tygodniku Powszechnym” ogłaszał przez ponad 40 lat niemal co tydzień słynne felietony Kisiela.

I ta jego działalność publiczna, z przygodą parlamentarną w szeregach koła poselskiego Znak (gdzie zasiadał w latach 60. wraz ze Stanisławem Stommą i Jerzym Zawieyskim) przysporzyła mu tytuł wielbieli — i wielu wrogów. Wrogami najzaciętszymi była miniona władza, którą określił najdobitniej bodaj jako *dyktaturę ciemniaków.* Po wypowiedzeniu tych słów w marcu 1968 roku Kisielewski został „przez nieznanych sprawców” dotkliwie pobity.

Był postacią w najpełniejszym tego słowa znaczeniu — renesansową: autorem nowoczesnej muzyki, realistycznych powieści i felietonów chwalebnych zdrowy rozsądek oraz kapitalizm. Wypowiadać się nie przestał do końca, także na łamach „Tygodnika Solidarność”.

A.T.K.

Aktor oddający siebie



fot. PAP-CAF

Tadeusz Łomnicki w „Fantazym” Słowackiego

i na obsadzanych w roli, Tadeusz Łomnicki należał do ostatniego gatunku.

Wielbicielom romantycznego teatru, którzy nie lubili „Łoma”, nie mogła się podobać jego kreacja Kordiana. Lecz ci, których zachwycił, wychodzili poruszeni „Ostatnią taśmą Krappa”, nawet jeśli obcy był im cały współczesny teatr i problematyka sztuk Becketta.

A grał Łomnicki wiele ról w różnorodnym repertuarze. Urodzony w 1927, absolwent Studia Teatral-

nego przy Starym Teatrze w Krakowie z roku 1946, poza tym teatrem związany był krótko ze sceną im. Wyspiańskiego w Katowicach. Od 1949 aż po rok 1973 występował na scenie warszawskiego Teatru Współczesnego w sztukach reżyserowanych najczęściej przez Erwina Axera: twórcę i wieloletniego dyrektora tego Zespołu. Przez szeroką publiczność został Tadeusz Łomnicki dostrzeżony jednak około październikowego przelomu roku

'36, występując najpierw w głównej roli w głośnym „Pokoleniu” debiutującego właśnie Andrzeja Wajdy, a następnie interpretując Kordiana, reżyserowanego przez Erwina Axera oraz Artura Ui w sztuce Bertolda Brechta i Alfreda Jarry'ego.

Od tej pory można mówić o ukształtowanej osobowości trzydziestoletniego aktora, którego przez następnych trzydzieści pięć lat będziemy oglądali w najróżniejszych rolach teatralnych, filmowych i społecznych.

Gdyż Tadeusz Łomnicki także od urzędów nie stronił. W latach siedemdziesiątych był działaczem partyjnym, członkiem Komitetu Centralnego PZPR, posłem na sejm, rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W 1976 zorganizował i aż do stanu wojennego prowadził Teatr na Woli w sali dawnego kina „Mazowsze” na terenie warszawskiej fabryki Kasprzaka. Sam reżyserował, zarazem występując (np. w „Rodeo” Aleksandra Ścibora-Rylskiego) i pisał teatralne sztuki takie jak: „Noe i jego menażeria”, „Kąkol i pszenica”, „Idź Romeo do domu”.

Aktorem powszechnie znanym stał się jednak Łomnicki, trzeba to przypomnieć, od chwili występu w roli Pana Michała w „Panu Wołodyjowskim”, który to obraz Jerzego Hoffmana upowszechnił wielokrotnie już powtarzany przez telewizję polską serial telewizyjny „Przygody Pana Michała”.

Aktorom polskim występującym w popularnych serialach, opartych na klasycznej literaturze historycznej, została dana niezwykła szansa stworzenia autentycznie wartościowych kreacji artystycznych w gatunku popularnym, budzącym w Polsce szczególną emocję u widzów. Tadeusz Łomnicki wykorzystał to w pełni. W rolę Pana Michała wcielił się w sposób doskonały. Ograniczył niemal do minimum cha-

rakteryzujące Go teatralne środki, przez co uzyskał swoistą przezroczystość, konieczną do utożsamienia fizycznej postaci aktora z bohaterem masowej wyobraźni.

Tadeuszowi Łomnickiemu udało się sztuka rzadsza. Postać Pana Michała wyposażył w te wszystkie cechy swej aktorskiej osobowości, z którymi rozstawał się wychodząc z męskiego wieku aktorstwa w wiek mistrzowski. Oddawszy Panu Michałowi swe ciało, swój śmiech, głos i sposób poruszania, zachował na późne lata niepowtarzalną, szeroką wymowę, szczególną akcentację, charakterystyczne poruszenia, cechujące Jego późne kreacje, takie jak występ w „Ostatniej Taśmie Krappa” Becketta w Teatrze Studio, w roli Komedianta w sztuce Bernharda w Teatrze Współczesnym w Warszawie czy interpretując postać Tadeusza Kościuszki w sztuce Anny Bojarskiej, w której niemal do końca można Go było oglądać w warszawskim Teatrze Powszechnym.

Charakteryzowała Go pod koniec życia swoista nadekspresywność. Wyrazista rozlewność i bardzo głębokie uwewnętrznienie roli. Zmieniawszy sposób uczesania, chodzenia, mówienia, pozornie utożsamiający się bez reszty z postacią aktualnie kreowaną, każdej z nich oddawał mistrz Łomnicki całego siebie, tak jak to czynią tylko artyści najwięksi, w swoją sztukę w sposób ostateczny uwikłani. Jednak nie wcielił się Łomnicki w rolę. Przeciwnie, postaci sceniczne wchłaniał i absorbował. Udzielał im własnego życia, co sprawiało, że nie można Go było nigdy nazwać aktorem wcieleni. Zawsze występował w obsadach. Zaś postaciom scenicznym, tak jak i społecznym rolom — najhojniej używał siebie.

Grymas Seniora

Andrzej Tadeusz Kijowski 08-12-2007, ostatnia aktualizacja 08-12-2007 01:47

Senior był genialny, gdy spoglądał w przyszłość. I nic go nie krępowało: ani miłość, ani interes własny, ani pożądlivość – wzlatywał na skrzydłach Sławy i prorokował



źródło: PAP/CAF

Cokolwiek badacze mogliby powiedzieć o systemie ocen Andrzeja Kijowskiego – zasadniczą wartością w jego twórczości była Sława. I nie mam tu na myśli kariery, uznania środowiskowego czy popularności w mediach. Sława w ujęciu Kijowskiego jest tą z „Pieśni Polaków” Fredry i z „Małej improwizacji”, z Micińskiego i z „Legendy” Wyspiańskiego. To Sława z dzieciennego marzenia.

To dziecienna wiara, dziecienne okrucieństwo i dziecienna omnipotencja wyznaczają oś twórczości pisarza.

Miał tego świadomość. W dzienniku z 30 lipca 1974 roku znajdujemy taki zapisek: „Byłem dzieckiem. Nikogo nie kochałem poza samym sobą i w nic nie wierzyłem poza własnym istnieniem. Nie kochałem Boga, ale chciałem na nim wymusić miłość dla mnie i okazać się ludziom jako jego wybraniec. (...) Nie interesuje mnie ani literatura jako piękność, ani myśl jako mądrość, ani historia jako dramat, ani społeczeństwo jako istność, która mnie potrzebuje; wszystkie te dziedziny oglądałem dotąd z daleka i dotykałem ich po wierzchu, badając, o ile mogę w nich wybić się i zdobyć uznanie”.

Był Kijowski krytykiem. Krytykiem, czyli osobą, od której wymaga się sądu wyważonego i sprawiedliwego. Wszystko jednak można o autorze „Miniatur krytycznych” powiedzieć, ale przecież nie to, że był sprawiedliwy! Chimeryczny, ironiczny, niecierpliwy – czasem złośliwy. Miłośnik Wyspiańskiego, uczeń Baudelaire’a i Gombrowicza – Kijowski całe literackie życie przepędził w podwójnym uzależnieniu między patosem a ironią. W swoistym literackim, obywatelskim, erotycznym, rodzinnym i religijnym grymasie.

Okrutna precyzja sądów

Pamiętam, jak w 1973 roku w czasopiśmie „Dialog” w ramach „Prób czytanych” opublikował Senior tekst poświęcony transkrypcji „Fausta” dokonanej przez Jerzego S. Site. Jarosław Marek Rymkiewicz (przyjaciel zarówno mego Ojca, jak i Sity) ze szczęścia promieniał. – Ale mu dowaliłeś! – chichotał w stołówce Klubu Literatów przy Krakowskim Przedmieściu. – Masz rację: to grafoman, grafoman! Wyrażał się tak o przyjacielu i szefie swej żony Ewy w Hanuszkiewiczowskim Teatrze Narodowym, którego kierownikiem literackim był właśnie Jerzy S. Sito. Dodajmy, że panowie Sito i Rymkiewicz na tyle obydwaj dobrze funkcjonowali w ówczesnym układzie, że Hanuszkiewicz (niezbyt chętnie, co wyznawał na stronie) zgodził się wystawić w Narodowym „Pasję i potępienie doktora Fausta” Jerzego S. Sity, a potem niejako dla równowagi „Kochanków piekła” – imitację dramatu Calderona wykonaną przez Rymkiewicza.

Obserwowałem Ojca. Przyglądał się Jarkowi z niesmakiem. Złośliwe chochliki tańczyły mu w oczach. – Nie przesadzajmy. Nie napisałem, że grafoman. Raczej chciałem zdefiniować pewną postawę literacką. Niechęć czy nieumiejętność znalezienia własnego stylu, postawę, której przecież i ty w pewnym stopniu jesteś przedstawicielem.

– No już nie opowiadaj – zaperzył się Jarek – o mnie byś tak nie napisał! Dwie błyskawice niby stygmat Sławy przeszły tatarskie oczka Seniora. Pohaniec był pogrzebany. W miesiąc później mógł przeczytać w „Dialogu” zatytułowany „Heca na tematy ostateczne” miążdzący tekst na swój temat.

Ale co było w Seniorze najdziwniejsze, to fakt, że po opublikowaniu tego tekstu zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego Jarek Marek przestał się do niego odzywać. Dlaczego obraził się jako

człowiek, miał np. walczyć z nim w literaturze – jak pisarz.

Katarzyna Wiśniewska w szkicu na temat pisarstwa Seniora przytacza wspomnienie Stefana Bratkowskiego, który twierdzi, że to kaprys mego Ojca skazał na emigrację Tyrmanda. Po „Złym” napisał bowiem miażdżący felieton, kończąc go słowami: „Tak, Leopold Tyrmand jest wielkim pisarzem. Dla gówniarzy”. Nieco później Tyrmand pokazał Bratkowskiemu ten tekst i oświadczył, że wyjeżdża na stałe. „Czy to był jedyny bodziec do wyjazdu, przesądzić nie można – powiada Bratkowski – ale on niesłychanie to przeżył. Gdy po latach opowiedziałem o tym Andrzejowi, on z kolei odczuł to boleśnie. Faktem jest, że jego precyzja sądów bywała bardzo okrutna”.

Słowa tak wizjonerskie

Mam wrażenie, że Senior w istocie nie traktował literackich hierarchii do końca serio. Tak naprawdę dotyczyły go słowa. Był genialny, gdy składał z nich przyszłość. Gdy jak dziecko oderwane od realiów, jak Kasandra szalona, jak Tejrzejasz ślepy spoglądał w przyszłość. I nic go nie krępowało: ani miłość, ani interes własny, ani pożądlivość – wlatywał na skrzydłach Sławy i prorokował.

Jego przemówienie na Kongresie Kultury Polskiej cytował były polski prezydent w ćwierćwiecze tego wydarzenia: „Kiedy Andrzej Kijowski mówi o tym, że w Polsce rozpoczyna się wielka zmiana, to te słowa są tak wizjonerskie, że wydawałoby się nierealistyczne, ale to przecież Andrzej Kijowski miał rację. Zmienił się ład międzynarodowy, jesteśmy w zupełnie innym miejscu historii, w innej Europie, w innej Polsce. W lepszej Polsce i pełnej nadziei Europie”.

Chciałoby się wierzyć! Prawda? Czytajmy jednak Kijowskiego, który 7 sierpnia roku 1980 – 27 lat temu – przewidywał to, co właśnie teraz czai się za progiem. „Żądanie rzeczy, które są do spełnienia niemożliwe, jest albo dziecinadą, albo prowokacją. Pełne wyzwolenie Polski spod kurateli sowieckiej i zmiana systemu politycznego to na dzisiaj mrzonki. Co więcej – mrzonki niebezpieczne. Co by się stało, gdyby ZSRR spełnił nasze żądania? Kraj zostałby wydany na pastwę sporów i walk wewnętrznych oraz tajnych agentur. Można mówić o wyzwoleniu Polski tylko w ramach nowego systemu bezpieczeństwa europejskiego i pod ochroną nowych międzynarodowych gwarancji, w ramach nowych, partnerskich związków polityczno-gospodarczych. Nie wolno ani domagać się, ani dopuścić do jednostronnego aktu „zrzeczenia się” przez ZSRR roli gwaranta i protektora. ZSRR mógłby to zrobić bez szkody dla siebie, a nawet z zyskiem, gdyż utworzyłby tu sobie głębokie bajoro polityczne, w którym mógłby łowić, co by tylko chciał, a dalsze dzieje Polski przypominałyby dzieje przedwojennej Litwy lub dawnej Serbii. „Wyzwolenie” takie właśnie mogłoby być wstępem do pełnej aneksji”.

Mamy niby te gwarancje, ale też z ust nietrzeźwych tego samego, tyle że podchmielonego, byłego już prezydenta Kwaśniewskiego poznaliśmy inną, a przewidywaną przecież przez Seniora prawdę: „Prijdioł takij dień, kagda Rossija, ja gawarju toczno: Rossija toże budiet w NATO”. Wszyscy oburzali się formą. Czy ktoś przysłuchał się treści!?

Rosja w NATO! Tak, przyjdzie taki dzień i coraz bardziej się obawiam, że go dożyję, gdy jakiś nowy Ribbentrop z nowym Mołotowem przy aplauzie jakiegoś polskiego premiera, którego dwór jak w czasach stanisławowskich finansować będą na Kremlu i w Brukseli, zawiązą nowe Święte Przymierze i będą decydowali o tym, którą ropą ma płynąć przez nasz kraj. Kogo i gdzie mogą leczyć polscy lekarze. Tyle są warte międzynarodowe gwarancje w kraju, w którym przez 15 lat ukształtowało się głębokie bajoro polityczne, gdzie każdy może łowić, co mu się podoba.

Nie ufać nikomu

Czemu tyle w mych rodzinno-literackich uwagach polityki? Bo polityka z jej relatywizmem, z jej odrzuceniem wszelkich wartości sentymentalnych przy koniecznym udziale wartości fundamentalnych tkwiła w moim przekonaniu u podłoża ocen Andrzeja Kijowskiego.

W dzisiejszej saunie sejmowej, antyszambrach telewizyjnego studia realizowany jest ten standard gry, którego Senior na próżno domagał się od J. M. Rymkiewicza. Wówczas przecież zachował się Senior krytyk jak na polityka przystało. Swych literackich oponentów Kijowski zabijał z

uśmiechem, dodając: – Tak wyszło stary, ale w tym nie ma przecież nic osobistego.

I to była jedyna bodaj lekcja krytyki, jakiej, z powołaniem na autorytet własnego preceptora, czyli Kazimierza Wyki, na progu mego debiutu Ojciec mi udzielił. – Jeśli chcesz zaistnieć, pisz negatywnie. Pozytywy wypisują Kubaccy i Maciągowie, zarabiają na opracowaniach, ale czytając ich, można umrzeć z nudów.

Czy mógł być Kijowski politykiem? Na przykład gdyby dożył wolności? Dziś już wiem, że nie. Od czasu, gdy poznałem agenturalną przeszłość Andrzeja Szczypiorskiego, Zdzisława Najdera, Leszka Moczulskiego. A przede wszystkim od niedawnego dnia, gdy enuncjacja Michała Boniego dopiero po 15 latach kazała mi uwierzyć w prawdziwość listy Macierewicza. Znałem ją od dnia „nocnej zmiany”, lecz właśnie obecność na tej liście Michała (notabene jednego z pierwszych egzegetów twórczości Seniora, który pomagał mi nieść trumnę Ojca w 1985 roku) była w moim przekonaniu dowodem na jej fałszywość. Wyznanie Boniego uwiarygodniło – późno, lecz na trwałe – w moich przynajmniej oczach, wysiłek tych wszystkich, którzy naciskają na oczyszczenie życia publicznego z najrozmaitszych szantażowanych agentów. Zatem politykiem w PRL-owskim wydaniu ani nawet w stylu III Rzeczypospolitej, której wydaje się dziś, że powróciła, Andrzej Kijowski z pewnością by nie był.

Za wiele widział. Ostatnio dopiero odkryłem, porównując całość spisywanych przeze mnie dzienników Seniora z wersją drukowaną, fragment, jaki (oczywiście nie informując mnie o tym) autorzy wyboru (w 1999 roku!) usunęli z wersji publikowanej.

Jest rok 1978. „Wilga, 18.6. Wczoraj wieczór u Bartoszewskich. [...] Jaki jest naprawdę N.? [1] Ambitny. To na pewno. Nic by w tym złego nie było, gdyby nie to, że chce mieć wiele rzeczy naraz: nazwisko literackie, nazwisko naukowe i odpowiednie do tego tytuły, renomę zagraniczną (Conrad-man), pieniądze (w walutach), zarazem najwyższy standard życia (peugeot 504, Bryńsk etc.), a jednocześnie odgrywać rolę w ruchu dysydenckim i mieć znaczenie na emigracji. Wszystkie te cele realizuje właściwie cudzymi siłami. Za pomocą Haliny, Conrada, Zbyszka H. [2], Jana Józefa Szczepańskiego, mnie. Jest to właściwie bardzo niebezpieczny człowiek, którego trzeba mieć pod baczna kontrolą. Czy może być narzędziem SB? Owszem. To nie jest wykluczone. Miałyby za zadanie rozbijać ruch dysydencki w podobny sposób, jak to robi Moczulski [...]”.

Oczywiście systemat wartości politycznych, który przypisuję Ojcu, opiera się na tym Machiavellowskim zdaniu: „Polityk nigdy nie mówi „nigdy”. A to znaczy także – nie ufa nikomu. Tak, jak okazuje się, Senior nie wierzył przyjacielowi, z którym codziennie wspólnie redagowali teksty do „Twórczości” i materiały opracowywane w ramach Polskiego Porozumienia Niepodległościowego.

Ale polityk prawdziwy, czyli uczciwy, poświęci rodzinę, matkę, pieniądze; wie, że wszystkie chwytaki są dozwolone – jednak w ramach generalnej reguły, jaką być musi zdefiniowana przezeń Sprawa. Przyznam też szczerze, że jeśli dość często robi na mnie wrażenie retoryka Jarosława Kaczyńskiego, to właśnie dlatego, że prezentowana przezeń mieszanka inteligencji, bezwzględności i ideowości dziwnie mi zdaje się... domowa. W rękach jego błyska miecz – nad głową szumi Sława.

System wartości Andrzeja Kijowskiego był w swej istocie polityczny. Dlatego pewnie najlepiej, najpełniej, najefektowniej zrealizował się jako mówca: 29 lutego 1968 roku, przedstawiając projekt rezolucji przeciw cenzurze na nadzwyczajnym zebraniu Oddziału Warszawskiego ZLP, i 11 grudnia 1981 roku na Kongresie Kultury Polskiej – wygłaszając zasadnicze polityczne teksty.

Jednak teksty polityczne wymagają publiczności i właściwego czasu. Kijowski nie zdążył na swoje czasy. Myślał nie o jeden – o trzy etapy do przodu. W roku 1974 jego wyobraźnia nie była ani w 1981, ani nawet w 1989 roku. On widział już wolną Polskę, która w naszych oczach zaczyna swą niepodległość tracić.

Życie poświęcił Senior publicznemu wątpieniu i publicznemu stawianiu pytań. Tak najkrócej zdefiniować można pozycję krytyka. Krytyk, prawdziwy krytyk, a Senior był być może jedynym

krytykiem absolutnym, nie działa w imię układu ani nawet programu, lecz tylko i jedynie w imię czystego sądenia. Krytyk władzy sądenia musi być samotny. A wina taka idzie w pokolenia.

[1] Zdzisław Najder, z którym Kijowski współpracował w redakcji „Twórczości” oraz współtworzył Polskie Porozumienie Niepodległościowe. TW „Zapalniczka” (ur. 1930), ujawniony 14 czerwca 1992 roku przez prezydenta Lecha Wałęsę w ramach walki przeciwko rządowi premiera Jana Olszewskiego i ośmieszony przez Jerzego Urbana, przyznał się do swego kryptonimu.[2] Zbigniew Herbert.

*Andrzej Kijowski (1928-1985),
ojciec autora powyższego
tekstu, krytyk literacki, pisarz,
scenarzysta filmowy. Redaktor
„Twórczości”, jeden z twórców
Polskiego Porozumienia
Niepodległościowego,
internowany w stanie
wojennym.*

Prawdziwy krytyk, a
Senior był być może
jedynym krytykiem
absolutnym, nie działa
w imię układu ani
nawet programu, lecz
tylko i jedynie w imię
czystego sądenia

Przyjdzie taki dzień,
gdy nowy Ribbentrop z
nowym Mołotowem
zawiążą nowe Święte
Przymierze

Rzeczpospolita

<http://www.rp.pl/artykul/75225.html?print=tak>



KAROLINA PREWĘCKA
PAWEŁ ŚWIĘTORECKI

UŚMIECH PRIMADONNY

ELŻBIETA RYL-GÓRSKA

Andrzej Tadeusz Kijowski

publicysta, pisarz, dziennikarz, menedżer kultury

Wysokie „C” Elżbiety Ryl-Górskiej

Operetka w czasach PRL-u to nie było miejsce dla intelektualistów. Ci, zapatrzeni w Grotowskiego czy Dejmka, Axera lub Hanuszkiewicza, spotykali się w teatrach, urządzali artystyczne lub narodowe demonstracje, raczej unikali krawata.

A operetka to był „blichtr”, który podobał się mieszczanom i urzędnikom. W moich kręgach nie chodziło się na Nowogrodzką, tak, jak nie bywało w cyrku. No, może raz, by poczuć, czym to pachnie, czy raczej pachniało, to chodzenie po linie albo aria z wysokim „C”.

Nie prowadzili mnie więc rodzice do operetki, aż do dnia, gdy wystawiono w niej *Krakowiaków i górali*, cudowną, patriotyczną śpiewogrę Wojciecha Bogusławskiego. Ubraliśmy się jak tego plusze wymagają, by, po przekroczeniu progu foyer dowiedzieć się, że któryś z aktorów zachorował, spektakl odwołano, kasa zwraca bilety lub proponuje w zamian *Wesołą wdówkę* Lehára z Elżbietą Ryl-Góorską w roli tytułowej.

Miałem dziesięć, może jedenaście lat! Ale, jak tu dziecku odmówić oczekiwanej rozrywki? — No, cóż... – uśmiechnął się Tata do Mamy... — Te kankany..., trudno, najwyższy czas, by zajrzał Jędrzek Polihymnii⁷ pod spódnicę.

Zajrzałem. Nie tylko baletnicom. Pierwszy raz zetknąłem się z nieśmiertelną formą operetki, cudem dekoracji, szaleństwem tańca i urokiem głosu Elżbiety Ryl-Górskiej.

Mam ją do dziś w oczach. Taką, jak wtedy. I choć nie zapamiętałem wówczas nazwiska ani nie stałem się bywalcem operetki, gdy tej ostatniej zabrakło, gdy odkryłem – już jako kulturalny menedżer – jak liczne jest grono jej wielbicieli, gdy skończył się czas, często wymuszonych i obcych europejskiej tradycji awangard, powrócę pod jej wdzięk, by wielokrotnie dać się uwieść temu głosowi, który wzrusza serca i kruszy kryształ.

Warszawa, lato 2016 rok

⁷ Polihymnia – w mitologii greckiej muza poezji sakralnej i hymnicznej oraz pantomimy jedna z towarzyszek Apolla.